



„...młodość
pozostaje
niezmienna”

– rozmowa
z Zofią Wybrańską

S. 13



„Uczmy się
od młodych...”

– rozmowa
z Urszulą Wacowcką

S. 26

10 lat
w Poniatówce

– Halina
Markowska

S. 23



Moja przygoda
z Poniatówką
i katalizą międzyfazową

– Michał
Fedoryński
S. 14



GŁOS PONIATÓWKI



R. II • 2013

ROCZNIK V LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCEGO IM. KS. JÓZEFA PONIATOWSKIEGO W WARSZAWIE

ISSN: 2084-6088

Wydaje Fundacja im. ks. Józefa Poniatowskiego Wspomagania i Rozwoju Nowoczesnej Szkoły

www.vlo.edu.pl

Słowo od redakcji



ROK MINĄŁ OD DRUKU pierwszego numeru rocznika „Głos Poniatówki”. Dwa tysiące egzemplarzy przeczytało lub obejrzało przy najmniej dwa tysiące osób. Dla jednych (uczniów) stał się on już wyjątkową pamiątką, która może niegdyś przypomni o szkole, dla innych to źródło informacji o miejscu, które może stać się ich drugim domem na trzy lata. Wiele rzeczy zmieniło się w ciągu tego roku w murach Poniatówki, która w 2013 roku obchodzić będzie swoje 95-lecie. Nie będziemy okazale świętować tej rocznicy, w październiku w dniu ślubowania klas pierwszych krótko przypomnimy o tej długiej historii szkoły. Z hucznymi uroczystościami poczekamy jeszcze 5 lat, do setki. Mamy nadzieję, że wówczas kolejny numer „Głosu Poniatówki” rozdamy na Zjeździe Wychowanków Szkoły. Czas na świecie i w Polsce jest trudny, nie warto go poświęcać na połówkowe rocznice. Szkoła była, jest i, mamy nadzieję, że będzie trwać. Razem ze swym sztandarem w gablocie, z dobrymi wspomnieniami poniatowszczaków.

(dok. na s. 2)

NOWA OFERTA EDUKACYJNA

NA ROK SZKOLNY 2013/2014

KLASA HUMANISTYCZNA

Dwa obowiązkowe rozszerzenia:
język polski i historia.

Rozszerzenie historii rozpoczynaemy od drugiej klasy. Język polski realizowany jest w zakresie podstawowym równoległe z zakresem rozszerzonym.

Trzecie rozszerzenie do wyboru przez ucznia od drugiej klasy: **wiedza o społeczeństwie** lub **geografia**. Decyzję o wyborze trzeciego rozszerzenia uczeń podejmuje w klasie pierwszej (styczeń – luty).

Obowiązkowym przedmiotem uzupełniającym w tym typie klasy, realizowanym od klasy drugiej, jest **przyroda**.

W zależności od wyboru trzeciego rozszerzenia (liczby godzin przeznaczonych na realizację przedmiotu) uczeń może być zobowiązany do realizowania **dodatkowych przedmiotów uzupełniających** dedykowanych dla danej klasy tak, by dopełnić obowiązkowy tygodniowy wymiar godzin.

PROFESOR Z PRAWDZIWEGO ZDARZENIA



JEST 20.00, ŚRODEK GŁĘBOKIEGO lasu, nad Jeziorem Białym, kilkanaście kilometrów od Augustowa. Młodzież właśnie skończyła zajęcia z Profesorem. Idzie lekko zgarbiony, z uśmiechem na twarzy, jak zawsze chętnie nawiązujący kontakt z każdym, kto o coś pyta, ujmująco grzeczny i cierpliwy, z uśmiechem pobłażania wobec młodszego rozmówcy, ale uważnie słuchający zadawanych pytań, nie lekceważący młodszych kolegów, wie, że poważne potraktowanie cudzego pytania może dać w efekcie zakochanego w chemii „młodego badacza”, pasjonata dziedziny, z którą profesor obcuje od wielu, wielu lat. Jeszcze przed chwilą, w drzwiach kawiarni (tymczasowo przemianowanej na salę wykładową) odpowiadał na pytania młodzieży zainteresowanej wygłoszonym właśnie wykładem.

Profesor Michał Fedoryński od ośmiu lat poświęca swój czas na pracę z młodymi chemikami, fizykami i matematykami z Poniatówki. Można być pewnym, że wraz z żoną Elżbietą, doktorem nauk chemicznych, pojawi się na obozie naukowym i zaszczerpi kilkorgu młodym ludziom miłość do chemii. Trudno nawet wyobrazić sobie obóz naukowy bez obecności Profesora, bez jego niesamowitych wykładów dla wielu i ćwiczeń dla wybranych grup uczniów.

Mówiłem potem moim uczniom, kiedy podsumowywałem dorobek obozu naukowego: – Macie szczęście. Żyjemy w merkantylnych czasach, w których pieniądź zdominował wszystko, nawet wolę dzielenia się wiedzą z uczniami. Studenci, żeby porozmawiać z profesorem, muszą za nim gonić po korytarzach uczelni, zawsze z poczuciem winy, że zabierają mu czas, w którym może zarabiać pieniądze. A wy siedzicie sobie na obozie i macie przez kilka dni możliwość obcowania z wybitnym człowiekiem, zapytania go o wszystko, co was w chemii interesuje, nie jesteście skazani na stwierdzenie, że zadajecie głupie pytania, obcujecie za darmo z prawdziwym uczonym, który chce z wami podzielić się swoją głęboką wiedzą i doświadczeniem. Wiele bym dał, abym mógł cofnąć się do moich czasów szkolnych i przeżyć, tak jak wy, taką ciekawą przygodę.

Siedzimy przy kawie, rozmawiając o różnych sprawach, zawsze związanych z nauczaniem i wychowaniem, o autorytetach, o chemii, na której przecież znam się kiepsko, o życiu.

– Był Pan chemikiem od zawsze? – pytam.

– Zacząłem się interesować chemią w zasadzie dopiero w liceum. Dlaczego? Nie bardzo wiem. Zafascynowała mnie

chyba elektroliza chlorku sodu albo jakieś inne doświadczenie. – Próbowałem doświadczeń od dzieciństwa. Pamiętam drugi znaczący eksperyment w moim życiu (po pierwszym z chlorem sodu, który bez sukcesu próbowałem rozłożyć na pierwiastki, ogrzewając w piecyku węglowym), kiedy naciągnąłem siostrę na uczestnictwo w doświadczeniu. Była siostra, byłem ja, były dwa druty włożone do gniazdka elektrycznego i oczekiwanie, czy żarówka trzymana przeze mnie w jednym ręku i przez siostrę w drugim zacznie świecić. I jakoś tak zbyt energicznie siostra włączyła się do eksperymentu. Na szczęście obyło się bez kłopotów, jeśli nie liczyć kary cielesnej wymierzonej przez mamusię.

– Czyli jednak chemia była od zawsze?

– No nie! W pewnym momencie uważałem, że byłem za głupi, aby studiować fizykę.

– Żałuje Pan ostatecznego wyboru?

– Chyba nie.

Do rozmowy włączają się: żona Profesora, Elżbieta, oraz nauczyciele przedmiotów ścisłych przygotowujący poniatowszczaków do olimpijskich zmagania – Krzysztof Kuśmierczyk i Anna Mazurkiewicz. Pijemy herbatę, Profesor wspomina. O swoich doświadczeniach w Stanach Zjednoczonych, o korelacjach

(dok. na s. 3)

Słowo od redakcji (dok. ze s. 1)

Przez ten rok długi i krótki jednocześnie zaszły pewne zmiany nieodwracalne i smutne. Zmarł nasz najstarszy wychowanek – Roman Totenberg. Wspomnienie o nim zamieszczamy w bieżącym numerze. Ostatni z Nim wywiad nie zapowiadał, że właśnie jest ostatnim. Zmarła Elżbieta Runkiewicz, wieloletnia nauczycielka i wicedyrektorka naszego liceum, przez wielu lubiana i ceniona, dobry człowiek, przyjaciel.

W szkole zmieniło się sporo. Z funkcji wicedyrektora szkoły zrezygnowała, w związku z przejściem na emeryturę, Danuta Mońko. Przez wiele lat współtworzyła nowoczesną, przyjazną, rodzinną szkołę, zrobiła dla jej wizerunku wiele dobrego i bardzo Jej za to dziękujemy. Nowym wicedyrektorem została Magdalena Pochylska, a pełnomocnikiem Rady Pedagogicznej do spraw wychowawczych Joanna Zaremba. Przybyło wiele pracy w związku z nowym regulaminem matur, z wyborami przedmiotów, jakich dość wcześnie muszą dokonywać uczniowie klas pierwszych i drugich.

Działać zaczął szkolny bufet. Fundacja wraz z dyrekcją szkoły i Radą Rodziców zadbała o to, aby po likwidacji stołówki szkolnej zapewnić uczniom i pracownikom możliwość zjedzenia ciepłego, pożywnego i zdrowego posiłku. Uruchomienie bufetu wymagało wielu skomplikowanych działań organizacyjnych. Ale udało się. Bufet jest i działa. Marzenia o kanapkach, które robiła kiedyś ciocia Henia, musiały pójść w zapomnienie. Nie da się pogodzić wydawania kanapek, posiłków obiadowych, jabłek i gorącej herbaty w jednej małej kuchni i stołówce, która funkcjonuje bez żadnego etatu kuchennego, przy olbrzymim wysiłku organizacyjnym szkoły. Wybraliśmy więc herbatę, jabłka i obiad. Zrezygnowaliśmy z kanapek.

Wyremontowaliśmy olbrzymim wysiłkiem organizacyjnym i finansowym Gminy Warszawa Śródmieście pracownię chemiczną. Była to największa inwestycja w szkole od czasu oddania nowej sali gimnastycznej. Mamy pracownię z prawdziwego zdarzenia, w której można zdobywać wiedzę o tajnikach chemii, przygotowywać się do olimpiad. Oddaliśmy do użytku salę multimedialną, która spełnia wiele funkcji, pozwala na pisanie prac klasowych, matur, sprzyja organizowaniu imprez z udziałem większej liczby osób i wykorzystaniu nowoczesnego sprzętu multimedialnego w nauczaniu. Sukcesywnie uzupełniamy księgozbiór biblioteki szkolnej wspierani funduszami Fundacji, Rady Rodziców i budżetu szkolnego. Rozszerzyliśmy zakres możliwości korzystania z internetu, doprowadzając instalację do wszystkich klas, w których odbywają się zajęcia szkolne, w związku z zamiarem wprowadzenia od roku szkolnego 2013/2014 dziennika elektronicznego. Staraniem dyrekcji szkoły w miesiącach letnich, w czasie wakacji w hallu głównym szkoły wymieniona zostanie pekająca od wielu lat podłoga. To też jedna z największych i kosztownych inwestycji ostatnich lat, tak jak remont sufitu w hallu głównym, który przeprowadzono w lecie ubiegłego roku. W jednej z pracowni informatycznych w wakacje wymieniono cały przestarzały sprzęt komputerowy na nowy, aby można było bez problemów prowadzić zajęcia z informatyki. Zupełnie od nowa wybudowaliśmy, obok sali multimedialnej, nowoczesną łazienkę do użyt-

ku ogólnego, a także przystosowaną do użytkowania przez osoby niepełnosprawne, wymieniono przestarzały sprzęt informatyczny w pomieszczeniach sekretariatu szkoły. Rok 2011/2012 był dla szkoły rokiem wielkich inwestycji. Mogliśmy je przeprowadzać dzięki wynajmowi nowej sali gimnastycznej. Dyrekcję niepokojem napawa zewnętrzna infrastruktura budynku szkolnego (elewacji), która była remontowana 30 lat temu. Podjęliśmy starania, aby w długoterminowych planach dzielnicy zaczęto uwzględniać remont elewacji budynku szkoły przy ulicy Nowolipie 8. Jest to inwestycja wymagająca olbrzymich środków finansowych.

A o czym piszemy w nowym numerze?

Zdajemy relację z sesji, która odbyła się w naszym liceum w listopadzie 2012 roku. Zaprosiliśmy na nią nauczycieli i dyrektorów szkół warszawskich, a także ciekawych gości-prelegentów, którzy wypowiedzieli się w dyskusji panelowej zatytułowanej „Oblicza współczesnego patriotyzmu. Jak o nim mówić, jak go uczyć?”. Punktem wyjścia dla wspólnych rozważań o różnych obliczach patriotyzmu stał się zbiorek wierszy Kazimierza Sokołowskiego „*Bo dla Ojczyzny*” wydany w ramach grantu przyznanego Fundacji Wspomagania i Rozwoju Nowoczesnej Szkoły przez Miasto Stołeczne Warszawę.

Nadto artykuły dwóch profesorów, naszego absolwenta, prof. dr. hab. Andrzeja Stankiewicza i dr. hab. Michała Fedoryńskiego, prof. pw. Oba skierowane do młodszych kolegów (uczniów Poniatówki). Profesorowie są sympatykami naszej szkoły. Andrzej Stankiewicz to, przypomnijmy, autor hymnu Poniatówki, Michał Fedoryński zaś od wielu lat uczestniczy w naukowych spotkaniach z fizyką i chemią podczas obozów naukowych w Przewieży. Jego sylwetkę naukową, pracę z uczniami Poniatówki, pasję zawodową, oddanie nauce i dydaktyce przybliży Mirosław Sosnowski w swoim reportażu *Profesor z prawdziwego zdarzenia*.

O tym, że w dydaktyce polonistycznej od dziesięcioleci zmagamy się wciąż z podobnymi problemami, pisze Joanna Zaremba; o tym, że od jeszcze dłuższego czasu żywo towarzyszy nam łacina, stara się przypomnieć Magdalena Pochylska. Postać naszego patrona, z innej nieco perspektywy niż zazwyczaj, kreśli w artykule rocznicowym Romualda Kuśmierczyk. Zakres współpracy Politechniki Warszawskiej z Poniatówką opisują pracownicy naukowemu Wydziału Matematyki i Nauk Informatycznych pw prowadzący zajęcia z naszymi uczniami, zaś z historią szkolnej biblioteki zapoznaje nas Piotr Matuszewski. W numerze publikujemy także unikatowy wywiad z pielęgniarzką szkolną, Zofią Wybrańską, człowiekiem, dla którego pojęcie emerytury nie istnieje.

Jest i miejsce na gros wspomnień. O swoim przywiązaniu do szkoły, w której uczyla geografii i prowadziła słynny chór, pisze – obecnie dyrektor Liceum im. Jana III Sobieskiego – Halina Markowska. Jej uczniowie – Małgorzata Smoręda i Janusz Dembski wspominają Poniatówkę końca lat 70. Publikujemy także wspomnienie Ireny Respondek – nauczycielki fizyki, byłej wicedyrektorki v LO i emerytowanej dyrektorki Liceum im. Jarosława Dąbrowskiego, a także wywiad z Urszulą Wacowską, wychowanką Poniatówki, obecnie dyrektorem Pałacu Młodzieży w Warszawie.

Życzymy przyjemnej lektury i, jak zwykle, zapraszamy do współpracy wszystkich poniatowszczaków!

Redakcja



KLASA MATEMATYCZNO-FIZYCZNA

Dwa obowiązkowe rozszerzenia: **matematyka i fizyka**.

Rozszerzenie fizyki rozpoczynamy od drugiego semestru klasy pierwszej (po zrealizowaniu w pierwszym semestrze tego przedmiotu w zakresie podstawowym). Matematyka realizowana jest w zakresie podstawowym równoległe z zakresem rozszerzonym.

Obowiązkowym przedmiotem uzupełniającym w tym typie klasy, realizowanym od klasy drugiej, jest **historia i społeczeństwo** oraz **zajęcia uzupełniające o charakterze informatycznym**.

KLASA CHEMICZNO-FIZYCZNA

Dwa obowiązkowe rozszerzenia: **chemia i fizyka**.

Rozszerzenia rozpoczynamy już od drugiego semestru klasy pierwszej (po zrealizowaniu w pierwszym semestrze tych przedmiotów w zakresie podstawowym).

Trzecie rozszerzenie do wyboru przez ucznia od drugiej klasy: **matematyka lub biologia**. Decyzję o wyborze trzeciego rozszerzenia uczeń podejmuje w klasie pierwszej (styczeń – luty).

Obowiązkowym przedmiotem uzupełniającym w tym typie klasy, realizowanym od klasy drugiej, jest **historia i społeczeństwo**.

W zależności od wyboru trzeciego rozszerzenia (liczby godzin przeznaczonych na realizację przedmiotu) uczeń może być zobowiązany do realizowania **dodatkowych przedmiotów uzupełniających** dedykowanych dla danej klasy, tak by dopełnić tygodniowy obowiązkowy wymiar godzin.

KLASA BIOLOGICZNO-CHEMICZNA

Dwa obowiązkowe rozszerzenia: **biologia i chemia**.

Rozszerzenia rozpoczynamy już od drugiego semestru klasy pierwszej (po zrealizowaniu w pierwszym semestrze tych przedmiotów w zakresie podstawowym).

Trzecie rozszerzenie do wyboru przez ucznia od drugiej klasy: **fizyka lub matematyka**. Decyzję o wyborze trzeciego rozszerzenia uczeń podejmuje w klasie pierwszej (styczeń – luty).

Obowiązkowym przedmiotem uzupełniającym w tym typie klasy, realizowanym od klasy drugiej, jest **historia i społeczeństwo**.

W zależności od wyboru trzeciego rozszerzenia (liczby godzin przeznaczonych na realizację przedmiotu) uczeń może być zobowiązany do realizowania **dodatkowych przedmiotów uzupełniających** dedykowanych dla danej klasy, tak by dopełnić tygodniowy obowiązkowy wymiar godzin.

KLASA MATEMATYCZNO-GEOGRAFICZNA

Dwa obowiązkowe rozszerzenia: **matematyka i geografia**.

Rozszerzenie geografii rozpoczynamy od drugiego semestru klasy pierwszej (po zrealizowaniu w pierwszym semestrze tego przedmiotu w zakresie podstawowym). Matematyka realizowana jest w zakresie podstawowym równoległe z zakresem rozszerzonym.

Trzecie rozszerzenie do wyboru przez ucznia od drugiej klasy: **fizyka lub wiedza o społeczeństwie**. Decyzję o wyborze trzeciego rozszerzenia uczeń podejmuje w klasie pierwszej (styczeń – luty).

Obowiązkowym przedmiotem uzupełniającym w tym typie klasy, realizowanym od drugiej klasy, jest **historia i społeczeństwo**.

W zależności od wyboru trzeciego rozszerzenia (liczby godzin przeznaczonych na realizację przedmiotu) uczeń może być zobowiązany do realizowania **dodatkowych przedmiotów uzupełniających** dedykowanych dla danej klasy tak, by dopełnić tygodniowy obowiązkowy wymiar godzin.

JĘZYKI OBCE

Na etapie rekrutacji do liceum uczeń dokonuje wyboru drugiego języka obcego nowożytnego spośród:

- języka niemieckiego
- języka francuskiego
- języka rosyjskiego

Na etapie rekrutacji do liceum uczeń deklaruje uczestnictwo w zajęciach z religii lub etyki.

PRACOWNICY V LO W ROKU SZKOLNYM 2012/2013

DYREKTOR
DR MIROSŁAW SOSNOWSKI
WICEDYREKTOR
MGR MAGDALENA POCHYLKA

NAUCZYCIELE

JĘZYK POLSKI: MGR KATARZYNA DZIEWAŃSKA-KOWALCZYK • MGR KATARZYNA KOZIĘLSKA • DR ŁUKASZ PAWŁOWSKI • DR MIROSŁAW SOSNOWSKI • MGR RAGNA ŚLĘZAKOWSKA, MGR JOANNA ZAREMBA

JĘZYK ANGIELSKI: MGR MARTA BOGOBOWICZ • MGR IZABELA PIEKUT • MGR URSZULA SIUTA-KACZMARCZYK • MGR MONIKA SZNAJDER • MGR MAŁGORZATA WIERZCHOWSKA

JĘZYK NIEMIECKI: MGR ANNA BANASIAK • MGR EMILIA KARLIK • MGR JOLANTA SIARNIK

JĘZYK FRANCUSKI: MGR MICHAŁ CZARNOCKI

JĘZYK ROSYJSKI: MGR BOŻENA OSUCH-NOWICKA

JĘZYK ŁACIŃSKI: MGR MAGDALENA POCHYLKA

HISTORIA, WIEDZA O SPOŁECZEŃSTWIE: MGR ZBIGNIEW KALICKI • MGR ROMUALDA KUŚMIERCZYK • MGR JAKUB OSTROMĘCKI

MATEMATYKA: MGR MAGDALENA GRABOWSKA • MGR PAWEŁ KURANOWSKI • MGR BARBARA TARNOWSKA

FIZYKA: MGR URSZULA CIBOROWSKA • MGR ANNA MAZURKIEWICZ • MGR ALICJA SZEWCZYK

CHEMIA: MGR URSZULA CIBOROWSKA • MGR KRZYSZTOF KUŚMIERCZYK

GEOGRAFIA: MGR AGNIESZKA MATYSIAK

BIOLOGIA: DR MARIA PIELICHOWSKA • MGR JADWIGA PRZECISZEWSKA

PRZYSPOSOBIENIE OBRONNE, EDUKACJA DLA BEZPIECZEŃSTWA: MGR OLGA STELMASZCZYK

PODSTAWY PRZEDSIĘBIORCZOŚCI: MGR ROMUALDA KUŚMIERCZYK • MGR DANUTA MOŃKO

TECHNOLOGIA INFORMACYJNA: MGR MAGDALENA POCHYLKA • MGR ANDRZEJ WIĄZECKI

WIEDZA O KULTURZE: MGR KATARZYNA KOZIĘLSKA • MGR MAGDALENA POCHYLKA

WYCHOWANIE FIZYCZNE: MGR BEATA JABŁECKA • MGR MICHAŁ LIZIŃCZYK • MGR IGNACY STĘPIŃSKI • MGR BARTŁOMIJ MIECZNIK

FILOZOFIA, ETYKA, EDUKACJA CZYTELNICZA I MEDIALNA: MGR PIOTR MATUSZEWSKI

RELIGIA: MGR JERZY LECZKOWSKI • KS. MGR GRZEGORZ PIELASZEK

BIBLIOTEKA: MGR PIOTR MATUSZEWSKI • MGR KAROL JAWORSKI

PEDAGOG: MGR MARIAN JAROSZEWSKI

OPIEKA MEDYCZNA: PIEŁĘGNIARKA DYPL. ZOFIA WYBRAŃSKA

PRACOWNICY NIEPEDAGOGICZNI SZKOŁY:

ADMINISTRACJA: MARIA KLIŚ, MGR HANNA LEWANDOWSKA, MGR EWA SOSNOWSKA, LIC. AGNIESZKA DYLEWSKA, PAWEŁ OSIŃSKI, MICHAŁ SMOLIŃSKI

BUFET: DANUTA CUDNA, MGR BOŻENA OSTROWSKA

SZATNIARKA: HENRYKA RĄCZKOWSKA

WOZNE: TERESA DĄBROWSKA, RENATA FLUDER, MONIKA RAFANOWICZ, BEATA TUZIN

DOZORCY: SŁAWOMIR BIEŻUŃSKI, KRZYSZTOF BRYCH, MAREK ŁASZCZYCH, PIOTR PAKIELA



V LO IM. KS. JÓZEFA PONIATOWSKIEGO
ul. Nowolipie 8, 00-150 Warszawa
tel. 22 831 48 04, e-mail: poniatowka@vlo.edu.pl

między chemią obliczeniową i eksperymentalną i o tym, jak obliczeniowcy niekiedy dopasowują wyniki obliczeń do założeń eksperymentów..., o paradoksach w odkryciach, o roli przypadku w nauce, o uczciwości naukowca wobec kolegów i nauki, o etosie. Pouczające historie, ale też i dykteryjki, aż chce się słuchać. W tle tych refleksji ciągle przewija się temat młodzieży, która – jak się okazuje – bywa najważniejszym sensem pracy i naukowego poświęcenia. Dla niej... warto nawet przyjechać z Warszawy do podaugustowskiej Przewięzi, by utknąć w lasach, pracować dziesięć godzin dziennie, przyglądać się tym młodym twarzom, spełniać ich oczekiwania. Wtedy dopiero ma się pewność, że ta ciężka robota, badawczy trud, nie pójdzie na marne. Że gwarantem postępu w nauce jest ciągłość, wymiana pokoleń – nie tylko – jak zauważył niegdyś Thomas Kuhn – rewolucje naukowe.

– Co jest najważniejsze w badaniach?

– Eksperyment, a zwłaszcza synteza. Nieorganiczna, organiczna, dowolna. To popycha naukę. I przypadek.

– Wiele Pan zawdzięcza przypadkowi?

– Bardzo wiele.

Profesor opowie o tym w dalszej części dyskusji. A teraz w skupieniu, przy następnym łyku herbaty wypowiada słowa: – Milowym krokiem w rozwoju chemii organicznej była teoria rezonansu. – To pozwoliło głębiej zrozumieć chemię. Ale nie byłoby przełomowych odkryć chemicznych, gdyby nie intuicja. Intuicja jest bardzo ważna w badaniach chemicznych. Nieraz eksperyment zaprzecza latom pracy, ale intuicja podpowiada, że trzeba próbować dalej. I się próbuje. Tak próbował profesor Mieczysław Mąkosza, ten ma intuicję. Ja jestem jego uczniem.

Słysząc czajnik elektryczny, zagotowała się woda. Może kawę?, herbatę?, ciastko?

Na chwilę się wyłączam, teraz chemik dyskutuje z chemikiem – o umiejętności opisu eksperymentu, o tym, że chemia fizyczna to poważna dziedzina i innych sprawach *stricte* chemicznych, których oczywiście jako laik nie pojmuję, ale widzę i słyszę, z jakim zainteresowaniem o nich mówią, z jaką pasją.

– Może Pan jakoś sprecyzować obszar swoich chemicznych zainteresowań?

– Zajmuję się katalizą międzyfazową – ogólną metodologią prowadzenia reakcji z udziałem anionów organicznych i nieorganicznych, którą profesor Mąkosza odkrył, a ja i wielu innych, taką mam nadzieję, w istotny sposób rozwinąłem i rozszerzyłem zakres jej zastosowań. Lekko licząc, 30% wszystkich znanych reakcji z udziałem anionów można przeprowadzić tą metodą.

Potem jest jeszcze mowa o karbenach, pochodnych węgla dwuwartościowego, potem o karboanionach, o katalizie międzyfazowej i innych rzeczach, których z oczywistych przyczyn nie rozumiem. Ale oni rozumieją, ci młodzi, i być może takie spotkanie z profesorem spowoduje u niektórych zasadniczy zwrot w życiorysie. Może niektórzy z tych licealistów w przyszłości po-

wiedzą o sobie: „Jestem uczniem Profesora Michała Fedoryńskiego”.

Czuje się trochę obco w tym gronie. Chemicy, fizycy no i ja, który z chemią niewiele miał w życiu wspólnego. Słucham jednak z zainteresowaniem, jak profesor opowiada ze swadą i zaangażowaniem. Na dworze coraz ciemniej. Zaczyna siąpić deszcz. Włączamy więc światła, jeszcze jedna herbata, na łóżku przeciąga się towarzysząca nam czarna labradorka, opowieść snuje się dalej – można powiedzieć – typowy wieczór w Przewięzi. Teraz mowa o klasie naukowców. O tych, którzy chcą coś odkryć dla nauki i o tych, którzy robią to dla siebie. Ze zdumieniem słucham o tych, którzy natychmiast po cząstkowych odkryciach dzielą się swoimi do-



świadczeniami z kolegami. Przesyłają im najnowsze wyniki badań. Słucham z niedowierzaniem. Z własnego, humanistycznego ogródka wiem, jacy bywają naukowcy. Na szczęście ci „mali” wciąż są w mniejszości. Oby tak pozostało...

Ciekawostka za ciekawostką, anegdota za anegdotą sypią się w rozmowie, m.in. o wyścigu, który trwał siedem lat (rzecz dotyczyła uzyskania dodekadedranu – węglowodoru o kształcie dwunastościanu foremego o wzorze sumarycznym $C_{20}H_{20}$), o skandalach w świecie chemicznym, znów o moralności w pracy naukowej.

Spoglądam na Profesora. Widzę, że jest już zmęczony po całym dniu pracy, a jutro wyjeżdża do Warszawy. Nie mam sumienia, żeby zadawać kolejne pytania, ale jednak to robię. Każda godzina spędzona w towarzystwie tego człowieka okazuje się – nawet dla laika – przygodą i intelektualną satysfakcją. Jestem wprawdzie pewny, że jak co roku, wróci tu kolejnej jesieni, ale przecież nie mogę stracić okazji pogadania z kimś o takiej osobowości, wiedzy i dobroci.

– Panie Profesorze, co jest potrzebne do odniesienia sukcesu we współczesnej chemii?

Profesor przez chwilę się zastanawia.

– Podstawy, które pozwalają na normalne życie rodzinne. To zapewne pieniądze, wygoda życia, pewien standard. Potem partner życiowy... (Tu następuje hołd oddany własnej żonie za to,

co robi, oszczędzając mężowi myślenia o szarej codzienności). Pieniądze na badania.

Następuje opowieść o czasach komuny, o braku efektywności, o niemożnościach i o tym, że były to czasy uprawiania chemii prostej. Dzisiaj każdy chemik musi mieć NMR, spektrometr masowy, dostęp do wyników badań światowych i specjalistycznej prasy, internetu, wymiany myśli i doświadczeń. Profesor opowiada, że współcześni chemicy mają łatwiej, bo mają dużo możliwości, są też spore pieniądze, które po części są marnowane, bo nie ma dobrej kontroli ich wydawania. Tego wieczoru próbujemy także zdefiniować to, co naukowe i popularnonaukowe i pokazać zasadnicze różnice. Potem jeszcze opo-

wieść o roli profesora w Funduszu na Rzecz Dzieci Uzdolnionych, w końcu o jego pracy na stanowisku prodziekana do spraw studenckich Wydziału Chemicznego Politechniki Warszawskiej.

Wychodzę z pokoju po północy. Jestem zmęczony. Myślę sobie o tym, jak zmęczony jest ten człowiek, który w ciągu pięciu dni odbył trzydzieści lekcji, dał wykład popularny dla wszystkich zatytułowany *Gry i zabawy wielkich chemików* i jeszcze ze swadą opowiada laikowi o swojej życiowej przygodzie z chemią.

Wracam do siebie. Jeszcze długo rozmyślam o tej ciekawej rozmowie. Zasympiam. Jutro pożegnám Profesora Fedoryńskiego, podziękuję mu za to, co od 8 lat robi dla Poniatówki, uścisknę rękę człowieka, którego z pełną odpowiedzialnością mogę nazwać Profesorem z prawdziwego zdarzenia.

Mirosław Sosnowski



MIROSŁAW SOSNOWSKI

Doktor literaturoznawstwa, nauczyciel dyplomowany, absolwent UMK, dyrektor Poniatówki od 1987 do 1994 roku i od 2000 do dziś. Kasprowiczolog, tagorianista, autor licznych prac literaturoznawczych i edytorskich, programów nauczania i podręczników szkolnych. Członek Polskiego Bractwa Kawalerów Gutenberga, ekspert w Fundacji Kronenberga. W latach 1994–1999 dyrektor Szkoły Polskiej im. Lotników Polskich przy Ambasadzie RP w Londynie.



KRONIKA PONIATÓWKI

MARZEC 2012 – MARZEC 2013

2012

MARZEC

W dniach 1–3 III Poniatówka zadebiutowała podczas XVII Salonu Edukacyjnego zorganizowanego w PKiN przez „Perspektywy”. Delegacja uczniów pod opieką prof. Mariana Jaroszewskiego zachęcała gimnazjalistów do wstąpienia w szeregi poniatowszczaków. Zainteresowanym zaprezentowano także sygnałne egzemplarze pierwszego numeru „Głosu Poniatówki”.

KWIECIEŃ

4 IV odbyło się spotkanie wielkanocne. Poniatówkę tradycyjnie odwiedzili byli nauczyciele, absolwenci oraz przyjaciele szkoły.

13 IV Poniatówka zorganizowała Dzień Otwarty dla kandydatów do liceum oraz ich rodziców. Szkołę odwiedziło ponad 500 zainteresowanych, każdy z nich otrzymał egzemplarz „Głosu Poniatówki”.



27 IV odbyło się uroczyste zakończenie roku szkolnego klas trzecich.

MAJ

W dniach 4–25 V odbyły się egzaminy maturalne. Po raz pierwszy do egzaminu dojrzałości przystąpiło 148 nowych abiturientów V LO. Największym zainteresowaniem wśród przedmiotów do wyboru cieszyły się, jak zwykle, chemia, biologia, fizyka oraz język angielski – wszystkie na poziomie rozszerzonym.

W dniach 24–29 V uczniowie klasy 2B wraz z prof. Anną Mazurkiewicz i prof. Barbarą Tarnowską wybrali się na warsztaty matematyczno-fizyczne do Pizy.



CZERWIEC

Grupa uczniów V LO pod opieką prof. Anny Banasiak odwiedziła Bonn w ramach programu międzynarodowej wymiany młodzieży.

26 VI reprezentacja naszego liceum wygrała ostatnią, finałową debatę III edycji Warszawskiej Ligi Debatanckiej, pokonując XXXIII LO im. Mikołaja Kopernika i zdobywając tytułu Mistrza Warszawy. Zwycięską drużynę debiutantów do sukcesu poprowadził prof. Piotr Matuszewski.

27 VI, jak co roku, w Poniatówce odbył się DUCH, czyli Doroczny Uzynek Charytatywny – otwarta impreza organizowana przez szkolny VoLOntariat, z której zysk przekazywany jest na cele dobroczynne. Tym razem uzbierana kwota (ponad 10 000 zł) została przekazana na sfinansowanie protez nóg dla małego Mikołaja Janeczki z Dębina.

Podczas imprezy, jak zwykle, działała kawiarenka, gdzie serwowano wypieki uczniów, loteria fantowa oraz odbyła się licytacja, na której można było zdobyć m.in. pióro wieczne prezydenta RP Bronisława Komorowskiego. Cały wieczór podziwiano zdolności wokalne i taneczne poniatowszczaków, a także kibicowano im podczas „Konkursu Talentów”, w którego jury zasiedli nauczyciele i samorząd uczniowski.



29 VI odbyło się uroczyste zakończenie roku szkolnego.

LIPIEC – SIERPIEŃ

W czasie przerwy wakacyjnej w szkole odbył się remont oraz prace konserwatorskie. Odmalowano sufit w holu głównym, niektóre z sal lekcyjnych i pomieszczenia biblioteczne. Nowy wygląd i wyposażenie zyskała pracownia chemiczna, w miejscu dotychczasowej stołówki utworzony został funkcjonujący na nowych zasadach bufet szkolny.

WRZESIEŃ

3 IX wraz z rozpoczęciem nowego roku szkolnego nastąpiła zmiana na stanowisku wicedyrektora Poniatówki. Po urzędującej na tym stanowisku od roku 2000 prof. Danucie Mońko funkcję tę przejęła prof. Magdalena Pochylska.



Między 3 a 17 IX odbyły się dwa wyjazdy integracyjno-naukowe dla nowo przyjętych uczniów klas pierwszych. Od 3 do 10 IX na obozie w podaugustowskiej Przewieży przebywały klasy 1A i 1B i 1E. Następnie, między 10 a 17 IX, klasy 1C i 1D i 1F. Był to już 11 z cyklu wyjazdów integracyjno-naukowych organizowanych w tym miejscu przez Poniatówkę.

W dniach 17–26 IX w Przewieży po raz kolejny odbył się Obóz Liderów Poniatówki, podczas którego uczniowie przygotowywali się do zmagania olimpijskich w roku szkolnym 2012/2013. Jak co roku, poniatowszczaków gościnnymi wykładami zaszczylił profesor Politechniki Warszawskiej, dr hab. Michał Fedoryński.

26 IX o godz. 16:30 dwaj absolwenci Poniatówki wystawili *Kontrakt* Sławomira Mrożka. Spektakl poprzedziły 4-miesięczne intensywne przygotowania. Realizatorzy, Daniel Wysocki i Radosław Redzik, samodzielnie zajęli się interpretacją tekstu, przygotowaniem dekoracji, reżyserią i stworzeniem kreacji aktorskich.



PAŹDZIERNIK

15 X odbyło się tradycyjne ślubowanie klas pierwszych w tym roku połączone z obchodami Święta Patrona. Prelekcję na temat księcia Józefa Poniatowskiego wygłosiła uczennica klasy 2A, Dominika Kulesza.

LISTOPAD

12 XI odbył się apel z okazji Święta Niepodległości. Inszenizację wydarzeń z roku 1918 zaprezentowali uczniowie z klas 1A i 2A wspomagani przez prof. Romualdę Kuśmierczyk.

16 XI o godzinie 16:00 w sali multimedialnej odbył się panel dyskusyjny zatytułowany: „Oblicza współczesnego patriotyzmu. Jak o nim mówić, jak go uczyć?”. Punktem wyjścia do dyskusji stał się tom poezji patriotycznej Kazimierza Sokołowskiego „Bo dla Ojczyzny”. Wybór wierszy z lat 1919–1955 wydany nakładem Fundacji im. ks. Józefa Poniatowskiego. Imprezę zorganizowała Fundacja przy współpracy Miasta Stołecznego Warszawy.

23–25 XI w Petrykozach odbyły się warsztaty matematyczno-fizyczne dla klasy 2B.

GRUDZIEŃ

21 XII uczniowie, pracownicy szkoły, absolwenci oraz byli nauczyciele V LO wzięli udział we wspólnej, tradycyjnej Wigilii. Podczas oficjalnej części tego spotkania zgromadzeni w hallu goście, mieli przyjemność wysłuchać koncertu kolęd i piosenek świątecznych przygotowanego przez młodzież.

2013

STYCZEŃ

19 I zgodnie z tradycją w murach naszej szkoły odbyła się studniówka. Przedsięwzięcie w całości zorganizowane było przez uczniów i ich rodziców. Specjalnie na tę noc maturzyści własnoręcznie przyozdobili wnętrze budynku dekoracjami, by nadać imprezie aurę „Balu zimowego”. Oprócz otwierającego zabawę poloneza, uczniowie przygotowali pokaz walca angielskiego oraz – największą atrakcję wieczoru – kabaret, w którym zostały sparodiowane charakterystyczne zachowania nauczycieli. Przedstawienie to rozbawiło nawet samo grono pedagogiczne.



LUTY

18 II, na siódmej godzinie lekcyjnej, byliśmy świadkami od dawna oczekiwanego pojedyńku w piłce koszykowej: nauczyciele vs. uczniowie. Honoru nauczycieli broniła drużyna w składzie: prof. Miecznik, prof. Stępiński, prof. Lizińczyk, prof. Kuranowski, prof. Czarnocki, prof. Leczkowski. Uczniów natomiast reprezentowali chłopcy z klasy 2E, którzy zdobyli i miejsce w międzyklasowych rozgrywkach koszykówki. Spotkanie zakoń-

czyło się przewidywanym zwycięstwem nauczycieli. Jednak dla kibiców najważniejszą była możliwość obejrzenia swoich pedagogów w nieco odmiennej niż zazwyczaj roli.

MARZEC

16–22 III klasa 2A pod opieką prof. Piotra Matuszewskiego oraz prof. Michała Czarnockiego wyjechała na wycieczkę do Krakowa. Uczniowie zwiedzili najslawniejsze zabytki grodu Kraka, takie jak: Kościół Mariacki, Sukiennice, Kopalnię Soli w Wieliczce, a także najnowsze projekty muzealne Krakowa, takie jak: Muzeum Podziemia Rynku, Fabrykę Oskara Schindlera, Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha. Młodzież wybrała się również do Teatru im. Juliusza Słowackiego na sztukę Ibsena pt. *Peer Gynt*.

8–10 III odbyły się warsztaty matematyczno-fizyczne dla klasy 3B w Mądralinie przygotowujące do egzaminu maturalnego.

27 III, tuż przed Wielkanocą, odbyło się poniatówkowe „Jajko”. W tym dniu została także zorganizowana akcja charytatywna – zbiórka pieniędzy dla naszej absolwentki Magdaleny Godek chorującej na stwardnienie rozsiane. W przygotowanie i przeprowadzenie akcji zainicjowanej przez Dyrekcję V LO zaangażowali się: Anna Czekaj, Alicja Drzazga, Urszula Drzazga, Marta Guzał, Monika Kosson, Michał Kozia, Michał Kruszyński, Aleksandra Miernik, Krzysztof Zaczek (i inni) oraz prof. Monika Sznajder. Udało się zebrać czterocyfrową sumę. Dla Magdy zagra również tegoroczny DUCH.

W trakcie roku szkolnego uczniowie Poniatówki pod opieką nauczycieli przedmiotów kierunkowych uczestniczą w licznych wykładach, jednodniowych wycieczkach naukowych i kulturalnych, zajęciach muzealnych oraz zajęciach laboratoryjnych. Klasy przyrodnicze odwiedziły m.in. Muzeum Geologii, Muzeum Ewolucji, BioCen, Centrum Nauki Kopernik, Ogród Botaniczny, Ogród Zoologiczny. Wyjścia organizowali także historycy, prof. Romualda Kuśmierczyk (m.in. Dom Spotkań z Historią) oraz prof. Zbigniew Kalicki (Arsenał, kosza „Czwartaków”); w grudniu klasa 1E wraz z prof. Agnieszką Matysiak wzięła udział w zajęciach „Wszyscy jesteśmy Afrykanami”. Klasa 3A wraz z prof. Katarzyną Kozielską odbyła warsztaty teatralne w Teatrze Stara Prochownia oraz warsztaty antystresowe. Młodzi chemicy, uczęszczając na wykłady oraz uczestnicząc w warsztatach naukowych, przez cały rok przygotowują się do kwietniowego wyjazdu do CERN-u. Średnio raz w miesiącu wycieczki organizuje prof. Marian Jaroszewski. Są to weekendowe wyprawy w góry. Liczba uczestników waha się od kilku do nawet dwudziestu kilku osób. Wśród odwiedzonych w bieżącym roku szkolnym miejsc znalazły się Góry Opawskie (28–29 IX), Beskid Makowski (13–14 X), Góry Bystrzyckie, Orlickie, Barckie, Wałbrzyskie (2–4 XI), Beskid Śląski i Beskid Mały (15–16 XII), Góry Sowie (23–24 II) i Słęża (16–17 III).

W ostatnim roku awans zawodowy uzyskali: mgr Michał Czarnocki, mgr Emilia Karlik, mgr Paweł Kuranowski – zakończyli staż i są teraz nauczycielami kontraktowymi; mgr Urszula Siuta-Kaczmarczyk oraz mgr Marta Bogobowicz uzyskały mianowanie. Mgr Beata Jablecka jest już nauczycielem dyplomowanym. Mgr Anna Mazurkiewicz otrzymała Nagrodę Burmistrza Dzielnicy Śródmieście za wybitne osiągnięcia dydaktyczne.

Hanna Rychel i Karol Jaworski



POMIMO ŻE PODRÓŻ DO PRZEWIEŹI trwała tylko pięć godzin, to droga do niej była o wiele dłuższa. Chemiccy zaczęli swoje przygotowania już w maju. Wytrwale uczestniczyli w kółku olimpijskim oraz stawiali czoła różnym problemom chemicznym. Podczas wakacji także nie próżnowali. Na plażę oprócz ręcznika zabierali ze sobą podręcznik do organiki, a w pociągu zamiast krzyżówek, rozwiązywali zadania z Galusa.

Zaraz po przyjeździe zaczęliśmy ciężką, ale satysfakcjonującą pracę. Zostaliśmy podzieleni na grupy ze względu na nasze zainteresowania (chemia, fizyka, matematyka) oraz stopień wtajemniczenia. Z każdym rozwiązaniem zadaniem kora mózgowa fałdowała nam się coraz bardziej. Doskonała atmosfera pracy stworzona przez wspaniałe grono pedagogiczne oraz uczestników sprawiała, że czuliśmy prawdziwy pęd do wiedzy. Wykłady i ćwiczenia zaczynały się po śniadaniu, a kończyły zazwyczaj przed kolacją...

W tajniki chemii organicznej wprowadził nas dr hab. Michał Fedoryński, prof. p.w. Swoją obecnością na wyjeździe zaszczycił nas już po raz ósmy. Na wykładach poznawaliśmy mechanizmy skomplikowanych reakcji, tj. reakcja Michaela czy Mannicha. Stały się one zrozumiałe i na długo zapadną nam w pamięci dzięki porównaniu ich do zdarzeń życia codzien-

PRZEWIEŹ, CZYLI PRZYSTAŃ UMYSŁOWA



nego oraz wizualizacji. Pan prof. Krzysztof Kuśmierczyk przybliżył nam zagadnienia z zakresu chemii analitycznej oraz elektrochemii. Obliczenie entalpii, stałej równowagi czy wydajności reakcji nie sprawia nam obecnie trudności. Zajęcia prowadzili także absolwenci naszej szkoły, Damian Antoniak i Paweł Rykowski. Nauczyliśmy się rozpoznawać związki chemiczne na podstawie analizy widm spektrometrii mas, spektroskopii IR oraz spektroskopii H MNR.

Matematycy podczas swoich zajęć zrealizowali program zawierający zagadnienia z dziedziny analizy matematycznej, teorii liczb oraz planimetrii – wszystko bowiem w ramach przygotowań do czekającej ich niebawem olimpiady. Natomiast na fizyce starali się opisać ruch obrotowy oraz przyjrzeć termodynamice fenomenologicznej. Wykłady prowadziły pani prof. Anna Mazurkiewicz, pani prof. Barbara Tarnowska oraz Michał Kiszczel (Kisiel), absolwent naszego liceum.

Dla wszystkich uczestników obozu odbywały się też „międzywydziałowe” warsztaty matematyczne. Wiemy już, jak obliczyć pochodną i ekstremum funkcji. Wyznaczanie granic i punktu przegięcia nie jest dla nas tajemnicą.

Pomimo napiętego grafiku staraliśmy się znaleźć czas również na relaks. Kilkakrotnie wieczory spędzaliśmy przy ognisku, śpiewając biesiadne piosenki albo oglądając filmy w kawiarence. Absolwenci zorganizowali również grę terenową. Naszym zadaniem było odnalezienie w lesie dziurkaczy i oznaczenie nimi wcześniej otrzymanych map. Po dwugodzinnych zmaganiach wygrała grupa Tosi Sułowskiej.

Na zakończenie obozu odbyło się niezwykle ognisko. Niespodzianką zapowiedzianą wcześniej przez pana dyrektora dra Mirosława Sosnowskiego okazał się pieczony na rożnie udziec wieprzowy. Aby tradycji stało się zadość, odtańczyliśmy także belgijską. Wieczór zakończyło podsumowanie mile i owocnie spędzonych dni.

Zdajemy sobie sprawę, że ten obóz był dopiero początkiem pracy, którą musimy włożyć w dobre przygotowanie się do olimpiady. Dzięki niemu wiemy, ile jeszcze przed nami i nie boimy się stawić temu czoła.

Agata Kaczmarek, Gabriela Dziegiel,
Michał Kiszczel

Poniatowszczacy Mistrzami Warszawy!

SUKCESY W ROZGRYWKACH WARSZAWSKIEJ LIGI DEBATANCKIEJ



Od lewej: Dariusz Grzywaczewski, Joanna Hensche, Michał Kruszyński, prof. Piotr Matuszewski, Aleksander Słowiński, Krystian Trzcinski

JUŻ OD BLISKO ROKU NASZE LICEUM cieszy się tytułem Mistrza Warszawy w debatach oksfordzkich. Dla tych, którzy pierwszy raz słyszą o tych rozgrywkach, śpieszę z wyjaśnieniami. Liga Debatancka jest swoistą koalicją szkół, której na sercu leży szerzenie idei wyposażania młodzieży w umiejętności rozwiązywania nurtujących społeczeństwo problemów poprzez pokojową i swobodną deliberację. Każde z liceów startujących w zawodach WLD (Warszawskiej Ligi Debatanckiej) wystawia na jedną rozgrywkę debatancką pięcioosobową drużynę, która ma za zadanie udowodnić swoją rację przed jury, publicznością i oponentami z innej szkoły. Mówcy wygłaszają trzyminutowe mowy, które – żeby zachwycić oceniających – muszą być przemyślane i dopracowane zarówno pod względem merytorycznym, jak i formalnym, retorycznym. Gdy już wszyscy zawodnicy się wypowiedzą, jury wybiera zwycięską drużynę i zaczyna się przygotowanie do kolejnej rundy debat, która odbywa się zazwyczaj miesiąc po poprzedniej.

W roku 2012 to właśnie Poniatówce udało się pokonać czołowe warszawskie

licea i zdobyć tytuł Mistrza. Fakt ten cieszy nas tym bardziej, iż był to nasz debiut w WLD. Droga do sukcesu nie była jednak łatwa.

Dzięki ogromnej pomocy prof. Piotra Matuszewskiego i przychylności dyrektora udało nam się założyć w naszej szkole Ligę Debatancką. Początkowo jej działalność ograniczała się do grupki znajomych, którzy podjęli się ciężkiego zadania reprezentowania w LO w starciach międzyszkolnych. Do tych pionierów należeli: Joanna Hensche, Darek Grzywaczewski, Izabela Kostro, Michał Kruszyński, Aleksander Słowiński i Krystian Trzcinski. Stopniowo grupa ta wzbogaciła się o kolejnych aktywnych członków i entuzjastów, by wspólnymi siłami dojść do zwycięstwa.

W tym roku nasza organizacja wygląda nieco inaczej. Z uwagi na fakt, iż wszyscy zeszłorocznymi mistrzowie są teraz trzecioklasistami, postanowiliśmy zrezygnować z debat w starym składzie i przekazać nowo powstałą tradycję młodszemu rocznikom. Ogłosiliśmy w Poniatówce nabór do Ligi, licząc na to, że zbierzemy kilka osób i dołączymy je po prostu do części starego składu, w taki sposób, by

odciążyć maturzystów, a przy tym wprowadzić młodych debatanów w arkaną deliberacji. Na pierwsze spotkanie przyszło ponad czterdzieści osób, co przerosło nasze najśmielsze oczekiwania. W związku z ograniczeniami, jakie stawia przed nami WLD (tylko dwanaście osób może reprezentować szkołę w ciągu roku), prof. Matuszewski zarządził serię debat wewnętrznych, które miały wyłonić utalentowanych mówców i pobudzić uczniów do współpracy i kształcenia umiejętności retorycznych. Poziom, jaki podczas eliminacji zaprezentowali poniatowszczacy, był niesamowity. Ostateczne wybranie składu było wyjątkowo trudne, po długim namyśle prof. Matuszewski ogłosił tegorocznych mówców, jednak nie zamyka to drogi do debat reszcie chętnych. Skład, jak pokazuje doświadczenie z zeszłego roku, jest bardzo płynny i każdy, kto wykazuje inicjatywę, jest bardzo mile widziany. Dodatkowo warto wspomnieć, że zdecydowaną większość chętnych stanowili pierwszoklasiści, którzy oczywiście mogą wystąpić jeszcze za rok czy dwa.

W sezonie 2012/2013 Poniatowski znów wyróżnia się poziomem w swojej grupie. Zaczęliśmy od ciężkiej potyczki z liceum Staszica, którą wygraliśmy dzięki naszym nowym mówcom: Michałowi Zaborskiemu, Adamowi Grzegorzówce i Janowi Witkowskiemu. Dalej cieszyliśmy się zwycięstwami z liceum Kopernika oraz liceum Monneta. Wszystkie te wygrane wysuwają nas na pierwsze miejsce w grupie. Teraz czeka nas najcięższa do tej pory debata z liceum Batorego na temat „Dobłą miarą wielkości królów są wygrane wojny.” Przygotowania już się rozpoczęły, a my nie możemy się doczekać, by móc po raz kolejny reprezentować szkołę w rozgrywkach WLD.

Michał Kruszyński

Sukcesy poniatowszczaków W ROKU SZKOLNYM 2012/2013*

XXVII Konkurs Chemiczny Politechniki Warszawskiej
Finaliści: Małgorzata Rykowska – 2D, Dariusz Boczar – 3B, Maria Cieślak – 3D, Michał Gołowski – 2C, Daniel Jastrzębski – 2C, Konrad Tomaszek – 2C, Maciej Fornalski – 2C, Zuzanna Osica – 2C, Anna Mazurek – 2C, Anna Łomańska – 2F, Bartłomiej Bochniak – 2F.

59 Olimpiada Chemiczna. Finaliści: Maria Cieślak – 3D, Dariusz Boczar – 3B, Michał Gołowski – 2C, Daniel Jastrzębski – 2C.

XIX Konkurs Fizyczny Politechniki Warszawskiej.
Laureat: Dariusz Boczar – 3B. **Finalista:** Jakub Tużnik – 2B

XXVI Olimpiada Wiedzy Ekonomicznej. Finalista: Karol Sawicz – 2A.

XLIV Olimpiada Języka Rosyjskiego. III etap: Aleksandra Kiryluk – 1C.

XLIII Olimpiada Historii Literatury i Języka Polskiego. III etap: Iwona Nowakowska – 2F.

XXXIX Olimpiada Geograficzna. III etap: Szymon Bieniek – 2E.

XLII Olimpiada Biologiczna. Finalista: Michał Świrski – 3D.

XXXIII Olimpiada Języka Francuskiego. Etap centralny: Anna Czekaj – 1E.

XLVI Warszawska Olimpiada Młodzieży
II miejsce w Mistrzostwach Dzielnicy Śródmieście w piłce siatkowej wywalczyła reprezentacja w składzie: Jacek Barszczewski, Szymon Bieniek, Borys Bińkowski, Fabian Dłuski, Konrad Dziegielewski, Jakub Hasiec, Kacper Jaworski, Aleksander Leone, Alex Okrasa, Bartosz Pawlik, Damian Rubaj, Kamil Warda.

* Zestawienie sporządzono według stanu z dnia 03.04.2013 (w przypadku większości olimpiad i konkursów nie przeprowadzono jeszcze zawodów etapu centralnego lub nie opublikowano ich wyników).



O patriotyzmie w Poniatówce

JAKUB OSTROMĘCKI

NASZA SZKOŁA, CHOĆ SŁYNNIE PRZED wszystkim z nauk ścisłych i przyrodniczych, w tym roku podjęła się zadania iście humanistycznego, nawiązując tym samym do swych pięknych, przedwojennych tradycji. 16 listopada 2012 w LO odbył się panel dyskusyjny zatytułowany: „Oblicza współczesnego patriotyzmu. Jak o nim mówić, jak go uczyć?”. Temat bardzo na czasie. Wszak kilka dni wcześniej miały miejsce (dla niektórych wyjątkowo huczne) obchody Święta Niepodległości. Poniatówka jako liceum wyrastające z tradycji Państwowego Gimnazjum dla Byłych Wojskowych czuła się szczególnie predestynowana i poniekąd zobligowana do konfrontacji z tym ważkim problemem nierzadko marginalizowanym i zaniedbywanym we współczesnym dyskursie dydaktycznym.

Prelekcje wygłosili: Włodzimierz Paszyński, wiceprezydent m.st. Warszawy; prof. Andrzej Wielowieyski, prawnik, polityk, parlamentarzysta; prof. dr hab. Andrzej Friszke, historyk, zastępca przewodniczącego IPN; dr hab. Adam Wielomski, politolog, redaktor naczelny kwartalnika „Pro Fide et Lege” oraz portalu konserwatyzm.pl; dr Grażyna Okła, pracownik naukowy Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach; Maciej Rosalak, redaktor „Rzeczpospolitej”, „Uważam Rze”, „Uważam Rze Historia”. Dyskusję poprowadzili Joanna Zaremba i Jakub Ostromęcki, z którymi większość czytelników „Głosu Poniatówki” styka się w okolicznościach bardziej prozaicznych – na lekcjach języka polskiego i historii.

Wśród publiczności, oprócz nauczycieli i uczniów, znaleźli się przedstawiciele władz samorządowych oraz Politechniki Warszawskiej. Zaproszonych gości powitał dyrektor szkoły – dr Mirosław Sosnowski. Przed samą debatą wysłuchaliśmy krótkiego koncertu fortepianowego polskich pieśni narodowych w wykonaniu Jeremiasza Hendzla, ucznia naszego Liceum, a także Państwowej Szkoły Muzycznej II stopnia.

Zacznem i hasłem wywoławczym dyskusji były wiersze prof. Kazimierza Sokołowskiego odczytane tamtego popołudnia przez aktora Marka Lewandowskiego. To mik wierszy zatytułowany „Bo dla Ojczyzny” wydany został przez Fundację im. ks. Józefa Poniatowskiego w Warszawie. Autor był żołnierzem Wojska Polskiego, uczestnikiem powstania warszawskiego, jeńcem wojennym III Rzeszy. W jego wierszach patriotyzm przechodzi przez różne stadia. Od zbrojnej euforii po odzyskanie niepodległości (*Szósty sierpnia*), gotowości do budowania potęgi kraju (*Dla Ojczyzny*), do gorzkich refleksji nad sensem powstania (cykl 1944) i naszym charakterem narodowym pełnym egzaltacji i braku poczucia rzeczywistości politycznej (*Krew i głowa*).

Prezentacja tych postaw pozwoliła płynnie przejść do głównego toku dyskusji. Pierwsze pytanie dotyczyło wzorców, na których powinniśmy budować postawy patriotyczne u uczniów. Czy mamy bazować na fundamencie romantycznym, walecznym, kontynuowanym przez Piłsudskiego, państwo podziemne, żołnierzy wyklętych? Czy też wzorzec ten należałoby odrzucić, jako nieprzydatny, archaiczny, czy wręcz niebezpieczny, i skupić się na kształtowaniu organiczników, budowniczych, realistów i legalistów. Jak na tym rozdrożu wypracować model trzeciej, odkopywany dziś



Uczestnicy panelu, od lewej: dr hab. Adam Wielomski, dr Grażyna Okła, wiceprezydent Warszawy Włodzimierz Paszyński, prof. Andrzej Wielowieyski, prof. dr hab. Andrzej Friszke



Wiersze Kazimierza Sokołowskiego czyta Marek Lewandowski

przez polską fantastykę literacką (np. Jacka Komułę): szlachtę złotego i srebrnego wieku Rzeczypospolitej – słynnych obywateli z szabłami?

Pierwszy głos zabrał Maciej Rosalak. Nie zgodził się, aby między tymi wzorcami istniała sprzeczność. Jest czas walki i pracy. Bolesław Prus, zanim zaczął pisać swoje dzieła, brał udział w powstaniu styczniowym. Podobnie żołnierze Szarych Szeregów – zanim zaczęli walczyć, byli wzorami obywatela czasu pokoju. Oba wzorce dają powody do dumy.

W kolejnej wypowiedzi Grażyna Okła nawiązała do dokumentów takich jak Karta Nauczyciela czy Ustawa o Systemie Oświaty, które wprost zobowiązują do kształtowania wśród uczniów miłości do ojczyzny. Wskazała też na badania przeprowadzone wśród młodzieży państw europejskich, gdzie na pytanie, czy jesteście dumni ze swojego narodu, Polacy znaleźli się na trzecim miejscu pod względem odpowiedzi na „tak”. Stąd z pojęciem tradycyjnego patriotyzmu nie ma u nas kłopotu. Gorzej wypadło badanie kompetencji obywatelskich.

Trzeci głos zabrał Adam Wielomski. Według niego patriotyzm nie może być działaniem dla samego działania. Nie można również mechanicznie przenosić dawnych wzorców do XXI wieku – wszak dawniej żyliśmy w zagrożeniu militarnym lub też nie było państwa polskiego. Patriotyzm XXI wieku ma więc przede wszystkim przejawiać się w szacunku dla pracy i kulturze organizacji, które stoją dziś w Polsce na bardzo niskim poziomie. Nauczyciele zaś powinni budować postawę propaństwową.



W nauczaniu zaś historii kierować się przede wszystkim prawdą, a nie budować mity.

Włodzimierz Paszyński zgodził się ze swoim przedmówcą, Adamem Wielomskim, wskazując, iż patriotyzm nie może być przeciwko czemuś i komuś. Szkoła pretenduje do posiadania wiedzy absolutnej i jedynie słusznej. Powinno się odejść od takiego podejścia, stawiając raczej młodzieży pytania o wartości, na które nie zawsze jednak da się znaleźć odpowiedź.

Andrzej Wielowieyski uzupełnił, iż celem szkoły w nauczaniu patriotyzmu powinno być budowanie kapitału społecznego, więzi, współodpowiedzialności. Zwartość i zdolności organizacji naszego społeczeństwa są bowiem bardzo słabe. Młodzieży przypominać należy, iż byliśmy jednym z czterech państw budujących w Europie demokrację, obok Szwajcarów, Holendrów i Anglików. Profesor wskazał na godną, obywatelską postawę uczestników sejmików z XVI i XVII w. Wartości te nie muszą wcale stać w sprzeczności z tworzeniem tożsamości europejskiej.

Po krótkiej przerwie głos zabrał jeszcze Andrzej Friszke. Zgodził się z poprzednimi тезami, wskazując na potrzebę przezwyciężenia podziału na identyfikację państwową i narodową. Podział taki nie pomaga bowiem w kreowaniu postaw obywatelskich i uczestniczącej, aktywnej kultury politycznej. Więź z państwem jest bardziej istotna od plemiennej więzi identyfikacji z każdym Polakiem z osobna.

Prowadząca Joanna Zaremba zwróciła uwagę, iż w podstawie programowej języka polskiego bardzo mało lektur może posłużyć jako narzędzie budowy nowoczesnych postaw obywatelskich. Brakuje pozycji

z oświecenia czy dzieł z wcześniejszego okresu Polski szlacheckiej. Również liczba lektur dotyczących okresu II wojny światowej jest w tej kwestii niezadowalająca.

Przyszedł czas na głosy publiczności i pytania do prelegentów. Adam Wielomski nie zgodził się między innymi z tezą, iż szkoła powinna brać udział w budowaniu pozytywnego wizerunku Polaków za granicą, ponieważ takie działania są dowodem niskiej samooceny narodu. Odpowiadając na rozterki uczniów, stwierdził, iż patriotyzm jest uczuciem i jeśli się go odczuwa, to nie ma sensu zagłębiać się w jego przyczyny. Odpowiadając innemu uczestnikowi, wskazał, iż patriotyzm pracy, twórczy, czasu pokoju powinien być realizowany przede wszystkim w kraju, a nie na emigracji zarobkowej.

Na zakończenie spotkania, dyrektor Mirosław Sosnowski nawiązał jeszcze raz do wiersza Sokołowskiego *Polska* jako przykładu uczuciowej więzi z krajem w pojęciu geograficznym.

Panel „Oblicza współczesnego patriotyzmu” został zrealizowany przez Liceum oraz Fundację im. ks. Józefa Poniatowskiego w ramach programu „Małe granty” finansowanego przez Miasto Stołeczne Warszawę.



JAKUB OSTROMĘCKI

Absolwent historii na Uniwersytecie Warszawskim, ukończył ponadto studium podyplomowe w Centrum Europejskim. Od 2002 roku pracuje w XXXIX LO im. Lotnictwa Polskiego. W Poniatówce od 2012 roku. Uczy historii oraz wiedzy o społeczeństwie.



Kilka refleksji przy lekturze wierszy Kazimierza Sokołowskiego

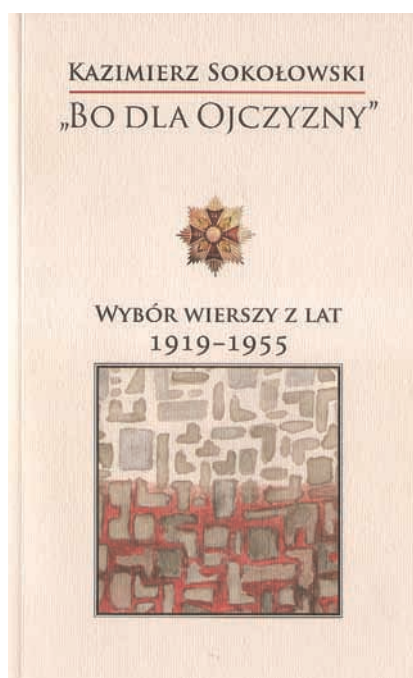
CZYTAJĄC TEN TOMIK, delektowałam się wierszami, wspomnieniami i często utożsamiałam się z poglądami autora. Losy jego rodziny i mojej są miejscami podobne. Mój ojciec, równolatek autora „*Bo dla Ojczyzny*”, patriotyzm pojmował podobnie jak Sokołowski, oczekując z utęsknieniem na wolną Polskę. I autor, i mój ojciec brali czynny udział w walce z wrogiem jako żołnierze, czując się wtedy ludźmi wolnymi; a gdy przebywali w oflagu czy stalagu, towarzyszyło im to samo poczucie niewoli i upodlenia.

Patriotyzm miał inny kontekst w czasie, gdy Polska nie była wolna, a inny dzisiaj, gdy pojęcie to często bywa nadużywane przez tych, którzy uważają, że mają monopol na prawdę, zwłaszcza tę dotyczącą modelu zachowania się względem państwa.

„To, że ludność Warszawy jest z nami to przesada, legenda lub fałsz” – pisze autor. Oczywiście nie wszystkich stać było na heroizm w czasie okupacji i powstania: byli tacy, którzy popełniali czyny haniebne, ale i wielu innych, dla których honor i ojczyzna były ważniejsze niż własne życie. W naszym domu często znajdowali schronienie partyzanci czy powstańcy. Moi dwaj bracia, gimnazjaliści, należeli do AK, ale na skutek donosu kolegi musieli uciekać do lasu, aby tam walczyć. Niestety, tam zginęli.

Krzysztof Kamil Baczyński – uczestnik powstania warszawskiego – pisał: „czy nam postawią z litości nad grobem krzyż?”. Moi bracia mogły ani krzyża nie mają.

Podobne przeżywanie śmierci synów znów łączy Kazimierza Sokołowskiego i mojego ojca. On, rozpaczając, pisze



Kazimierz Sokołowski, „*Bo dla Ojczyzny*”. Wybór wierszy z lat 1919–1955, wyb. i oprac. Mirosław Sosnowski, Warszawa 2012.

wiersze – treny. Mój ojciec czyta do późnych godzin, zamykając się w piwnicy, książki historyczne – „ku pokrzepieniu serc”.

Po wojnie podobnie podjęli pracę twórczą dla ojczyzny, uznając, że:

Ziemie rodzinna swym potem użyżnię,
a krew serdeczną dla siebie zachowam.
Gdy myśl i pracę swą oddam Ojczyźnie,
niechaj mną rządzi nie serce, lecz głowa.

Kierowali się tym, że: „nie serce, lecz głowa” ma rządzić człowiekiem, by mógł myśl i pracę oddać ojczyźnie. Tak pojmowali patriotyzm po wojnie.

Dzisiaj młodzi ludzie interesują się głównie codziennością i może czasami zadają sobie pytanie: „Czy ja poszedłbym?”. A to przecież okoliczności i charakter człowieka warunkują określone zachowania. Wiersze Sokołowskiego mogą być punktem wyjścia do dyskusji o dawnym i współczesnym pojmowaniu patriotyzmu. Dyskusji nie tylko na lekcjach języka polskiego czy historii, ale na każdej, która sprzyja utrwalaniu pozytywnych wzorców obywatelskich zachowań. Wydaje się zatem, że lektura wiersów z tomu „*Bo dla Ojczyzny*” przyniesie czytelnikom nie tylko chwilowe wzruszenia, ale ufunduje przeżycia o głębszym, wychowawczym znaczeniu.

Irena Respondek



O Autorze

KAZIMIERZ SOKOŁOWSKI urodził się 2 marca 1901 roku w Warszawie. Był synem Karola Stefana – urzędnika w Towarzystwie Kredytowym Ziemi i Zofii Heleny ze Świętochowskich, wnukiem Andrzeja Rocha Świętochowskiego – absolwenta Szkoły Głównej. Naukę w Gimnazjum im. Mi-

kołaja Reja w Warszawie rozpoczął w 1910 roku. Po wybuchu I wojny światowej został przez rodziców wysłany do rodziny do Szepetówki na Wołyn. Przez dwa lata uczęszczał do Szkoły Polskiej w Kijowie. Po powrocie w 1918 roku do Warszawy kontynuował naukę w Gimnazjum im. M. Reja, w którym w 1919 roku zdał maturę. W październiku tego roku podjął studia na Wydziale Prawa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego. W lipcu 1920 wstąpił ochotniczo do wojska i wziął udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Z tego okresu pochodzi jego dziennik, wydany nakładem Muzeum Powstania Warszawskiego i Polskiego Bractwa Kawalerów Gutenberga w 2010 roku. Po demobilizacji w listopadzie 1920 powrócił do Warszawy i kontynuował rozpoczęte studia.

1 października 1928 rozpoczął pracę w administracji państwowej. Był najpierw referentem (pracował wówczas pod kierunkiem wiceministra Stefana Starzyńskiego, był członkiem grupy etatystów określających się jako „Pierwsza Brygada Gospodarcza”), potem radcą w Biurze Ekonomicznym Prezydium Rady Ministrów (1929–1932) i w Biurze Przedsiębiorstw Państwowych Ministerstwa Skarbu (1932–1934), naczelnikiem Wydziału Handlu Wewnętrznego w Ministerstwie Przemysłu i Handlu (1926–1939). 15 sierpnia 1939 został mianowany p.o. dyrektora Departamentu Aprowizacji w Ministerstwie Rolnictwa. Pracę na tym stanowisku rozpoczął 31 sierpnia 1939 roku.

Po wybuchu II wojny światowej ewakuował się wraz z pracownikami Ministerstwa Rolnictwa (5 IX) do Rumunii, stamtąd przedostał się do Francji, gdzie wstąpił do 1 Dywizji Grenadierów Polskich. W czerwcu 1940, po bitwie na froncie lotaryńskim dostał się do niewoli niemieckiej. Przebywał najpierw w oflagu Langwasser pod Norymbergą, potem w stalagu Hammelburg pod Würzburgiem. Po zwolnieniu w 1941 wrócił do Warszawy. Podczas okupacji pracował jako rewident i ilustrator w Spółdzielni Spożywców „Społem”. Należał do AK (pseudonim Falk). Wziął udział w powstaniu warszawskim, początkowo na Starym Mieście w oddziałach PPS Wolność-Równość-Niepodległość, potem w zgrupowaniu „Chrobry II” w Śródmieściu Północnym. Po powstaniu trafił do stalagów Lamsdorf (Łambinowice) i Sandbostel pod Hanowerem (z tego okresu pochodzą liczne wiersze patriotyczne). 28 listopada 1945 powrócił do Warszawy. Pracował w administracji państwowej do 1959 roku.

17 lutego 1959 roku uzyskał stopień doktora ekonomii w Szkole Głównej Planowania i Statystyki na podstawie książki *Wydajność pracy w rolnictwie*. Od 1966 do 1970 pracował w Zakładzie Prakseologii PAN. Od 1963 pracował również jako profesor nadzwyczajny w Katedrze Ekonomii Politycznej na Wydziale Prawa Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, a od 1969 w Zakładzie Ekonomii Politycznej i Historii Myśli Ekonomicznej. W latach 1966–1968 przebywał jako ekspert ds. rolnych ONZ w Dahomeju (obecnie Benin). W 1970 przeszedł na emeryturę, ale jeszcze do 1981 wykładał ekonomię i historię myśli ekonomicznej na UMK.

Zmarł 8 stycznia 1988 roku w Warszawie i został pochowany na Cmentarzu Powązkowskim. Jest autorem ponad 300 artykułów i rozpraw z zakresu prawa, ekonomii, gospodarki, kilkunastu książek i kilkuset wierszy, które pisał przez całe swoje życie.

Ewa Beata Sosnowska

KAZIMIERZ SOKOŁOWSKI

OJCZYŻNA

Głęboko nam w serca wrósł,
ma w nich miejsce specjalne, osobne,
powtarzamy je szeptem lekko drżących ust,
nie chcąc go zmieniać na drobne.

Wyraz przesycony krwią
jak ziemia nasza, naszym trudem żyzna,
wiatyk na drogę życia – i dobrą, i złą –
w którym siły przetrwania i zwycięstwa tkwią:
Ojczyzna!

(Lamsdorf, 18 listopada 1944)

POLSKA

Ojczyzno moja, Polsko –
Boże na ziemi słowo:
szumiąca Puszczą Tucholską,
Białowieską, Karpacką, Jodłową,

tętniąca Wilią i Brdą,
Dunajcem i Czeremoszem –
urodę twą
w sercu stęsknionym noszę.

Tatry, Howerle, Trzy Korony
wnosisz ku niebu jak pięście.
Tyś moim – dziś utraconym –
szczęściem!

(Lamsdorf, 31 grudnia 1944)

Rozprawa ucznia z patriotyzmem

DARIUSZ GRZYWACZEWSKI



Uczonym oznajmia mi głosem, że najlepiej nam było za Piasta – śpiewał Królikowski, piosenka ta ma już ponad dekadę, jednak z każdym dniem można usłyszeć coraz więcej takich uczonych głosów. Dodajmy, że głosy należą najczęściej do osób przekonanych o tym, że Piast to ten, którego myszy zjadły. Ale nie bądźmy niesprawiedliwi, są też i tacy, którzy nie potrzebują autorytetu Mieszka czy Bolesława, wystarczy im samo hasło, dźwięk, ruch. I już ruszają tysiącami, a flagi ich mienią się kolorami bieli i czerwieni, na ustach i w sercach niosą zaś to, co najcenniejsze – Ojczyznę. Wtedy to krzyczą: „Za niepodległość!”, „Za rewolucję!”, „Na barykady!”, nadymając biało-czerwone piersi, przejąc biało-czerwone muskuły, walczą z polskim zaborcą. Nie pozwolą mu się panoszyć bezkarnie po ulicach. Zresztą, nie musi być to Polak, człowiek to człowiek, a jeśli klatki nie nadyma, muskułów nie przeży, to jest przeciwko nam, a nie z nami.

A kiedy te pochody tysiącami się przelewają ulicami, z boku zwykle stoi ktoś, kto w Polsce się urodził, tu żyje, pracuje albo się uczy, może nawet chce założyć rodzinę. Stoi 3 maja, stoi 1 września, stoi 11 listopada, stoi 13 grudnia, żeby 22 stycznia zaśpiewać *Wielkie nieba, co ja widzę? Wielkie nieba, co ja słyszę?*. Nikt z nim nie porozmawia, będzie miał za to szczęście, jeśli uda mu się bez szwanku wrócić do domu, mijając kolejną manifestację.

Jestem jednym z takich ludzi. Za każdym razem, kiedy idąc Krakowskim

Przedmieściem albo Alejami Jerozolimskimi, napotykam ten białoczerwony tumult opowiadający się najczęściej za jedną z radykalnych opcji politycznych, ale treściowo pozostający tylko i wyłącznie białoczerwonym tumultem, poważnie się zastanawiam. Zastanawiam się, czy mam problemy z myśleniem, czy może upragniony sen białoczerwonych muskułów się spełnił i wreszcie Polska została najechana. Kiedy jednak upewniam się, że za rogiem nie czeka czołg z czerwoną gwiazdą, a nade mną nie słychać silników samolotu ze swastyką na ogonie, zajmuję się opcją drugą, czyli własnymi kłopotami z rozumieniem świata.

Pierwsze pytanie, jakie sobie stawiam to: dlaczego? Dlaczego ci wszyscy ludzie zamiast spędzić czas z rodziną albo poczytać książkę, wychodzą na ulicę? Na szczęście dane z Głównego Urzędu Statystycznego szybko się przypominają. Polacy spędzają najwięcej czasu przed telewizorem ze wszystkich krajów Unii. Właśnie tak, statystyczny Polak ogląda telewizję przez ponad 4,5 godziny dziennie, codziennie (z wyjątkiem weekendów, gdyż wtedy ten czas jeszcze wzrasta). Skoro przez tyle czasu ogląda się wspaniałe produkcje emitowane zarówno z mediów publicznych, jak i komercyjnych, nie dziwne, że na czytanie książek nie ma już czasu. Tak, w tym wskazuje też górujemy nad naszym europejskim podwórkiem – 60% polskiego społeczeństwa nie przejrzało (nie wspominając o czytaniu) w 2012 roku ani jednej książki. No dobrze...



Trzeba zrezygnować z pobudek egoistycznych. Może w takim razie chodzi o sprawę, może za tymi manifestacjami stoi większe dobro, interes narodowy? Myślę intensywnie, szperam w pamięci – 2 lata w przeszłość, rok, pół roku, miesiąc, ostatni tydzień. I dochodzę do przereklamowanego wniosku, iż żadna z nich ani razu nie miała wymiernych korzyści dla państwa, ani nie miała żadnego wpływu na otaczającą nas rzeczywistość.

Pozostaje tylko jedna, racjonalna przyczyna regularnego powstawania białoczerwonego tumultu. Tumult tworzy się dla tumultu, aby każdy na co dzień samotny człowiek mógł nawiązać do wiecznej żywej w polskim narodzie idei insurrekcji kościuszkowskiej, aby mógł poczuć się odpowiedzialny i ważny, a w dodatku szlachetny i honorowy. Niestety (choć dla wielu to szczęście!), teraz trudno zostać rozstrzelanym, powieszonym albo chociaż poszukiwanym za bycie pro-polskim w polskiej Polsce. Dlatego honor jest wyimaginowany, odpowiedzialność zmyślona.

Patriotyzm – w ustach Polaka to hasło zawsze brzmiało i brzmi patetycznie, kojarzy się z ułańską szarżą, honorową śmiercią albo przynajmniej narażaniem życia w słusznej sprawie. Ale teraz zadaniem nas wszystkich jest nadanie mu zupełnie innego znaczenia. Niech nie kojarzy się nam jedynie z katordzą, opozycją w stosunku do systemu panującego, krwią powstańca, który na tygrysa miał wisa. Patriotyzm w dzisiejszej Polsce powinien być elementem budującym, a nie motywującym do destrukcji, bo to zniszczenie, które jak lejtmotyw przewija się w licznych wytworach kultury XIX-wiecznej, już nastąpiło, teraz nastała pora na odbudowę i doskonalenie się. Przewodnik romantyczny zamierzmy na pozytywistyczny, gdyż pozytywista nigdy nie pali za sobą wszystkich mostów, ale chce stworzyć sobie i innym jak najlepsze warunki do życia, pozytywista jest krytyczny, kalkulujący, ocenia, a następnie próbuje rozwiązać problem.

Na koniec tych skromnych rozważań chciałbym odwołać się do Prusowskiej kroniki zatytułowanej *Wieża paryska* w kontekście wszystkiego, co zostało powyżej powiedziane, ponieważ myślę, że zachowała ona niezwykłą aktualność nawet po stu z górą latach. W opowiedzianej w kronice historii fikcyjni robotnicy z Polski, Francji i Niemiec dostają zadanie – mają zbudować wieżę. Historia kończy się tak, że kiedy Niemcy i Francuzi oddają swoje konstrukcje, wynajdując przy okazji maszyny ułatwiające pracę, o Polakach dowiadujemy się, że zdołali wprawdzie stworzyć sporo stanowisk kierowniczych, ale budowli nie wzniesli... Zbyt byli pochłonięci pracami sytuującymi się poza meritum. I chociaż nie ma w Prusowskiej „przypowieści” mowy o umieraniu za ojczyznę, to założę się, że gdyby przenieść tę fabułę na dzisiejsze realia, to każdy z tych robotników swoje nieróbstwo umiałby uzasadnić, na honor się powołując. Ale honorem, a szczególnie taką jego odmianą jak prężenie białoczerwonych muskułów wieży się nie zbuduje.



DARIUSZ GRZYWACZEWSKI

Uczeń klasy trzeciej o profilu humanistycznym. Finalista XXV Olimpiady Filozoficznej (2013).

NAPISALI O NAS

W STRONĘ NOWOCZESNEGO PATRIOTYZMU

„... patriotyzm polega na akceptowaniu swojego państwa takim jakie ono jest oraz robieniu wszystkiego, żeby poprawić to, co negatywne, i podtrzymywać to, co pozytywne. Nie sztuka wyjechać i powiedzieć sobie «to nie mój kraj», bo jest biedny, słaby i źle zorganizowany. Tak samo większość matek kocha swoje dzieci takimi jakie one są: nie tylko silne, zdrowe i mądre, ale i kalekie, chore, głupie.

W DNIU 16 LISTOPADA 2012 roku, w V Liceum Ogólnokształcącym im. ks. Józefa Poniatowskiego w Warszawie odbył się panel dyskusyjny zatytułowany „Oblicza współczesnego patriotyzmu. Jak o nim mówić, jak go uczyć?”. Uczestników panelu oraz licznych gości powitał dyrektor Poniatówki, dr Mirosław Sosnowski. Prelekcje wygłosili: Włodzimierz Paszyński, wiceprezydent m.st. Warszawy; prof. Andrzej Wielowieyski, prawnik, polityk, parlamentarzysta; prof. Andrzej Friszke, historyk, zastępca przewodniczącego IPN; dr Adam Wielomski, politolog, redaktor naczelny kwartalnika „Pro Fide et Lege” oraz portalu konserwatyzm.pl; dr Grażyna Okła, pracownik naukowy Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach; redaktor Maciej Rosalak („Rzeczpospolita”, „Uważam Rze Historia”). Dyskusję poprowadzili: Joanna Zaremba i Jakub Ostromięcki, nauczycielka języka polskiego oraz nauczyciel historii z Poniatówki. W panelu Gminę Wiązowna reprezentowała wójt gminy Anna Bętkowska oraz nauczyciele Zespołu Szkolno-Gimnazjalnego w Zakręcie.

Otwarcie debaty poprzedził krótki koncert fortepianowy polskich pieśni narodowych (m.in. *Warszawianki*) w wykonaniu ucznia Liceum, a także Państwowej Szkoły Muzycznej II stopnia, Jeremiasza Hendzla. Następnie aktor Marek Lewandowski odczytał kilka utworów poetyckich nieżyjącego już mieszkańca gminy Wiązowna, prof. Kazimierza Sokołowskiego, z wydanego w 2012 roku przez Fundację im. ks. Józefa Poniatowskiego w Warszawie tomu „*Bo dla Ojczyzny*”. Wybór wierszy z lat 1919–1955. Odczytane wiersze ukazywały ewolucję patriotycznej mentalności autora – uczestnika Legionów i wojny polsko-bolszewickiej, obrońcę z września 1939 roku i jeńca niemieckiego oflagu – od egzaltowanego, patetycznego ujmowania Ojczyzny jako Matki, której należy bronić z orężem w rękę za wszelką cenę, do bardziej wyważonych, stonowanych refleksji na temat straszliwych, niszczących skutków narodowej klęski.

W wygłoszonych prelekcjach powtarzały się niektóre motywy oraz punkty widzenia. Prelegenci byli zgodni, że polskie myślenie o patriotyzmie wywodzi się z dwóch odmiennych tradycji. Jedną jest romantyczny zryw powstańczy, stawiający wolność jako nadrzędny cel i nie liczący się ze skutkami ewentualnej klęski; drugą nato-

miast jest podejście zdrowo rozsądne, pozytywistyczne, nakazujące konstruktywną pracę i ostrzegające przed doprowadzaniem za pomocą akcji zbrojnych do nieprzewidywalnej destrukcji. Zgodzono się, że dramat Polski rozpoczął się od rozbiorów u schyłku XVIII wieku. Wcześniej był udany eksperyment organizacyjno-społeczny, jakim było państwo Jagiellonów, jak również okres sarmatyzmu, wzór szlacheckiej demokracji (zanim została ona zniszczona przez nadużywanie osławionego *liberum veto*) oraz państwa „bez policji”. Zwrócono uwagę na fakt osłabienia poczucia tradycyjnego patriotyzmu u obecnej młodzieży szkolnej, zainteresowanej w dużym stopniu innego rodzaju wartościami.

– Historię można traktować jako sposób na poznanie samego siebie. W naszym narodzie, obarczonym tradycją rozbiorów oraz klęsk powstańczych, utrzymuje się ciągle słabe poczucie własnej wartości, ujawniające się między innymi w tym, że przywiązujemy nadmierną wagę do tego, jak nas widzą inni, zwłaszcza państwa zachodnie. Na szczęście, jak wynika z danych socjologicznych, po wejściu Polski do Unii Europejskiej poczucie naszej narodowej wartości wzrosło – powiedział jeden z prelegentów.

– W polskim etosie narodowym nisko cenione są elementy nowoczesnego patriotyzmu, z szacunkiem dla pracy na czele. Zastanówmy się, które państwo jest silniejsze i bardziej liczące się na arenie międzynarodowej: to, w którym każdy jest przesycany patriotyzmem od niemowlaka do stulotka, czy takie, w którym poczucie patriotyzmu jest mniejsze, ale w którym ludzie ciężko pracują dla wspólnego dobra? – powiedział inny z uczestników dyskusji. Wyrażono również pogląd, że patriotyzm polega na akceptowaniu swojego państwa takim, jakie ono jest oraz robieniu wszystkiego, żeby poprawić to, co negatywne, i podtrzymywać to, co pozytywne. Nie sztuka wyjechać i powiedzieć sobie „to nie mój kraj”, bo jest biedny, słaby i źle zorganizowany. Tak samo większość matek kocha swoje dzieci takimi, jakie one są: nie tylko silne, zdrowe i mądre, ale i kalekie, chore, głupie.

W toku dyskusji większość jej uczestników była zdania, że zadaniem nauczycieli historii jest kształtowanie i umacnianie postaw patriotycznych poprzez przekazywanie konstruktywnej wiedzy o narodowej historii, przykładaniu nacisku na pozytywne strony tych dziejów, ale i krytyce jej błędów i „grzechów” w duchu konstruktywnego wyciągania wniosków. Natomiast zadaniem nauczycieli języka polskiego jest ukazywanie piękna narodowej kultury, zwłaszcza literatury.

Panel „Oblicza współczesnego patriotyzmu” został zrealizowany przez Liceum oraz Fundację im. ks. Józefa Poniatowskiego w ramach programu „Małe granty” finansowanego przez Miasto Stołeczne Warszawę.

Piotr Kitrasiewicz

(„Powiązania. Miesięcznik Samorządowy Gminy Wiązowna” 2012, nr 11)

Sport w Poniatówce

„Szlachetne zdrowie, nikt się nie dowie, jako smakujesz, aż się zepsujesz”... „ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto cię stracił...”

COZIENNIE TO „MOTTO” TOWARZYSZY nam w drodze do pracy. Każdego dnia dbamy o kręgosłup, brzuszki, nóżki, ramionka i klateczki (paru ma już nawet klatki :-)), bo rzadko, mając 15–18 lat, młody człowiek zdaje sobie sprawę, jak ważną rzeczą jest dbałość o prawidłowy rozwój naszego organizmu i jak ważną rolę w tym wszystkim odgrywa wychowanie fizyczne. Nastolatki nie myślą o tym, że okres młodości i pięknego ciała trwa bardzo krótko w stosunku do długości całego życia człowieka. To właśnie w wieku młodzieńczym powinniśmy ze szczególnym zaangażowaniem zadbać o swój rozwój fizyczny.

Na pewno niewielu z nas zdaje sobie sprawę z tego, że od 25 roku życia zaczynamy się biologicznie starzeć. Okres licealny jest najlepszą porą na inwestowanie w siebie i swoje ciało, a jest to inwestycja długoterminowa, przynosząca zyski i korzyści w przyszłości (nie tak jak w Amber Gold). Dlatego właśnie nie można protestować przeciwko sympatycznym wizytom w parku, „pobieraniu materaca na parę”, slalomie między pachółkami czy siedzeniu po kilka minut na wyimaginowanym „krzeselku”. Wychowanie fizyczne w Poniatówce to szeroki zakres działań, a nie tylko „gra na macie”. Jakby się nad tym głębiej zastanowić, sprawia nam to ogromną przyjemność. Mimo skolioz, niedyspozycji, kataraków i opóźnionych pociągów nasza wiara i dążenie do wpajania zdrowego i sportowego trybu życia jest niezniszczalna.

Suche fakty z życia sportowego Poniatówki

Każdy rok szkolny to zmagania sportowe na dwóch płaszczyznach. Zmagania międzyklasowe są preludium do rozgrywek międzyszkolnych. To łącznie ponad sto meczów, tysiące kibiców, hektolitry wylanego potu i niezliczone emocje. Rozgrywki mają na celu wyłonienie mistrzów szkoły w poszczególnych dyscyplinach, pomagają także „wyłowić” najbardziej utalentowane zawodniczki i zawodników. I tak oto, w Poniatówce rozgrywane są turnieje w następujących dyscyplinach: piłka koszykowa dziewcząt i chłopców, piłka nożna dziewcząt i chłopców, piłka siatkowa dziewcząt i chłopców. Tegoroczną nowością są międzyrocznikowe rozgrywki dziewcząt i chłopców w piłce ręcznej. Do tej pory wyłoniliśmy mistrzów w piłce koszykowej. Wśród dziewcząt tytuł obroniły uczennice klasy 2B ze swoją liderką Dorotą Jędrzejewską. Zmagania chłopców zakończyły się małą niespodzianką – zwyciężyli uczniowie klasy 2E. W XLVI Warszawskiej Olimpiadzie Młodzieży z różnych względów nie wystartowaliśmy w rozgrywkach piłki koszykowej. W piłce siatkowej drużyna męska osiągnęła duży sukces, zdobywając srebrny medal w dzielnicy. Tylko „małe punkty” zdecydowały o tym, że to nie my, a Noakowski zdobył złoto. W rozgrywkach piłki ręcznej nasi chłopcy „otarli się” o podium. W spotkaniu o trzecie miejsce przegrali z Zespołem Szkół Licealnych i Ekonomicznych 8:9 (6:3). Po zeszłorocznych „zawirowaniach” ambicje naszej drużyny piłkarskiej były podrażnione. Niestety odpadliśmy w fazie grupowej. Liczymy na równie dobre jak w poprzednim sezonie starty naszych uczniów w biegach przełajowych. Walczyć! Trenować! Poniatówka musi panować!

Beata Jabłecka, Ignacy Stępiński, Michał Lizińczyk, Bartek Miecznik



STO LAT CIERPLIWOŚCI

Ja to się łatwo nie denerwuję. Do uczenia potrzeba dużo cierpliwości. Wielu muzyków jej nie ma, rozum im odbiera, kiedy usłyszą źle zgraną nutę
Roman Totenberg¹

KIEDY PIERWSZY RAZ USŁYSZAŁAM o Romanie Totenbergu, byłam świeżo po lekturze książki Sir Kena Robinsona *The Element. How Finding Your Passion Changes Everything* (*Uchwycić żywioł. O tym, jak znalezienie pasji zmienia wszystko*). Pomyślałam wtedy, że trudno o osobę, której życie mogłoby być lepszą ilustracją tej tezy. Życiorys Romana Totenberga pokazuje, że pasja, jeśli ma się szczęście ją znaleźć, zmienia wszystko naprawdę, ustawia priorytety i zadania, pozwala przezwyciężać trudności, zjednywać sobie ludzi i osiągać wszystko to, bez czego niemożliwa jest znacząca, uważnie odbywana podróż. Słuchając muzyki Totenberga, czytając jego biografię, wywiady z nim i wspomnienia jego studentów, trudno się oprzeć wrażeniu, że obcujemy z człowiekiem, który dzięki dwóm swoim pasjom uważnie i szczęśliwie przeżył długie, dobre, spełnione życie.

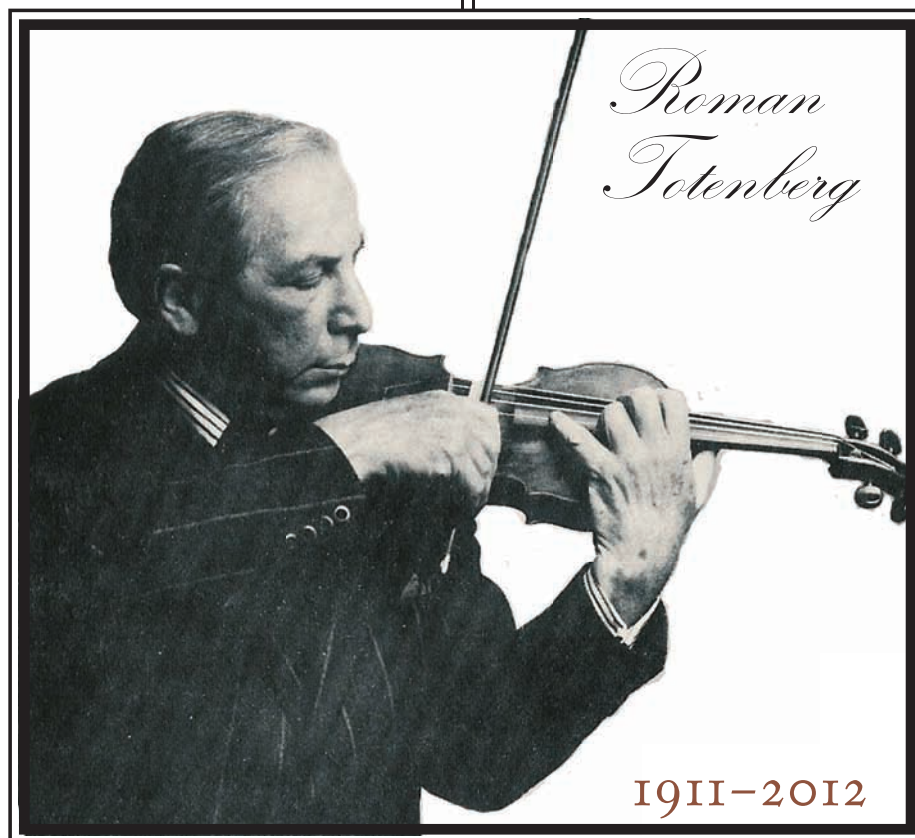
Obie pasje, muzyka skrzypcowa i uczenie, znalazły go wcześniej. Miał sześć lat, kiedy zaczął się uczyć gry na skrzypcach, siedem, kiedy koncertował, czternaście, kiedy zaczął współpracę z Orkiestrą Filharmonii Warszawskiej; niewiele więcej, kiedy poznały go najważniejsze sale koncertowe Europy i Stanów Zjednoczonych. Współpracował z najwybitniejszymi muzykami swoich czasów, z Szymanowskim, Rubinsteinem, Menuhinem, Bernsteinem. Podziwiano go na dworach królewskich i w Białym Domu, a jego wykonania koncertów Brahmsa i Bacha do dzisiaj wyznaczają światowe standardy. „Muzyka była dla niego formą życia” – mówi jego dawny student.

Swoją drugą pasję, nauczanie, znalazł też bardzo wcześniej. „W wieku 11 lat miałem studenta, który miał lat 10. Zawsze lubiłem uczyć” – powiedział w wywiadzie dla „BU Today”, dodając: „Uczenie daje wielką satysfakcję. Nauczyciel uczy się o wiele więcej niż jego studenci”. Może i prawda, ale studenci Totenberga najwyraźniej uczyli się od niego aż nadto dosyć, bo niezwykle sobie cenili jego pomoc. „To najważniejszy mentor, jakiego miałam, człowiek, który najmocniej mnie wspierał”; „Ma olbrzymią wiedzę”; „Nigdy we mnie nie wątpił”; „Był niezwykle hojny, dostawałem od niego czas i uwagę, nigdy też nie stawiał siebie na pierwszym miejscu”; „To nie to, że dostałem od niego jedną szansę – w każdy sposób dostępny nauczycielowi opiekował się mną i mnie wspierał, żebym się rozwijał i rósł jako muzyk”; „Bez niego nie byłabym osobą, którą jestem dzisiaj”; „Budził we mnie odwagę. To jego najważniejsze cechy: cierpliwość i odwaga”; „Nigdy nie oddziaływał przez strach, zawsze przez zachętę”; „Był nauczycielem, który skłaniał mnie do największego wysiłku w taki sposób, że czuło się jego wsparcie, najzupełniej magicznie” – to tylko niektóre z wypowiedzi jego uczniów. Kto mógłby chcieć lepszego nauczyciela, jaki nauczyciel może osiągnąć więcej?

Uczył w Boston University College of Fine Arts, w Longy School of Music, Peabody Conservatory of Music, w Music Academy of the West, wybitnych amerykańskich uczelniach muzycznych. Nie przestał uczyć również wtedy, gdy nie pracował już jako nauczyciel akademicki. Mówił: „W moim słowniku nie ma słowa «emerytura»”. Żartował: „Ktoregoś dnia tu pewnie padnę na miejscu, jak ktoś będzie za bardzo fałszował”. Kochali go za to poczucie humoru, za wielką hojność, za błyskotliwość i szlachetność.

Uczył do końca. Już bardzo sędziwy, zmęczony chorobą, mówiący z trudem, ale tak samo uważny i cierpliwy, jeszcze kilka dni przed śmiercią słuchał studentki wykonującej koncert Brahmsa. „Dopóki żyjesz, dopóki można, bądź dobry” – mówił Marek Aureliusz. Widać się zgadzali, Totenberg i cesarz.

W poprzednim numerze „Głosu Poniatówki” Mirosław Sosnowski przypominał o 101. urodzinach Profesora, pisał też o swojej rozmowie z nim, w której wspominali



maturę Profesora w naszej szkole, a dyrektor mówił mu o planach nadania jego imienia jednej z najważniejszych sal w Poniatówce. Teraz, kiedy Profesor już odszedł, wspominamy go znowu, bo chcemy, żeby tutaj szczególnie o nim pamiętano. Mam nadzieję, że ten wybitny, spełniony i szczęśliwy człowiek zainspiruje uczniów, próbujących znaleźć swoją pasję i uchwycić swój Żywioł, że będzie wzorem dla nauczycieli, codziennie starających się o cierpliwość i odwagę.

Przypisy

¹ Wypowiedzi Romana Totenberga i jego studentów cytowane za: www.bu.edu i za <http://www.romantotenberg.com/legacy/>, tłum. M. Sznajder.



MONIKA SZNAJDER

Absolwentka anglistyki UW i Podyplomowego Studium Trenerów Grupowych SWPS, tłumacz przysięgły, w Poniatówce uczy języka angielskiego od kilkunastu lat. Uzależniona od obcowania ze słowem pisanym, specjalnie z tym nie walczy.

ONE HUNDRED YEARS OF PATIENCE

I don't get upset too easily. In teaching, a great deal of patience is required. There are many musicians who don't have patience. They lose it when they hear a wrong note
Roman Totenberg¹

WHEN I FIRST HEARD OF ROMAN Totenberg, I had just read *The Element. How Finding Your Passion Changes Everything* by Sir Ken Robinson. I remember thinking back then that it would be hard to find a person whose life would illustrate this idea any better. Roman Totenberg's biography shows that passion, if one is fortunate enough to find it, really changes every single thing. It defines priorities and tasks, helps overcome obstacles, win people over and achieve all those things without which a meaningful, attentive journey is practically impossible. Listening to Totenberg's music, reading his biography, interviews and the memories

day and added: "There's a great satisfaction in teaching. You learn a lot more than the students do." So it might be, but Totenberg's students clearly must have learned more than enough from him, because they immensely appreciated his help. "He may be the most important mentor and teacher and supporter I've ever had". "He knows so much". "He never gave up on me". "It's the generosity, the extra time, the extra attention, never putting himself first". "He didn't give me just one chance – he nurtured and supported me in every way a teacher can so that I would develop and grow". "Without him I would not be the person I am now". "He really instilled me with courage. Those are his trademarks: patience and courage". "He would never operate by fear, but by encouragement". "He has always [...] encouraged me to do my very best, you felt supported, and magically so". Who could wish for a better teacher, what teacher could hope to achieve more?

He taught at the Boston University College of Fine Arts, the Longy School of Music, the Peabody Conservatory of Music, and the Music Academy of the West – all major American music universities. He did not stop teaching even when he was already professor emeritus. He said: "Retirement is not in my vocabulary". I probably will drop dead one of these days. Somebody will play so many wrong notes that I won't be able to stand it anymore," he joked. They loved him for his sense of humour, for his outstanding generosity, for being the brilliantly noble man that he was.

He taught until the very end. Frail, bed-ridden, speaking with difficulty, but still just as attentive and patient as before, several days before his death he listened to a student performing a Brahms concerto. "While you live, while it is in your power, be good," Marcus Aurelius once said. They must have agreed on that one, Totenberg and the emperor.

In the previous issue of *Głos Poniatówki* Dr Mirosław Sosnowski wrote about the Professor's 101st birthday, and about his telephone conversation with him in which the Professor remembered his graduation exam in our school. Dr Sosnowski told him about the plans to name the multimedia hall in Poniatówka after him. Now that Professor has passed away, we reflect on him again, as we want him to be particularly well remembered here. We hope that this outstanding, fulfilled and happy man will inspire students trying to find their passion, capture their Element, and that he will be an example for teachers, every single day striving for patience and courage.

Endnotes

¹ All the quotations of Professor Totenberg and his students from www.bu.edu and <http://www.romantotenberg.com/legacy/>.

*Monika Sznajder
Edited by Piotr Cieplak*



DOBRE WSPOMNIENIA O DOBRYM CZŁOWIEKU

W rocznicę śmierci Elżbiety Runkiewicz



GDY ZACZYNAŁEM MOJĄ kolejną pracę w Liceum Zamoyskiego w 1979 roku, zetknąłem się z różnymi ludźmi, osobowościami i charakterami. Niektórzy od razu stawiali się przyjaciółmi, wszyscy z racji uprawianego zawodu byliśmy kolegami. Do niektórych przez parę ładnych lat zwracało się per pan czy pani. Stali jak gdyby z boku, nie od razu i nie do końca się familiaryzowali, żyli obok, nigdy hałaśliwie nie zabierali głosu na radach pedagogicznych, byli cisi, ale życzliwi.

Taką była Pani Elżbieta Runkiewicz, potem Elżbieta po prostu, a na końcu Ela. Ale to „na końcu” przyszło po wielu latach znajomości, a dzisiaj, z perspektywy tych lat, mogę powiedzieć – przyjaźni.

Co było cechą charakterystyczną Eli? Spokój. I kiedy prowadziła lekcję, i kiedy siedziała wraz z innymi na radach pedagogicznych, i wtedy, gdy jako wychowawczyni załatwiała trudne sprawy wychowawcze swojej klasy. I to jak je załatwiała.

Nie żebrała o stopnie u kolegów nauczycieli, po prostu mówiła o uczniu, pokazywała to, co w nim dobre, a potem, bardzo poważnym spojrzeniem przesyłała rozmówcę, czekając na zrozumienie. I prawie zawsze uzyskiwała to, o co prosiła. W spokoju, wielkiej kulturze. Uczniowie o tym nie wiedzieli, bo to, że się za nimi wstawiała, owiane było tajemnicą. Jej tajemnicą. Nie mówiła o tym, bo wdzięczności od uczniów nie oczekiwiała. Taka siła spokoju emanowała od Pani Profesor Elżbiety Runkiewicz. Wymagała od innych, ale nie więcej niż od siebie samej, na lekcji wyciszona, systematyczna, sprawiedliwa. Ale sprawiedliwa nie do bólu. Niektórzy nauczyciele,

przekonani o nadrzędności sprawiedliwego oceniania nade wszystko, potrafili nauczyć, ale zniszczyć człowieka.

Taką akurat nie była Profesor Elżbieta Runkiewicz. Nie przekraczała granicy ludzkich emocji i cierpienia z powodu niepowodzeń. Chciała pomóc, wyciągała rękę, pokazywała raczej to, co w uczniu dobre, a nie to, co złe, co stanowi jego niedomogę. I robiła to w sposób bardzo naturalny, dyskretny.

Stała na uboczu, ale to nie znaczy, że nie lubiła towarzystwa i ludzi. Pamiętam wiele wizyt w Jej domu, wiele przegadanych godzin, dużo wypitych kaw i herbat, ogromne ilości wypalonych papierosów. Ten nałóg towarzyszył Eli do końca.

Miała pewną cechę, którą posiada niewielu ludzi. Chociaż stała na boku, miała w każdej kwestii własne zdanie, nawet w czasach politycznie trudnych, a do końca swego życia była światopoglądowo związana z lewicą. I w czasach, gdy wielu z nas zakładało Solidarność w Zamoyskim i czynnie w niej działało, Elżbieta, stojąca z boku, chociaż z innej opcji, była większości nam bliska. Zastanawiałem się wielokrotnie, dlaczego?

Kiedy dzisiaj patrzę, jak może dzielić opcja polityczna, światopogląd, podziwiam Elę za to, kim była wobec ludzi. I dzisiaj rozumiem, że bardziej niż politykę i kwestie ideologiczne, ceniła ludzką przyjaźń i umiała dbać o to, aby mając własne zdanie, nie nienawidzić ludzi za to, że mają inne.

Obserwowałem Elżbietę do 1987 roku. Siedem wspólnie przepracowanych lat to mało i dużo. Potem zacząłem kierować Poniatówką. W latach dziewięćdziesiątych zaproponowałem Eli przejście do

Poniatowskiego. Zgodziła się od razu. Weszła w to nasze poniatowskie środowisko cicho, spokojnie, jakby tylnymi drzwiami. Znowu była obok, ale chyba już mniej. Wszyscy ją lubili. Nie było nauczyciela, z którym byłaby w konflikcie. Nie znam ucznia, który by się źle o niej wyraził w szkole, czy po latach, po jej ukończeniu.

To coś, co było w Eli, to był „człowiek”, dobry i ciepły, chociaż na jej serdeczny uśmiech i otwartość trzeba było sobie zasłużyć.

Po moim wyjeździe do Londynu została wicedyrektorem. Systematycznie wywiązywała się z trudnych obowiązków. Ciężko pracowała, wychodząc ze szkoły późną nocą, po zrobieniu wszystkiego, co do niej należało. Ceniła ją nauczyciele, dyrektorka, a ona umiała zachować dystans, nikomu nie zrobić krzywdy ani przykrości. A kiedy widziała, że wymagania, jakie się komuś stawia, są zbyt wysokie, pomagała mu albo sama wykonywała za tego kogoś pracę.

Jeszcze ponad dekadę przepracowaliśmy wspólnie w Poniatówce. Od 2000 do 2012 roku. Rosyjski pozostał w formie szczątkowej, tylko w klasach matematyczno-geograficznych. Tam uczyła Ela. Od podstaw. W ciągu trzech lat nauki potrafiła nie obrzydzić tego języka, a nawet miała sukcesy olimpijskie. Ile pracy musiała w to wkładać. Ile pracy na zero-wych lekcjach, żeby jeszcze powtórzyć coś z tymi, którzy wybrali rosyjski na maturze. Zawsze pomocna, zawsze życzliwa. Zastanawiam się, ile razy w życiu powiedziała komuś – „nie”, „nie mogę”. Chyba rzadko.

Zawsze pomocna, ciągle się ucząca, świetnie tłumacząca teksty rosyjskie. Taka była Ela.

Potem była choroba, był optymizm Elżbiety, która do końca myślała, że wygra z rakiem.

Potem był kościół pełen ludzi, nauczycieli i uczniów Poniatówki, był sztandar Poniatówki, zabrakło delegacji z Zamoyskiego, w którym widocznie zbyt krótko pracowała. I była i urna, która spoczęła na cmentarzu, w ten brzydki, zimowo-wiosenny dzień.

Nie ma już Eli. Nie ma tego Jej dobrego wzroku, tego dyskretnego uśmiechu i jakby zażenowania.

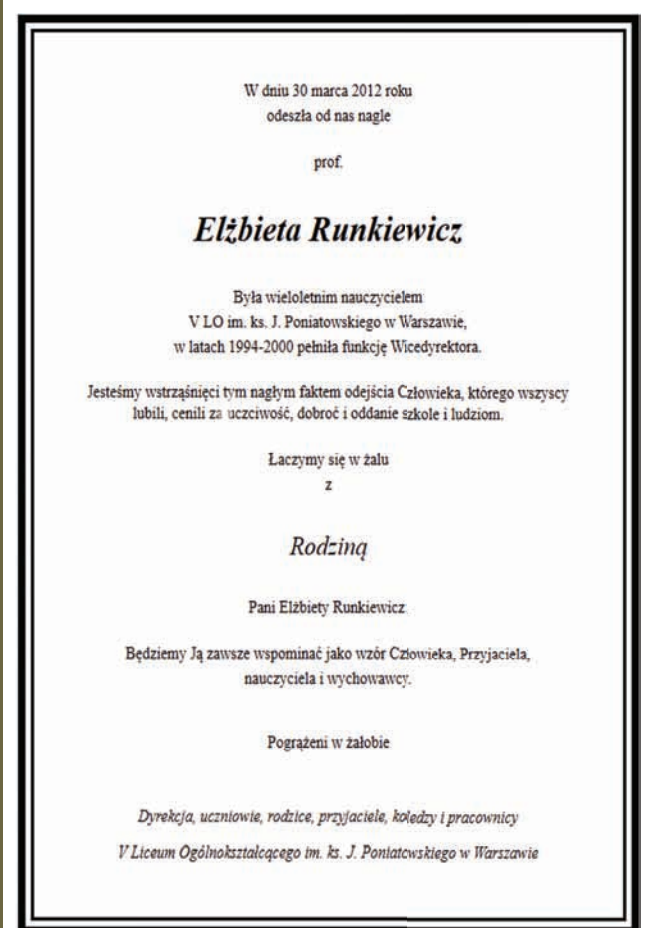
Pozostała po Niej tylko dobra pamięć tych, którzy ją lubili, ceniłi, kochali.

Jestem Ci wdzięczny Elu za 33 lata przyjaźni.

Mirosław Sosnowski

PANIĄ PROFESOR ELŻBIETĘ RUNKIEWICZ, KTÓRA w Zamoyskim przez cztery lata uczyła mnie języka rosyjskiego, zapamiętałem jako osobę wyjątkową. Była moją ulubioną nauczycielką, a przedmiot, którego uczyła – moim ulubionym przedmiotem. Choć nie była „osobowością” ani szkolną legendą, uważam ją za wzór nauczyciela. Na Jej lekcje czekałem i przychodziłem z przyjemnością. Uosobienie spokoju, zawsze opanowana, nigdy na nikogo nie podnosiła głosu. Skromna, zdystansowana, budziła respekt. Bardzo wymagająca, ale zawsze traktująca uczniów z szacunkiem. A zachęcenie do (obowiązkowej) nauki języka rosyjskiego w Polsce w latach 80. ubiegłego wieku nie należało do zadań najłatwiejszych... Pani Ela była też dobrym, życzliwym, chętnym do pomocy człowiekiem, o czym przekonałem się wielokrotnie. Po mojej maturze nie utrzymywaliśmy kontaktów, bardzo rzadko spotykaliśmy się na ulicy. Nasze drogi się rozeszły, mimo to wiadomość o Jej przedwczesnej śmierci w następstwie ciężkiej choroby w marcu 2012 roku była dla mnie ciężkim przeżyciem. Biedna, kochana Pani Ela...

Tadeusz Korsak



ZBLIŻA SIĘ PIERWSZA ROCZNICA ŚMIERCI ELŻBIETY Runkiewicz, mojej koleżanki rusycystki. Przez wiele lat pracowałyśmy w XVIII Liceum Ogólnokształcącym im. Jana Zamoyskiego w Warszawie. Pisząc te słowa, trudno uwierzyć, że już jej nie ma wśród żywych.

Była bardzo lubiana i szanowana przez młodzież, chociaż nie tak łatwo zaskarbić sobie życzliwość i szacunek młodych ludzi, o czym wie każdy, wykonujący ten trudny zawód. A to dzięki swojej postawie życiowej – bycia wymagającym w stosunku do siebie i uczniów. Elżbieta miała rzadką cechę – zawsze broniła swych uczniów, przede wszystkim tych najsłabszych, każdemu dawała szansę.

Są nauczyciele, o których się nigdy nie zapomina. Tacy, którzy potrafili przekazać swą wiedzę, którzy zainteresowali nas światem, którzy udowodnili, że warto się uczyć i być człowiekiem.

Do takich właśnie należała Elżbieta Runkiewicz.

Dobrosława Gawor



ODRODZENIE MAT-FIZU

BARBARA TARNOWSKA

DAWNO, DAWNO TEMU był w Poniatówce taki rocznik, w którym pierwszy raz od niepamiętnych czasów nie otworzono klasy matematyczno-fizycznej. Wszystko wskazywało wówczas na to, że rok 2007, bo o nim tu mowa, zapisze się niechlubnie na kartach historii szkoły jako data wyłączenia z oferty edukacyjnej profilu o długiej tradycji, a skierowanego specjalnie do młodych pasjonatów przedmiotów ścisłych. Na szczęście, na przekór prognozą, rok ten okazał się czasem swobodnego odrodzenia – na wiosnę 2008 bowiem zespół matematyków z Poniatówki rozpoczął rozmowy w sprawie współpracy naukowej z przedstawicielami Wydziału Matematyki i Nauk Informatycznych Politechniki Warszawskiej. Trwały one co prawda niedługo, ale pozwoliły ustalić podstawowe założenia przyszłej wspólnej linii edukacyjnej. Warto sobie przypomnieć, co składało się wówczas na „odświeżoną” i zapośredniczoną w przestrzeni akademickiej w wizję tego profilu, co uznaliśmy za priorytety. Otóż zależało nam przede wszystkim na stworzeniu klasy, która wyróżniałaby się na tle wielu mat-fizów funkcjonujących w stołecznych liceach.

Co miało być gwarantem ten „inności”? Przede wszystkim jakość kształcenia, ale również atmosfera pracy. Aby cele te mogły być owocnie zrealizowane, najpierw sprecyzowaliśmy korpus tematów niezbędnych przy rozszerzaniu programu matematyki na poziomie szkoły ponadgimnazjalnej, który miał umożliwiać nie tylko szersze widzenie tematów sytuujących się w zakresie problemowym tej dyscypliny, lecz także służyć lepszemu przygotowaniu kandydatów na studia politechniczne.

Od tamtego czasu uczniowie z naszych mat-fizów dwukrotnie w ciągu roku szkolnego uczestniczą w blokach wykładowo-ćwiczeniowych prowadzonych przez pracowników MINI PW (na każdy blok składa się z pięć spotkań trwających dwie godziny lekcyjne). W zależności od rocznika szkolnego różna jest tematyka zajęć. W pierwszym roku wykłady dotyczą kombinatoryki, w drugim poszerzają program szkolny o elementy algebry liniowej, zaś w trzeciej klasie uczniowie dowiadują się więcej na temat równań różniczkowych i ich zastosowania w fizyce. Niektórym może się wydawać, że wszystko to są tematy bardzo odległe od podstawy kształcenia szkolnego. Rzeczywiście, zagadnienia te nie są ujęte w podstawie, ale dobór ten nie jest bezzasadny. Opracowane tematy przyczyniają się bowiem do poszerzenia uczniowskiego spojrzenia na matematykę, pozwalają także lepiej zrozumieć część zagadnień z podstawy programowej. Dodatkowe dwie godziny w tygodniu pozwalają ponadto zetknąć się młodzieży z wykładem prawie „akademickim”. Oczywiście, jest on dostosowany poziomem i sposobem przekazu do wieku odbiorców. Nasi uczniowie po raz pierwszy w życiu widzą wyraźnie strukturę wykładu: twierdzenia, dowody, założenia i oczywiście na początku stanowi to dla nich pewną dodatkową trudność, ale jej przezwyciężanie poszerza ich możliwości rozumowania dedukcyjnego.

Drugim ważnym elementem struktury programu klasy matematyczno-fizycznej jest umożliwienie naszej młodzieży uczestnictwa w kołach przedmiotowych prowadzonych przez pracowników MINI PW, przede wszystkim przez dr Barbarę Roszkowską-Lech i dra Krzysztofa Brysia. Wyzwania intelektualne podejmo-

wane w ramach prac koła matematycznego stanowią dobre przygotowanie przed startem w Olimpiadzie Matematycznej oraz Konkursie Matematycznym MINI PW. W bieżącym roku szkolnym do grona dydaktyków włączających się w prace koła dołączył nasz absolwent, obecnie student Wydziału Matematyki, Informatyki i Mechaniki Uniwersytetu Warszawskiego, Michał Kisiel. W roku poprzednim korzystaliśmy z pomocy innej absolwentki, studentki informatyki tego wydziału, przy prowadzeniu koła informatycznego. Korzystamy również z mniej oficjalnych, choć równie ważnych możliwości współdziałania. Od czterech lat współpracujemy z wydziałem przy organizacji wspólnego stoiska na Festiwalu Nauki, który odbywa się w czerwcu w Warszawie. Nasi uczniowie prezentują gry matematyczne, jednocześnie ucząc się przekazywania swojej wiedzy młodszym kolegom, choć zdarza się również gra i wygrana ze starszymi od siebie. Jest to dla nas bardzo motywujące doświadczenie.

Czy w Poniatówce może istnieć dobra klasa bez uczniów, którzy uczestniczą w warsztatach olimpijskich w Przewięzi? Nie sądzę, aby było to możliwe. I rzeczywiście, co roku kilkanaścioro młodych pasjonatów przedmiotów ścisłych bierze w nich udział, poświęcając dziesięć dni na intensywną naukę matematyki z przerwami na zgłębianie tajników fizyki, a gdy i tu materiał się wyczerpie – na opanowanie metod matematycznych w fizyce. W tych zajęciach rolę prowadzących i tutorów sprawują mgr Anna Mazurkiewicz – nauczyciel fizyki v LO, mgr Barbara Tarnowska – nauczyciel matematyki v LO wspomagane przez absolwentów Poniatówki, najczęściej byłych olimpijczyków lub laureatów konkursu PW. Nieco ponad tydzień zajęć poza murami szkoły to jednak zbyt mało dla naszych „mat-fiziatków”, jak pieszczotliwie przychodzi ich czasem nazywać. Prawie każdej jesieni dodatkowo odbywają się weekendowe warsztaty w podwarszawskich Petrykoczach, które oprócz niezwyklej atmosfery

wnoszą również możliwość skupienia się tylko na matematyce i fizyce. Prawie każdej wiosny organizujemy weekendowe warsztaty z klasami maturalnymi, które kilka dni pracują niezwykle ciężko nad rozwiązywaniem zadań z arkuszy matury rozszerzonej z lat poprzednich.

Co roku organizujemy również dodatkowy wyjazd z klasami matematyczno-fizycznymi. Dwa lata temu wyjechaliśmy do Szwajcarii w celu zwiedzenia instytutu CERN w Genewie, wysłuchania wykładów o cząstkach elementarnych oraz obejrzenia aparatury badawczej tam zlokalizowanej. W roku 2012 pojechaliśmy do ośrodka w Piszku na Mazurach, gdzie wprawdzie nie prowadzi się żadnych badań podstawowych z fizyki, ale za to można wykorzystać cztery dni na zagłębianie się w zagadnienia pochodnych i całek.

W ten sposób z roku na rok podnosimy poziom nauczania w naszych klasach, z roku na rok rośnie próg punktowy dla kandydatów, z roku na rok więcej uczniów bierze udział w Olimpiadzie Matematycznej i Fizycznej oraz konkursach przedmiotowych PW. Startując od zera, uzyskaliśmy laureatów Olimpiady Fizycznej oraz finalistów Konkursów Politechniki Warszawskiej.

Oczywiście, można powiedzieć – warsztaty może zorganizować każdy. Trudno się z tym nie zgodzić. Cóż więc wyróżnia nasze mat-fizy od innych? Na pewno atmosfera, w której nikt nie boi się zadać pytania, w myśl aforyzmu: „Jeśli nie wiesz – wstydzisz się tylko raz. Jeśli nie pytasz – wstyd na całe życie”.



BARBARA TARNOWSKA

– nauczyciel matematyki w V LO od 2006. Ukończyła Wydział Matematyki, Informatyki i Mechaniki UW (specjalność zastosowania matematyki) w roku 1990. W roku 2012 ukończyła studia podyplomowe Trener Umiejętności Poznawczych na Wydziale Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego.



PIĘĆ LAT WSPÓŁPRACY WYDZIAŁU MATEMATYKI I NAUK INFORMATYCZNYCH PW z V LO

DR INŻ. KRZYSZTOF BRYŚ, DR BARBARA ROSZKOWSKA-LECH, DR KONSTANTY SZANIAWSKI

WYDZIAŁ MATEMATYKI I NAUK Informatycznych (w skrócie MiNI) mieści się w oddanym do użytku nieco ponad roku temu budynku zlokalizowanym na terenie Politechniki Warszawskiej, blisko ulicy Koszykowej. Liczne audytoria, sale wykładowe i laboratoria komputerowe wyposażone są w nowoczesny sprzęt multimedialny. Można u nas studiować matematykę (na studiach licencjackich i magisterskich) oraz informatykę po polsku lub angielsku (na studiach inżynierskich lub magisterskich). Wydział nie należy do największych na Politechnice Warszawskiej, studiuje u nas około 1000 studentów, niemniej i tu można się zetknąć z niepowtarzalną atmosferą. Wielu absolwentów naszego Wydziału ciepło wspomina i pozytywnie ocenia bliskość w relacjach uczeń–mistrz, jakiej doświadczyła podczas studiów.

Przeprowadzka do nowego gmachu umożliwiła nam zwiększenie naboru studentów i począwszy od zeszłorocznej rekrutacji przyjmujemy na pierwszy rok studiów 150 osób na kierunek matematyka, 90 na informatykę i 40 na *computer science*. Aby dostać się na informatykę, trzeba było w poprzednim roku zgromadzić podczas naboru co najmniej 171 punktów, o dostaniu się na matematykę decydowało uzyskanie minimum 140 na 225 możliwych do zdobycia. Przy rekrutacji na matematykę maksymalnie 150 punktów otrzymuje się za wynik na maturze z matematyki, 50 za przedmiot do wyboru i 25 za język obcy. Rekrutacja na informatykę i *computer science* rządzi się nieco innymi regułami. Tutaj można otrzymać maksymalnie 100 punktów za matematykę, 25 za język obcy oraz co najwyżej 100 za przedmiot do wyboru (o ile jest to fizyka lub informatyka).



Współpraca Wydziału Matematyki i Nauk Informatycznych Politechniki Warszawskiej z V Liceum Ogólnokształcącym im. ks. J. Poniatowskiego została zapoczątkowana w roku 2008. W Poniatówce powstawała wówczas

klasa matematyczno-fizyczna i dyrekcja zwróciła się z prośbą do władz Wydziału o patronat. Podpisaliśmy umowę o współpracy i tak powstała klasa matematyczno-fizyczna pod patronatem Wydziału Matematyki i Nauk ►



Informacyjnych Politechniki Warszawskiej. W klasach matematyczno-fizycznych pracownicy Wydziału i doktoranci prowadzą lekcje matematyki rozszerzające program szkolny i pokazujące piękno różnych dziedzin matematyki. W klasie pierwszej uczniowie poznają podstawy matematyki dyskretniej, w drugiej zagłębiają się w tajniki algebry i teorii liczb, by wreszcie w klasie maturalnej zetknąć się z równaniami różniczkowymi, czyli z matematyką wyższą w najwyższym wydaniu.

Zdaniem zapytanych przez nas nauczycieli z Politechniki Warszawskiej prowadzenie zajęć z matematyki w V LO daje im możliwość kontaktu z młodzieżą, która nie tylko potrafi, ale i chce rozwijać swoje umiejętności matematyczne. Uczniowie świetnie radzą sobie z zadaniami, z którymi problemy miewają studenci Politechniki Warszawskiej. Często zdarzało się, że zaproponowane przez ucznia rozwiązanie było oryginalne i okazywało się znacznie prostsze od dotychczas znanych prowadzącemu zajęcia. Takie efekty przynosi nieszablonowe myślenie, z którym spotykają się podczas lekcji.

We wrześniu 2008 roku w szkole rozpoczęło działalność Koło Matematyczne. O działalności koła piszą uczniowie z pierwszego rocznika mat-fizu na stronie internetowej klasy:

Na zajęciach uczniowie naszej klasy spotykają się z pracownikami PW, którzy wprowadzają nas w arkania matematyki, zapoznając nas z różnorodnymi zagadnieniami, z którymi w normalnych okolicznościach spotkalibyśmy się dużo później. Zajęcia prowadzone są w miłej, stosunkowo luźnej atmosferze, nierzadko z humorem, co powoduje, że nie mamy oporów, by zadawać pytania, próbować samodzielnie dochodzić do rozwiązań danych problemów, a sam udział w zajęciach w żaden sposób nie dostarcza stresu.

Prowadzenie zajęć Koła Matematycznego dla uczniów Poniatówki sprawiało nam ogromną przyjemność. Grupa uczestników była może niezbyt liczna, ale bardzo zainteresowana problemami matematycznymi, zaskakiwała nas swą pomysłowością, ciekawością i wytrwałością w rozwiązywaniu złożonych zadań. Pomysły uczniów były bardzo twórcze, nieszablonowe i nawet gdy nie prowadziły bezpośrednio do poprawnego rozwiązania, uczyły myślenia. Wytrwałości w ich rozwiązywaniu mogą pozazdrościć im nawet dojrzały matematycy. Uczestnicy spotkań Koła nie czekali na gotowe rozwiązania, lecz sami uparcie próbowali mierzyć się z problemami, a nierzadko proces dochodzenia do rozwiązania nie zamykał się w ramach jednych zajęć. Tu warto wspomnieć o „najtrudniejszej zagadce świata”, której rozwiązanie było wypracowywane na kilku posiedzeniach koła. Rozwiązujący za każdym razem byli bliżej poprawnej odpowiedzi, uparcie pragnęli poznać ją sami i nie chcieli zobaczyć rozwiązania przygotowanego przez kogoś innego.

W ciągu tych kilku lat tematyka zajęć Koła była bardzo zróżnicowana:

ciekawe problemy logiczne, zagadnienia problemowe dotyczące różnych działów matematyki, czasem łamigłówek i gry matematyczne. Zadania też miały różny stopień trudności: od tylko trochę trudniejszych niż te na lekcji do tych „olimpijskich”.

Przez krótki okres działało w szkole Koło Informatyczne dla uczniów zainteresowanych informatyką. Uczniowie Poniatówki uczestniczą również w zajęciach organizowanych specjalnie dla nich na Politechnice. Ostatnie takie zajęcia odbyły się już w nowym gmachu Wydziału MiNI.

Wydział Matematyki i Nauk Informacyjnych Politechniki Warszawskiej prowadzi od dawna różnorodną działalność na rzecz popularyzacji matematyki. Ważną częścią współpracy z V Liceum im. ks. Poniatowskiego jest aktywny udział uczniów w tego typu działaniach.

Jednym z takich popularyzatorskich przedsięwzięć jest wspólne stoisko Wydziału MiNI i V LO na Pikniku Naukowym Polskiego Radia i Centrum Nauki Kopernik. Gdy my – wykładowcy, pracownicy wydziału MiNI – gościmy w Poniatówce, staramy się pokazać głęboką matematykę, informatykę w sposób prosty, wręcz rozrywkowy (o ile rozwiązywanie łamigłówek stanowi dla kogoś rozrywkę). Zakładamy, że wiele obiektów matematycznych, zjawisk, zależności, czyli poważną dziedzinę badań naukowych, można pokazać w prosty, namacalny sposób, odwołując się do rzeczy i zjawisk, które nas otaczają w doświadczalnej na co dzień rzeczywistości. To samo podejście do matematyki staramy się prezentować podczas Pikniku Naukowego Polskiego Radia i Centrum Nauki Kopernik, gdzie wspólnie z uczniami Poniatówki prezentujemy wcześniej przygotowane zabawy i pokazy matematyczno-informatyczne skierowane do gości imprezy.

Najlepiej można opisać to na przykładzie Pikniku, którego tytułem była „Wolność”. Wszystkie zabawy przygotowaliśmy w konwencji „uwalniania”. Ubrani byliśmy w specjalnie przygotowane na tę okazję koszulki z napisem „uwolnij książniczkę dla księcia Poniatowskiego” oraz rysunkiem labiryntu, labiryntu, w którym w dość zamaskowany sposób był wrysowany numer naszego stanowiska na Pikniku

– co samo w sobie stanowiło swego rodzaju łamigłóvkę. Rysunek labiryntu nawiązywał również do treści naszej głównej zabawy-łamigłówki:

Książniczka znajduje się z labiryncie. Książę, aby ją uwolnić, może do niej zadzwonić i powiedzieć jej, jak ma wyjść z labiryntu. Niestety, książniczka ma zepsuty mikrofon w swojej komórce i książę nie może się od niej niczego dowiedzieć (np. tego, gdzie się znajduje, ani co widzi wokół siebie). Zadaniem księcia jest podanie ciągu wskazówek typu lewo, lewo, góra, prawo, dół, które wyprowadzą książniczkę z labiryntu niezależnie od miejsca, w którym się znajduje.

Chwilę trzeba się zastanowić nad tym, czy w ogóle wykonanie takiej operacji jest możliwe. Okazuje się, że zależy to od typu labiryntu. Oczywiście, jeśli okazuje się to możliwe, chcemy żeby ten ciąg instrukcji był jak najkrótszy. Każdy labirynt to właściwie inna łamigłówka i często wcale niełatwa, zwłaszcza gdy próbujemy się przekonać, że krótszego ciągu instrukcji nie można podać. Ta łamigłówka obrazuje, a właściwie jest szczególnym przypadkiem jednej z bardziej słynnych hipotez informatyki teoretycznej – hipotezy Cernego. Hipoteza Cernego mówi, że (uwaga! będzie ciąg niezrozumiałych słów zbitych w dziwaczny sposób): każdy synchronizujący automat ma niezbyt długie słowo resetujące, czyli – przekładając na język książniczki – dla każdego labiryntu, z którego książę może wyprowadzić książniczkę jest ciąg instrukcji niezbyt długi w porównaniu z liczbą komnat labiryntu (dokładnie $(n-1)^2$ instrukcji, gdzie n jest liczbą komnat).

I to właśnie jest piękne w matematyce, że jest prosta, a mówi o trudnych rzeczach, jest zabawna, można się nią pobawić, a pomaga rozstrzygać całkiem poważne problemy.

Do najważniejszych przedsięwzięć Wydziału w zakresie popularyzacji matematyki należą także takie inicjatywy jak Konkurs Internetowy z matematyki, MiNI Akademia Matematyki oraz projekt „Archipelag Matematyki”.

Powszechny Internetowy Konkurs – Matematyka jest organizowany przez Wydział MiNI od 1999 roku. Jego celem jest promocja utalentowanych matematycznie młodych ludzi z całej Polski. Konkurs przeznaczony jest dla

młodzieży – uczniów szkół średnich, głównie, lecz nie wyłącznie, klas maturalnych. Każda jego edycja składa się z trzech etapów rozgrywanych przez Internet oraz finału odbywającego się na Politechnice Warszawskiej i trwa od listopada do kwietnia następnego roku. W trzecim etapie, który trwa w bieżącej edycji Konkursu do 4 kwietnia 2013 roku, uczestnik losuje zestaw 10 zadań i przysyła je wraz z pełnymi rozwiązaniami. Około 150 osób z najlepszymi wynikami z tego etapu zakwalifikuje się do finału, który odbędzie się 13 kwietnia 2013 roku w gmachu Wydziału MiNI. W ciągu 3 godzin jego uczestnicy będą rozwiązywać 5 zadań o dość znacznym stopniu trudności.

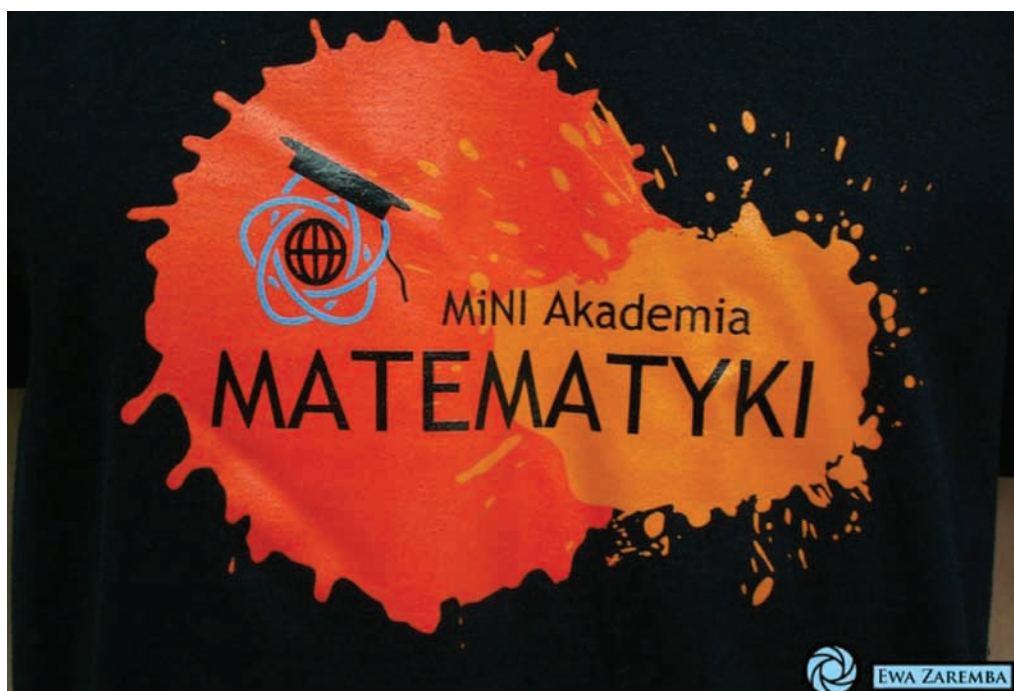
Większość zadań konkursowych nie wykracza swoją tematyką poza zakres treści programowych szkoły ponadgimnazjalnej. Nie są to jednak typowe zadania szkolne. Ich poziom trudności wzrasta wraz z etapem, a rozwiązania często wymagają niestandardowego, wieloetapowego rozumowania oraz umiejętności twórczego myślenia. Zadania finałowe są tworzone z myślą



o tym, by wyłowić uczniów obdarzonych prawdziwym talentem matematycznym. Więcej informacji, regulamin, szczegółowe relacje z poprzednich edycji Konkursu oraz zdjęcia można znaleźć na stronie: www.konkurs.mini.pw.edu.pl. Wśród uczestników finałów i laureatów poprzednich edycji Konkursu znajdujemy uczniów Liceum im. ks. Józefa Poniatowskiego. Liczymy, że i w tym roku ich tam nie zabraknie.

Poniatowszczaków można też spotkać na zajęciach MiNI Akademii Matematyki. Celem tych zajęć, organizowanych w niektóre soboty roku szkolnego, jest popularyzacja matematyki, pokazanie jej piękna oraz zachęcenie do studiowania na kierunkach ścisłych i technicznych. Każde zajęcia składają się z dwóch części: wykładu oraz warsztatów, na których uczniowie samodzielnie rozwiązują problemy związane z tematyką wykładu. Projekt ten jest współfinansowany przez Urząd Miasta Stołecznego Warszawy, a zajęcia przygotowują i prowadzą pracownicy, doktoranci i studenci Wydziału Matematyki i Nauk Informacyjnych. Więcej szczegółów na stronie www.akademia.mini.pw.edu.pl.





„Archipelag Matematyki” to całkowite przeciwieństwo tego, co powszechnie kojarzy się z nauką przedmiotów ścisłych. Autorzy projektu, pod kierownictwem prof. Tadeusza Rzeżuchowskiego, postanowili wyprowadzić królową nauk z kategorii przedmiotów abstrakcyjnych, trudnych, a często wręcz spędzających sen z powiek tak uczniom, jak i rodzicom. „Archipelag Matematyki” to gra, która w prosty i przystępny sposób wyjaśnia twierdzenia matematyczne. Grając i pokonując przeszkody, użytkownicy wędrują po Archipelagu, wykorzystując zdobytą wcześniej wiedzę. Każda z sześciu wysp Archipelagu jest dedykowana innej dziedzinie matematyki. Na każdej wyspie gracze poszukują miejsc, w których ukryte są interaktywne zadania lub multimedialne prezentacje. Podczas wędrówek

stając się w pewnym sensie jej współtwórcami. Więcej o projekcie można przeczytać na stronie www.archipelagmatematyki.pl.

Z inicjatywy Samorządu Studenckiego Wydziału MiNI, od 2009 roku na Politechnice Warszawskiej są organizowane coroczne obchody Dnia Liczby Pi, który przypada 14 marca. W ramach tych uroczystości odbywają się wykłady popularyzujące matematykę, gry terenowe, konkursy sprawdzające wiedzę i umiejętności matematyczne oraz tradycyjny Bieg o Puchar Dziekana. Od dwóch lat Wydział bierze też aktywny udział w Festiwalu Nauki, organizując na Politechnice Warszawskiej zajęcia, których celem jest przedstawienie szerszej publiczności w przystępny sposób zagadnień naukowych z dziedziny matematyki i informatyki. Na wszystkich tych imprezach można było spotkać uczniów z V Liceum ks. Józefa Poniatowskiego. W tym roku zapraszamy na kolejne.

Od 2008 roku Wydział MiNI współpracuje z Mazowieckim Centrum Doskonalenia Nauczycieli przy programach skierowanych do matematycznie uzdolnionej młodzieży szkół pozawarszawskich. W ramach tej współpracy pracownicy Wydziału prowadzili sobotnie zajęcia dla matematycznie uzdolnionej młodzieży w siedmiu ośrodkach województwa mazowieckiego oraz objęli indywidualną opieką online najlepszych spośród młodych uczestników tych projektów. Uczniowie rozwiązywali zadania i problemy wysyłane im e-mailem przez opiekunów.

Pracownicy Wydziału biorą również udział w projekcie edukacyjnym „Szukając Einsteina – Akademia Umysłów Ścisłych” realizowanym przez Kuratorium Oświaty w Warszawie we współpracy z Politechniką Warszawską. W jego ramach nagrano 10 wykładów z matematyki oraz przygotowano materiały dydaktyczne, które są wykorzystywane w pracy z uczniami w kolejnych etapach tego projektu.

To również na Wydziale MiNI zrodziła się inicjatywa „Zielonej Akcji”, w ramach której studenci prowadzili zajęcia komputerowe w szkołach szeroko rozumianej prowincji. Jeszcze inną formą promowania matematyki jest prowadzona przez Wydział strona internetowa „MiNI wykłady” (<http://www.mini.pw.edu.pl/MiNIwyklady/>), na której przedstawiane są w przystępny sposób wybrane zagadnienia i ciekawostki matematyczne.

„ZMIENIA SIĘ ŚWIAT, NA SZCZĘŚCIE MŁODOŚĆ POZOSTAJE NIEZMIENNA”

z ZOFIĄ WYBRAŃSKĄ

ROZMAWIA

KATARZYNA KOZIELSKA



KATARZYNA KOZIELSKA: Jest Pani rodowitą warszawianką?

ZOFIA WYBRAŃSKA: Tak, z dziada pradziada. Urodziłam się w 1930 roku przy ul. Skaryszewskiej 8, w domu, jak nakazywała przedwojenna tradycja. Z Warszawą związana jest historia mojej rodziny. To wyjątkowe miasto, podobnie jak moje patronki.

K.K.: Patronki? Ma Pani dwa imiona?

Z.W.: Dwa, w dodatku z zamienioną kolejnością: Józefa Zofia. Wiąże się z tym anegdotyczna już dziś historia. Otóż chrzczono mnie w kościele świętego Floriana. To była nasza rodzinna parafia. Organizacją uroczystości zajęły się moje dwie cioteczne babki. Czuły się w obowiązku wobec mamy, ponieważ babcia już nie żyła. I to one w imieniu rodziców i chrzestnych dopełniały kancelaryjnych formalności. Po nich miałam odziedziczyć imiona i połowę inteligencji (dowiedziano, że taki procent dziedziczymy po dziadkach). Trzeba wspomnieć, że w 1930 roku były już statecznymi matronami, wychowanymi jeszcze w XIX wieku, przywiązującymi ogromną wagę do pryncypiów. I właśnie one wywołały całe zamieszanie. Już po drodze do kościoła pokłóciły się o starszeństwo i pierwszeństwo w rodzie. Józefa zdecydowała, że jej imię powinno być pierwsze, skoro jest starsza od Zofii. I tak mnie zapisały, bez jakichkolwiek konsultacji z resztą rodziny.

K.K.: A co na to Pani rodzice?

Z.W.: Nie brali udziału w uroczystości. Takie były zwyczaje. Do kościoła szli tylko chrzestni i zaproszeni goście. Rodzice zostawali w domu. Przygotowywali uroczyste przyjęcie ochrzczonego niemowlęcia. O wszystkim dowiedzieli się po latach. Mama musiała postarać się o metrykę urodzenia, żeby na jej podstawie zapisać mnie do szkoły podstawowej. Wtedy dowiedziała się, że na co dzień posługujemy się moim drugim imieniem. Rodzice początkowo byli zaskoczeni i niezadowoleni, ale nikt nie miał odwagi sprzeciwić się woli starszych. To

był inny świat, zbudowany na innych zasadach niż współczesny.

K.K.: Pamięta Pani wczesne dzieciństwo?

Z.W.: Oczywiście. To był wspaniały czas. Niezapomniany. Niedługo po nim przyszła wojna, więc tym bardziej wspominałam go z rozrzwinięciem.

K.K.: Jaka była przedwojenna Warszawa?

Naprawdę śliczna. Taka jak w starych filmach i na starych fotografiach. Pełna zabieganych ludzi. Zmieniała się w oczach. To było miasto ulic z małymi sklepikami i kawiarniami. Pamiętam pierwsze lodziarnie na kółkach. Lody przechowywano w drewnianych skrzynkach, w środku pokładane kawałkami prawdziwego lodu. Mieszkaliśmy na Pradze, niedaleko Dworca Wschodniego. Dzięki temu jedliśmy świeże i ekologiczne jedzenie. Każdego dnia odwiedzały nas przekupki ze wsi. Handlowały tym, co wypracowały we własnych gospodarstwach. Pamiętam, jak wołały: „Coboli!”, „Jojki!”. Bawiąc się na podwórku, zwykle je naśladowaliśmy. Podobala mi się architektura tamtej Warszawy. Ulice i domy różniły się od siebie, były niepowtarzalne, mimo że pozostawały w granicach jednego miasta. Po wojnie odbudowano ją według innego planu. Straciła swój dawny urok. Na przykład rozwiązano Kercełak, serce przedwojennego handlu i miasta.

K.K.: Pamięta Pani okupację?

Oczywiście, bardzo dobrze. Głównie dlatego, że przerwała mi naukę w szkole. Takie smutne wakacje pamięta się potem bardzo długo. Za okupacji w domu rodzice kręcili papierosy. Sprzedawałyśmy je z siostrą na ulicach. Taki handel był zabroniony. Trzeba było uważać na niemieckich policjantów. Rewidowali dzieci i karali rodziców. Nauczyłyśmy się od brata zachowywać jak chłopcy. Pyskowałyśmy. Pytane: „Was? Was?”, odpowiadałyśmy – „Kapuśta i kwas”. Przed wojną w naszej kamienicy mieszkał krawiec żydowskiego pochodzenia. Razem



po „Archipelagu” gracze rywalizują, zdobywając punkty, szukają wskazówek, komunikują się przez czat i budują strategiczną pozycję w grze. Rywalizować mogą pojedynczy uczniowie lub całe klasy. Gra jest ciągle tworzona, a uczniowie V LO brali czynny udział w jej wstępnym testowaniu,



z rodziną trafił do getta. Kiedyś udało mu się wyjść na przepustkę. Odwiedził moich rodziców, postarzały i bardzo wychudzony. Sąsiedzi proponowali mu ucieczkę. Jednak on wrócił do rodziny w getcie. Do nas przyszedł tylko po jedzenie. Raz, a później już ślad po nim zaginął. Pamiętam, że dostał od mamy ziemniaki, sól i chleb. Wziął też zupę w garnku. Pożywienie miało wtedy najwyższą wartość.

K.K.: A powstanie?

Z.W.: Niewiele z niego pamiętam. Strzały, łapanie i schrony w piwnicach. Po powstaniu moja rodzina znalazła się, jak większość, w obozie w Pruszkowie. Stamtąd zesłano nas na roboty do Niemiec. Mieszkaliśmy w obozie pracy w Dellingen. Rodzice pracowali na kolei, a my z siostrą w barakach. Sprzątałyśmy i pomagałyśmy w kuchni. Mieszkaliśmy w okropnych warunkach. Panował głód. Ponieważ byliśmy grzeczni i pracowite, zauważył nas niemiecki pracownik. Oddawał nam swoje racje żywnościowe i dzięki temu, że nie głodowałyśmy, przeżyłyśmy ten czas zdrowe. Obozowe, polskie dzieci nosiły na przedramionach opaski z dużą literą „P”. To był nasz znak rozpoznawczy. Czasem z takimi opaskami wychodziłyśmy na ulicę i bawiłyśmy się na podwórzu. Niemieckie dzieci poniżały nas i bardzo nam dokuczały. Do tego stopnia, że kiedyś wdałam się w bójkę z niemiecką dziewczynką i z rozkwaszonym nosem wróciłam do domu. Matka tej dziewczynki interweniowała u pracowników obozu. Szykanowano mojego ojca. Za karę miał wyjechać do obozu koncentracyjnego. Na szczęście zabrakło czasu na odbycie kary. Niemcy skapitulowały. Wojna się skończyła i mogliśmy wracać do domu.

K.K.: Gdzie w tym czasie był Pani brat?

Z.W.: Przeżył nasz czas zesłania z dala od rodziny. Ponad rok przebywał w gospodarstwie na wsi, pod Warszawą. Mama oddała go na miesiąc do pracy. Był wtedy już dziesięcioletkiem, więc nadawał się do pomocy. Trafił do przekupki, która handlowała mlekiem w naszej kamienicy. Miał pracować przez miesiąc. Taka była umowa. Ewakuowano nas po powstaniu bardzo szybko z mieszkania. Rodzice nie zdążyli go ze sobą zabrać. Dzięki temu uniknął zesłania. Za to ponad rok pozostawał bez kontaktu z najbliższymi.

K.K.: Pamięta Pani powrót do Warszawy?

Z.W.: Oczywiście. Wracaliśmy jak na skrzydłach. I od razu nam je podcięto. Miasto wyglądało wstrząsająco. Ruiny i pogorzelisko. Zachowała się tylko część Pragi. Nasze mieszkanie było zajęte. Nie mieliśmy dokąd pójść. Zamieszkaliśmy w szopie stolarskiej na naszym starym podwórku. I wtedy zdarzył się cud. Moja nauczycielka ze szkoły, pani Wybraniec, do dziś pamiętam jej nazwisko, zaproponowała nam domek w Legionowie, po jakiejś swojej rodzinie. Rodzice zgodzili się bez wahania. Zyskaliśmy dach nad głową, ale pierwszy raz od pokoleń straciliśmy warszawski meldunek. Mój tata bardzo to przeżywał. Jego rodzina była związana ze stolicą od wielu pokoleń. To było nasze miejsce narodzin i śmierci. Rodzinną nekropolią jest grobowiec na Cmentarzu Bródnowskim. Mamy go od 106 lat. To jedna z nielicznych niewzruszonych pamiątek przeszłości.

K.K.: Chętnie wróciła Pani do szkoły?

Z.W.: Nie mogłam się tego powrotu doczekać. Liczyłam na nowe przyjaźnie i nie zawiodłam się. Pierwsze lata nie należały do najłatwiejszych. Wszyscy przeżywali wojenne straty, nawet dzieci. Bardzo lubiłam się uczyć.

K.K.: Dlaczego została Pani pielęgniarką?

Z wdzięczności dla dobrego Boga, który pozwolił nam (mojej rodzinie) przeżyć wojnę, a rodzicom odnaleźć mojego brata. Rosłam i rozumiałam powoli, ile tak naprawdę mieliśmy szczęścia. Dziś myślę, że w pewnym sensie byliśmy wybrańcami. Tak myślę o swojej historii: zdarzyła się po to, bym umiała cieszyć się tym, co mam. Moja siostra myśli trochę inaczej. Do dziś sni ją się wojenne koszmary. Mnie na szczęście nie.

Z.W.: Długo Pani pracuje w zawodzie?

Prawie pięćdziesiąt lat. Byłam instrumentariuszką w gabinetach zabiegowych. W naszej szkole pracuję od szesnastu lat. Rozpoczęłam pracę po śmierci męża. Podoba mi się to, że pracuję z młodzieżą. Zmienia się świat, na szczęście młodość pozostaje niezmienna. Wszystkie pokolenia mają podobną energię i fantazję ułańską. Muszę przyznać, że nasi uczniowie są wyjątkowo dobrze wychowani i dlatego bardzo lubię przychodzić do szkoły. Opiekuję się uczniami i dostaję w zamian dużo serdeczności.

K.K.: Jak zmieniał się zawód pielęgniarstwa przez te wszystkie lata?

Z.W.: Przede wszystkim zmieniały się możliwości techniczne służby zdrowia. Pamiętam czasy metalowych strzykawek i igieł, które trzeba było naostrzyć własną ręką. Gotowało się te sprzęty we wrzątku, żeby zabić ewentualne zarazki. Dziś wszystko jest sterylne i jednorazowe. Niestety przybywa chorób cywilizacyjnych i ludzie częściej podupadają na zdrowiu już w młodym wieku.

K.K.: Dlaczego pracuje Pani w naszej szkole?

Z.W.: Bo panuje tu wyjątkowa atmosfera. Lubię pracę z młodzieżą.

K.K.: W jaki sposób opiekuje się Pani uczniami?

Z.W.: Przychodzą do mnie z różnymi dolegliwościami. Zwykle mierzę temperaturę i podaję leki od gorączki lub przeciwbólowe. Czasem zalecam odpoczynek na kozetce albo gorącą herbatę, którą sama przyrządzam. Czasem przyszykam oko na wymówki i pozwalam zostać ze mną przez jakiś czas. Rozmowa bywa bardziej skuteczna niż niejedno lekarstwo. Kiedyś dwie dziewczynki rozmawiały przy mnie o kłopotach sercowych. W tak młodym wieku złamane serce może być trudną chorobą. Regularnie z klasami pierwszymi wyjeżdżam na obozy integracyjne.

K.K.: Jak wspomina Pani pobyty w Przewięzi?

Z.W.: Bardzo miło. To dla mnie sporo pracy i przy okazji dużo radości. Klasy pierwsze poznają się i uczą. To jedyna okazja zobaczyć nauczycieli w innych warunkach i okolicznościach niż w szkole. Inaczej zachowuje się też pan dyrektor, na przykład ostatnio kręcił wate cukrową dla uczniów. I muszę przyznać, że jest dla nich jak wymagający ojciec.

K.K.: Jak chciałaby Pani zakończyć tę rozmowę?

Z.W.: Myślę, że największym cudem jest ludzkie życie, kruche i wyjątkowe. A to, że możemy chodzić do szkoły, uczyć się i po swojemu zdobywać świat, jest prezentem, a nie przykrą koniecznością.

K.K.: Muszę przyznać, że bardzo podoba mi się takie zakończenie. Podpisuję się pod tym stwierdzeniem obiema rękoma. Dziękuję Pani za rozmowę.

MICHAŁ FEDORYŃSKI
dr hab. inż., prof. nadzw.
Prodziekan ds. Studenckich
Wydziału Chemicznego
Politechniki Warszawskiej
w latach 2008–2012,
autor licznych publikacji
z dziedziny syntezy
związków organicznych,
a w szczególności
katalizy międzyfazowej.

MICHAŁ FEDORYŃSKI

Moja przygoda z Poniatówką i katalizą międzyfazową

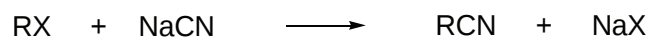
P OCZĄTKI, JUŻ DOŚĆ ODLEGŁE, MOICH KONTAKTÓW z v LO im. ks. Józefa Poniatowskiego to rok 1993, kiedy to naukę w tej szkole rozpoczął mój średni syn Grzegorz, a rok później najmłodszy – Jacek. Obaj byli, jak sądzę, nie najgorszymi uczniami, ale głównie interesowali się informatyką. Uczęszczając pilnie na wywiadowki (do dziś z dużą sympatią wspominam wychowawczynię – panią Marię Wiśniewską (Grzesiek) i Jolantę Przewoźnik (Jacek)), przekonałem się, że v LO jest szkołą wymagającą, ale przyjazną dla uczniów. Wtedy też poznałem pana Krzysztofa Kuśmierczyka, przez uczniów zwanego Chemolem, który dowiedziawszy się, że pracuję na Wydziale Chemicznym Politechniki Warszawskiej, za moim pośrednictwem uzupełniał potrzebne mu odczynniki, szkło laboratoryjne itp., a czasy były wtedy ciężkie. Przekonałem się, że jest to „pozytywnie zakrecony” pasjonat nauczania i bardzo dobry chemik. Nawiazaliśmy bliższą znajomość, od czasu do czasu wygłaszałem w szkole pogawędki chemiczne, regularnie co roku spotykałem Krzysztofa i jego podopiecznych na zakończeniach Konkursu Chemicznego organizowanego przez nasz Wydział, gdzie zawsze kilku uczniów Poniatówki było laureatami lub wyróżnionymi. Kilku najzdolniejszych uczniów uczęszczało potem na wykłady z podstawowej chemii organicznej (prof. Daniela Buza), z metod syntezy organicznej (prof. Mieczysław Mąkosza, a potem ja) i zdawali egzaminy, często z wynikami znacznie lepszymi od uzyskiwanych przez studentów. Po kilku dalszych latach pan Kuśmierczyk i pan dyrektor Mirosław Sosnowski proponowali mi udział w tzw. Obozach Liderów Poniatówki, gdzie miałem spotykać się, formalnie i mniej formalnie, z uczniami pasjonującymi się chemią. Od ośmiu lat co roku spędzam mniej więcej tydzień w Przewięzi koło Augustowa, nad pięknym Jeziorem Białym i – chciałem już powiedzieć, że ciężko tam pracuję – gdyby nie to, że ta praca jest naprawdę przyjemnością. Staram się pokazać, że chemia organiczna wbrew rozpowszechnionym opiniom ma wewnętrzną logikę, wykazuję podobieństwa i analogie wielu reakcji organicznych, przedstawiam reguły decydujące o ich przebiegu.



No, a teraz trochę o chemii. Od wielu lat (chyba zbyt wielu) zajmuję się katalizą międzyfazową. Ta ogólna metodologia prowadzenia reakcji z udziałem anionów organicznych i nieorganicznych została odkryta w 1960 roku przez Mieczysława Mąkoszę, mojego mentora i nauczyciela, profesora Politechniki Warszawskiej, a od 1978 roku także Instytutu Chemii Organicznej PAN, który był promotorem mojego doktoratu i który do dziś zaszczyca mnie swą przyjaźnią.

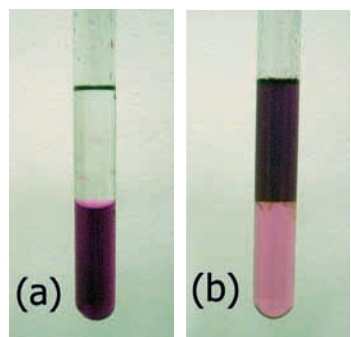
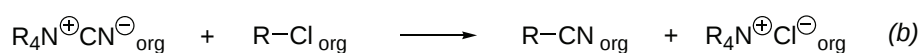
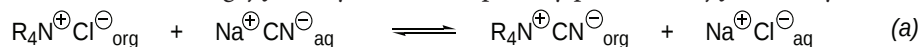
Żeby jakakolwiek reakcja chemiczna mogła zajść, musi dość do bezpośredniego, fizycznego kontaktu pomiędzy reagującymi cząsteczkami. A to często wcale nie jest proste – np. gdy jeden z reagentów jest substancją niemieszącą się z wodą, a drugi jest właśnie rozpuszczalny w wodzie. Istotę odkrycia Mąkoszy ilustruje proste doświadczenie. Jeśli wytrząśniemy w probówce benzen (bezbarwny, niemieszący się z wodą związek organiczny) z wodnym roztworem nadmanganianu potasu (anion nadmanganianowy ma barwę fioletową), to po zakończeniu wytrząsania zaobserwujemy dwie fazy – górną, bezbarwną (benzen, lżejszy od wody) i dolną, fioletową (roztwór nadmanganianu potasu). Po dodaniu równomolowej ilości lipofilowej czwartorzędowej soli amoniowej (TAA), np. bromku tetrabutylamoniowego i ponownym wytrząśnięciu i odstawieniu do rozdzielenia się faz, zaobserwujemy istotną zmianę: faza benzenowa stała się fioletowa, a wodna (nie-mal) bezbarwna. W obszarze międzyfazowym zaszła szybka, kontrolowana jedynie dyfuzją, wymiana jonowa, w wyniku której powstał nadmanganian tetrabutylamoniowy i bromek potasu. Nadmanganian potasu nie rozpuszczał się w benzenie, natomiast znacznie bardziej lipofilowy nadmanganian tetrabutylamoniowy przeszedł do fazy organicznej.

Zasadę katalizy międzyfazowej rozpatrzmy na przykładzie reakcji podstawienia chlorowca przez anion cyjankowy, mającej bardzo duże znaczenie praktyczne.



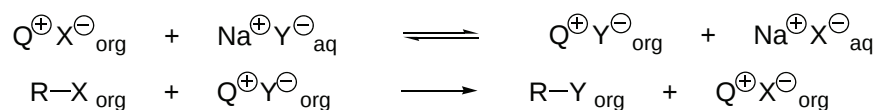
Zasadniczym problemem w realizacji tego procesu jest umożliwienie kontaktu pomiędzy reagentami. Cyjanek sodu, podobnie jak nadmanganian potasu, jest solą, związkiem jonowym, nierozpuszczalnym w niepolarnych rozpuszczalnikach organicznych i haloalkanach, natomiast rozpuszczalnym w wodzie. Chlorowcoalkany są natomiast najczęściej niepolarnymi cieczami, nierozpuszczalnymi w wodzie. Tak więc zmieszanie reagentów nie prowadzi do reakcji, z powodu wzajemnej niemieszalności, a więc braku kontaktu między reagentami.

Metodologia katalizy przeniesienia międzyfazowego (*ang.* phase transfer catalysis – PTC) polega na prowadzeniu reakcji w układzie dwóch niemieszących się faz – haloalkanu i stężonego wodnego roztworu cyjanku sodu, z udziałem katalizatora przeniesienia międzyfazowego, lipofilowej soli tetraalkiloamoniowej, $\text{R}_4\text{N}^+\text{Cl}^-$, w której podstawniki R zawierają łącznie 16 lub więcej atomów węgla. Istotą procesu katalitycznego jest ciągłe wytwarzanie drogą wymiany jonowej z NaCN lipofilowego cyjanku tetraalkiloamoniowego Q^+CN^- , który przechodzi do fazy organicznej, co zapewnia kontakt związku alkilującego z jonem cyjankowym i reakcję podstawienia. Przebiegające w tym układzie procesy przedstawiają schematy.

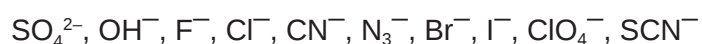


Tak więc w tych warunkach reakcja związku alkilującego z jonem CN^- zachodzi w fazie organicznej. Mimo niskiego stężenia jonów CN^- w tej fazie, które nie może przewyższać stężenia katalizatora, reakcja biegnie z dużą szybkością dzięki wysokiemu stężeniu związku alkilującego i dużej aktywności anionu, któremu towarzyszy kation tetraalkiloamoniowy Q^+ w środowisku niepolarnym.

Powodzenie procesu katalitycznego zależy od stanu równowagi wymiany jonowej:



O równowadze tej decyduje energia hydratacji i energia solwatacji w fazie organicznej anionów X^- i Y^- . Energia hydratacji anionów nieorganicznych w wodzie jest znacznie wyższa od energii solwatacji w rozpuszczalnikach organicznych i to ona decyduje o stanie równowagi. Energia hydratacji jest tym większa, im większa jest gęstość ładunku anionu. Tak więc w szeregu

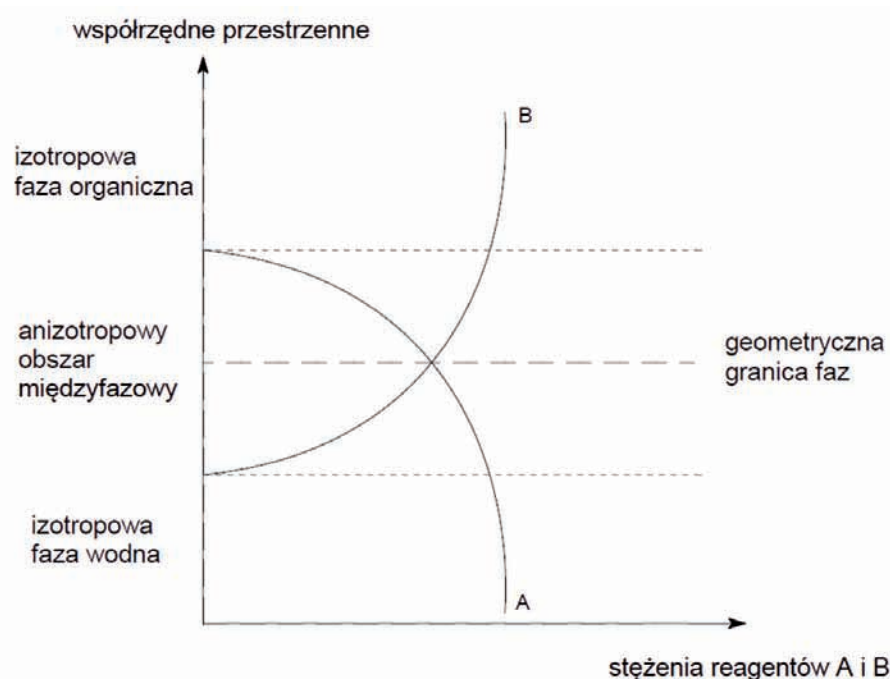


energia hydratacji maleje. W przedstawionym szeregu lipofilowość anionów rośnie z lewa na prawo, a więc im bardziej na prawo znajduje się anion w tym szeregu, tym łatwiej jest on przenoszony do fazy organicznej. Inaczej mówiąc, w reakcjach prowadzonych drogą katalizy przeniesienia międzyfazowego aniony powstające w reakcji (X^-) powinny wykazywać mniejszą lipofilowość w porównaniu z anionami (Y^-), które pełnią rolę czynników nukleofilowych (znajdować się na lewo od nich w przedstawionym wyżej szeregu). W przeciwnym przypadku występuje zjawisko autoinhibowania katalitycznego procesu przez powstające aniony, na skutek niekorzystnej równowagi wymiany jonowej.

Z powyższych rozważań wynika bardzo ważna cecha procesów prowadzonych w układach dwufazowych: drogą katalizy przeniesienia międzyfazowego reakcje

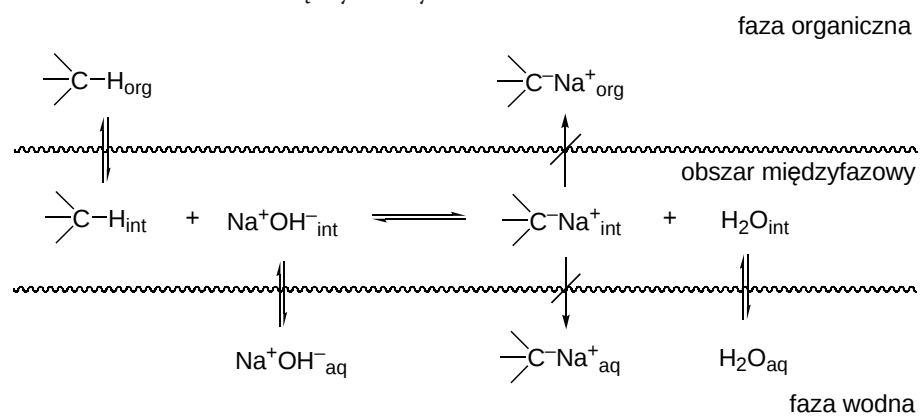
podstawienia nukleofilowego anionami nieorganicznymi zachodzą zadowalająco w chlorkach, siarczanach czy sulfonianach alkilowych, natomiast w przypadku jodków alkilowych reakcja przebiega jedynie z bardzo lipofilowymi anionami nieorganicznymi. Aniony jodkowe powstające podczas reakcji uniemożliwiają migrację do fazy organicznej większości anionów nieorganicznych, co uniemożliwia dalszą reakcję. Technika katalizy międzyfazowej nie można więc syntetyzować cyjanków alkilowych z jodoalkanów i cyjanku sodu, natomiast możliwa jest synteza tiocyjanianów (rodanków) alkilu w reakcji jodków alkilowych i rodanku metalu alkalicznego. Aniony SCN^- są bowiem bardziej lipofilowe od jonów jodkowych.

Jako przykład procesu z udziałem anionów organicznych może służyć reakcja alkilowania CH kwasu w układzie dwóch niemieszących się faz, w którym fazę organiczną stanowią substraty organiczne i katalizator – sól TAA (Q^+X^-), a nieorganiczną – stężony wodny roztwór NaOH. Na granicy rozdzielu dwóch niemieszących się wzajemnie izotropowych ciekłych faz A i B zachodzi – w wyniku ruchów termicznych – dyfuzja składników tych faz z jednej fazy do drugiej. Prowadzi to do utworzenia anizotropowego obszaru międzyfazowego, w którym występuje gradient stężeń składników faz A (NaOH) i B (CH kwas, inne reagenty), dzięki temu w obszarze tym mogą się one spotkać i wstąpić w reakcję chemiczną.

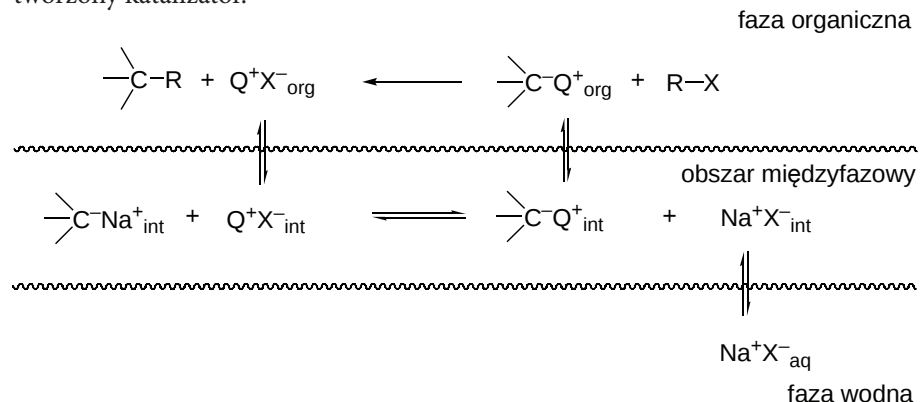


Graficzne przedstawienie obszaru międzyfazowego pomiędzy dwoma niemieszącymi się fazami, w którym występuje gradient stężeń. Krzywe A i B przedstawiają stężenia składników odpowiednio fazy wodnej i organicznej.

W obszarze międzyfazowym zatem może zajść szybkie i odwracalne deprotonowanie CH kwasu działaniem NaOH. Utworzona sodowa pochodna karboanionu nie może jednak przejść ani do fazy organicznej, ani wodnej i pozostaje zaadsorbowana w obszarze międzyfazowym.

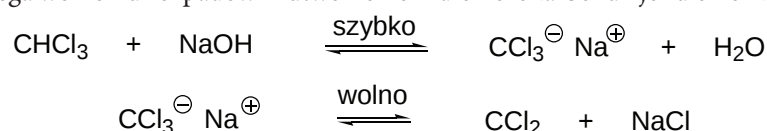


Gdy jednak w takim obszarze międzyfazowym znajdzie się sól TAA, zachodzi szybka, ograniczona jedynie dyfuzją, wymiana jonowa z solą sodową karboanionu. Utworzona lipofilowa para jonowa: karboanion-kation TAA migruje do fazy organicznej, gdzie zachodzi dalsza reakcja ze znajdującym się w tej fazie partnerem elektrofilowym, na przykład czynnikiem alkilującym. W procesie tym zostaje utworzony katalizator.

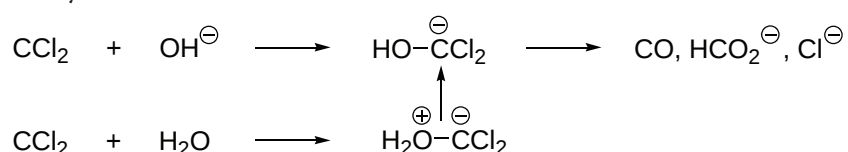


Najbardziej spektakularną i nieoczekiwaną była możliwość zastosowania katalizy międzyfazowej do generowania karbenów, w szczególności dichlorowcokarbenów, drogą α -eliminacji cząsteczki chlorowcowodoru z haloformów. Proces ten, znany jako reakcja Mąkoszy, rozpatrzmy na przykładzie wytwarzania dichlorokarbenu z chloroformu i reakcji z jego udziałem.

W reakcji z wodnym roztworem NaOH chloroform ulega szybkiej i odwracalnej reakcji deprotonowania z utworzeniem anionu trichlorometylowego, który następnie ulega wolnemu rozpadowi z utworzeniem dichlorokarbenu i jonu chlorkowego.



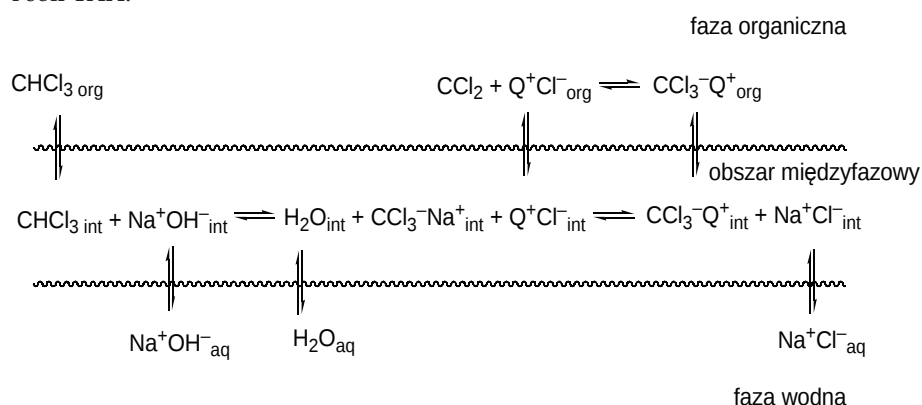
Dichlorokarben jest cząsteczką elektrofilową, wstępuje zatem w szybkie reakcje z partnerami nukleofilowymi – wodą i jonami hydroksylowymi, co prowadzi do jego hydrolizy.



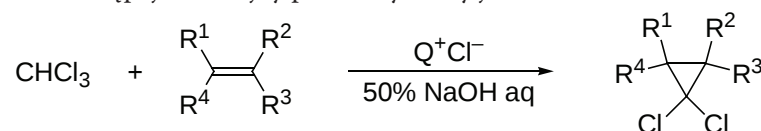
Z uwagi na duże szybkości hydrolizy dichlorokarbenu w reakcjach z wodą i jonami hydroksylowymi przez długi czas nie udawało się zrealizować reakcji dichlorokarbenu z innym nukleofilem, dodanym do mieszaniny reakcyjnej (np. alkenem – w celu otrzymania pochodnej *gem*-dichlorocyklopropanu). Dopiero Doering wykazał, że w celu realizacji takiego procesu, dichlorokarben należy generować w środowisku ściśle bezwodnym, z użyciem *t*-butanolu potasu jako zasady, w rozpuszczalniku aprotowym.

Możliwość generowania dichlorokarbenu w warunkach PTC działaniem na chloroform stężonego wodnego roztworu NaOH w obecności katalitycznej ilości soli TAA była więc wielkim zaskoczeniem dla społeczności chemicznej.

Deprotonowanie chloroformu zachodzi w obszarze międzyfazowym z utworzeniem soli sodowej karboanionu trichlorometylowego. Sól ta w procesie wymiany jonowej z solą TAA przekształca się w parę jonową: kation TAA-anion trichlorometylowy, która migruje do fazy organicznej i tam ulega rozpadowi do dichlorokarbenu i soli TAA.

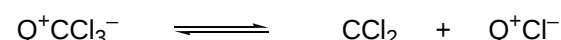


Karben reaguje następnie z obecnym w fazie organicznej alkenem (lub innym akceptorem, np. związkiem zawierającym wiązanie węgiel-wodór), odtworzony katalizator zaś wstępuje w kolejny proces wymiany jonów.

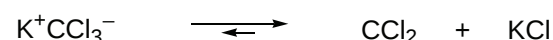


W warunkach PTC dichlorokarben praktycznie nie ma możliwości kontaktu z jonami hydroksylowymi i wodą, powstaje bowiem w fazie organicznej. To powoduje, że hydroliza karbeny w tych warunkach zachodzi w minimalnym stopniu.

Dysocjacja anionu trichlorometylowego w warunkach PTC:



jest procesem odwracalnym, gdyż wszystkie cząsteczki biorące w niej udział są rozpuszczalne w fazie organicznej. Dzięki temu czas życia dichlorokarbenu jest przedłużony i może on wstępować w reakcje nawet z mało aktywnymi akceptorami. Prowadząc natomiast reakcję chloroformu z *t*-butanolem potasu w rozpuszczalniku niepolarnym otrzymuje się sól sodową anionu trichlorometylowego i chlorek potasu, które są nierozpuszczalne w środowisku reakcji – w roztworze znajduje się jedynie dichlorokarben. Dysocjacja:



jest zatem praktycznie nieodwracalna. Dichlorokarben może reagować nie tylko z akceptorem, ale także z *t*-butanolem i *t*-butanolem potasu. Ponieważ wszystkie te reakcje są praktycznie nieodwracalne, wydajności pożądanego produktu są z reguły niższe od uzyskiwanych przy stosowaniu katalizy przeniesienia międzyfazowego.

Katalityczne działanie soli TAA polega na ciągłym wytwarzaniu w obszarze międzyfazowym lipofilowych par jonowych z anionami i ich transporcie do fazy organicznej, gdzie ulegają one dalszym przemianom. Na pozór zatem struktura soli TAA nie powinna okazywać istotnego wpływu na kierunek i szybkość reakcji pod warunkiem jej wystarczającej lipilowości. Dane literaturowe i wyniki moich badań wskazują jednak, że jest to pogląd uproszczony. Zarówno struktura katalizatora, jak i warunki reakcji wpływają, często znacząco, na oba te czynniki. Ale o tym może następnym razem.

Metodologia PTC eliminuje konieczność stosowania drogich i często niebezpiecznych rozpuszczalników i zasad. Jest bezpieczna, zapewnia wyższe wydajności i czystość produktu oraz lepsze selektywności reakcji niż metody tradycyjne. Ogranicza do minimum odpady przemysłowe i zużycie energii, jest zatem metodą *par excellence* technologiczną, spełniającą jednocześnie wszelkie wymagania zielonej chemii. Jednak, mimo upływu pięćdziesięciu lat od odkrycia PTC, ciągle nie w pełni rozumiemy zjawiska, które zachodzą w katalitycznych układach dwufazowych. Otwiera to pole do nowych odkryć, zarówno podstawowych, jak i aplikacyjnych.

Wykorzystałem rysunki, schematy i fragmenty tekstu z artykułu: M. Fedoryński, *Złoty jubileusz katalizy międzyfazowej*, *Przemysł chemiczny*, 89, 1428 (2010).

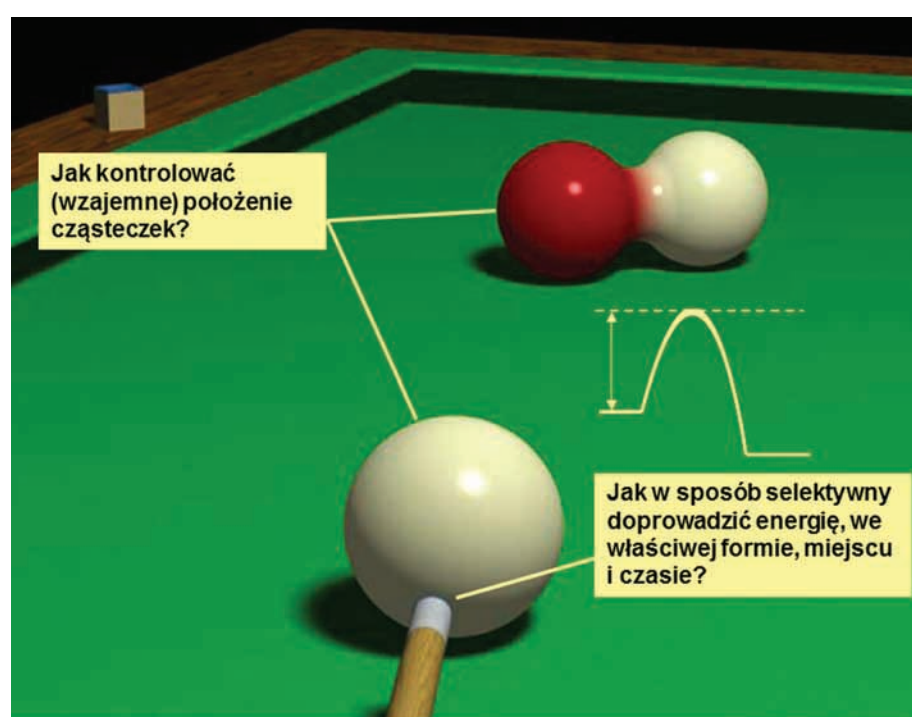


Winnetou w Dolinie Śmierci,¹ czyli o energii i nie tylko

ANDRZEJ STANKIEWICZ

WDOLINIE ŚMIERCI ZJAWIŁEM się pewnego sierpniowego wieczoru. Była już prawie ósma, temperatura zaś na zewnątrz mojego klimatyzowanego Forda Escape wynosiła 120 stopni Fahrenheita, czyli około 49 stopni Celsjusza. Wsiadając z samochodu, myślałem o energii, a właściwie o jednej tylko formie energii, o jakiej byłem w stanie myśleć w tych warunkach – energii cieplnej. „Kurczę” – myślałem – „cóż to za bezsens tak grzać to miejsce, gdzie nikomu nie jest to do niczego potrzebne, podczas gdy cały świat drży z obawy przed wyczerpującymi się zapasami źródeł energii. To po prostu zwykłe marnotrawstwo”. Historyjka, którą powyżej naszkicowa-

łem, oddaje w dużym stopniu także sytuację, z którą mamy do czynienia w reaktorach chemicznych. Naszym niespełnionym dotąd marzeniem jest takie postępowanie z cząsteczkami związków chemicznych, jak robi to z bilami mistrz bilardu czy snookera. Chodzi o pełną kontrolę nad ich położeniem w momencie zderzenia oraz o selektywne doprowadzenie energii do wybranych cząsteczek. Konwencjonalne ogrzewanie, czy to za pomocą palnika Bunsena, czy też kotła parowego, powoduje, że nasze reaktory chemiczne bardziej przypominają stoły do flippera niż do snookera. Ciepło powoduje zwiększenie energii wszystkich cząsteczek obecnych w reaktorze, które miotają się coraz bardziej „bezskładu i ładu”, zderzając się ze sobą w sposób całkowicie losowy. Nie-



Chemiczny snooker

uchronnie, część dostarczanego ciepła marnotrawiona jest również na niepotrzebne grzanie elementów (np. ścian) urządzenia. Ponadto, mechanizm przewodnictwa cieplnego powoduje powstawanie różnic temperatury wewnątrz reaktora, co w krańcowym

przypadku może doprowadzić do sytuacji, w której z jednej strony będziemy mieli tam zbyt „zimne” cząsteczki, niezdolne w ogóle do przereagowania, z drugiej zaś cząsteczki zbyt „gorące”, zdolne do wejścia w reakcje uboczne, prowadzące do całkiem niechcianych

¹ Tytuł dość marnego filmu z końca lat 60., nawiązujący do jednej z powieści Karola Maya, z którą zresztą treściowo nie ma nic wspólnego.



produktów. W pierwszym przypadku zatem marnotrawimy włożoną w cząsteczki energię, w drugim zaś substraty, z których otrzymujemy coś, o co nam wcale nie chodziło.

W mojej katedrze na uniwersytecie w Delft próbujemy poprawić powyższy stan rzeczy poprzez zastosowanie tak zwanych „alternatywnych form energii” do reakcji chemicznych. Wiadomo na przykład, iż używając promienia laserowego o określonej długości fali, możemy selektywnie wzbudzać wybrane wiązania chemiczne w cząsteczkach, powodując zwiększenie szybkości i selektywności ich reagowania. Możemy również użyć pola elektrycznego do „uporządkowania” orientacji przestrzennej cząsteczek w reaktorze. Energię świetlną, zarówno w paśmie widzialnym, jak i ultrafioletowym czy podczerwonym, możemy wykorzystać do selektywnego prowadzenia wielu reakcji katalitycznych w niższych temperaturach. Bardzo ciekawym przykładem alternatywnej formy energii są także mikrofały. Tak, tak, te same mikrofały, jakie stosujemy do odgrzewania zupek i kurczaków w naszych kuchniach. Mikrofały są w stanie na przykład selektywnie ogrzać nanocząstki metali szlachetnych stosowane w katalizatorach chemicznych. W ten sposób energia promieniowania elektromagnetycznego zamieniana jest w ciepło lokalnie, dokładnie w miejscu, gdzie zachodzi reakcja katalityczna.

Ostatni sukces badawczy naszej grupy to użycie wygenerowanej za pomocą mikrofał plazmy niskotemperaturowej do przetworzenia odpadowej biomasy na gaz syntezowy ($\text{CO} + \text{H}_2$). Jak wszystkim miłośnikom chemii zapewne wiadomo, gaz syntezowy może być wykorzystany do produkcji paliw i chemikaliów. Przełomem, jeśli chodzi o naszą technologię jest to, że produkujemy gaz syntezowy prawie czysty, bez dwutlenku węgla, wydajność zaś energetyczna całego procesu przekracza 200%. To ostatnie oznacza, że energia zawarta w wyprodukowanym gazie syntezowym jest ponad dwukrotnie wyższa od energii włożonej w wytworzenie plazmy.

Ten ostatni sukces ma swoje przyjemne konsekwencje. Fundacja Billa i Melindy Gatesów (tak, tak, tego Billa Gatesa) przyznała nam kilka miesięcy temu blisko 3 miliony dolarów na opracowanie nowego typu toalety dla krajów rozwijających się, która radykalnie poprawiłaby warunki sanitarno-higieniczne w owych krajach. Główną ideą tego projektu jest przetwarzanie odpadowej „biomasy” z toalet na gaz syntezowy, który następnie zasilać będzie ogniwa paliwowe do lokalnej produkcji energii elektrycznej. Jak więc widać, inżynieria chemiczna, to nie tylko przemysł chemiczny, to także możliwość pomocy w rozwiązywaniu problemów świata o dużo głębszym, społecznym charakterze.

A wracając do Doliny Śmierci: była ona jednym z przystanków w niezwykłej podróży, w której wraz z moją żoną spędziliśmy niemal całe zeszłoroczne lato. Podróż, która przywodziła nam na



myśl inną podróż odbyłą ongiś przez Mistrza Melchiora i Jego „Królika”. Przemierzaliśmy Stany Zjednoczone od Atlantyku do Pacyfiku i z powrotem, pokonując ponad 17 tysięcy kilometrów i odwiedzając 25 z 50 stanów. Słuchaliśmy jazzu w Nowym Orleanie, błakaliśmy się po górach oraz pokrytych gigantycznymi kaktusami pustyniach Arizony, śladami Geronimo i jego wojowników walczących o swoje ziemie. Zwiedzaliśmy miasta widma i słynne Tombstone, „the town too tough to die”, miejsce strzelaniny w O.K. Corral, z jego cmentarzem, nad którym widnieje napis: „no guns

2 Zob. M. Wańkowicz, *W ślady Kolumba* (trylogia amerykańska).

please, the graveyard is full”. Podpatrywaliśmy wieloryby w ich naturalnym środowisku i przyglądaliśmy się zwiariowanemu światu Hollywood. Przemierzaliśmy kaniony i doliny, odwiedzaliśmy rezerваты i puebla, ucząc się życia i kultury pierwotnych mieszkańców tych ziem. Mokliśmy do suchej nitki pod wodospadami Niagary i podziwialiśmy nowy World Trade Center, oddając hołd tysiącom ofiar ludzkiej nienawiści. Zjawiliśmy się w domu z ponad 7 tysiącami zdjęć, filmami wideo i mocnym postanowieniem ponownego tam powrotu.

Lecz do Doliny Śmierci nie jedźcie w sierpniu, jedźcie tam w zimie!

Wschód słońca w Dolinie Śmierci widziany z Zabriskie Point. Kolory są autentyczne! Nazwa tego miejsca pochodzi od Christiana Brevoorta Zabriskie – potomka polskiego szlachcica Albrechta Zaborowskiego, który w XVII wieku wyemigrował z Prus do Ameryki i osiadł w holenderskiej kolonii na wschodnim wybrzeżu. Christian Zabriskie był wiceprezesem Pacific Coast Borax Company operującej na terenie Doliny Śmierci. „Zabriskie Point” to także tytuł znanego filmu Michelangela Antonioniego.

W tym pokoju w obskurnym motelu „Alta Cienega” w Los Angeles zamieszkiwał w latach 1968–1970 mój wielki idol lat młodości – Jim Morrison.



ANDRZEJ STANKIEWICZ
Absolwent Wydziału Inżynierii Chemicznej Politechniki Warszawskiej, profesor Uniwersytetu Technicznego w Delft, autor ponad 100 publikacji z zakresu inżynierii chemicznej, katalizy przemysłowej oraz przyspieszania reakcji chemicznych. Prezes Zarządu Europejskiego Centrum Katalizy Chemicznej (EUROPIC). Stypendysta Europejskiej Komisji Badawczej. Autor tekstu hymnu Poniatówki, niegdyś chorąży szkoły (matura 1972). Mieszka w Sittard w Holandii.



Nihil novi

JOANNA ZAREMBA

*Wszystko już było – rzekł Ben Akiba,
A gdy nie było – śniło się chyba.*

Konstanty Ildefons Gałczyński

OD DAWNA MAMY POZUCIE niestabilności systemu oświaty. Reforma goni reformę. Kolejne rozporządzenie modyfikuje poprzednie. Zanim nowa podstawa programowa ucukruje się i uleży, zapowiada się już prace nad kolejną (po objęciu rządów, oczywiście). W samym XXI wieku listę lektur zmieniano kilkakrotnie (Gombrowicz i Goethe), na szczęście tylko raz radykalnie (obowiązująca dziś podstawa programowa kształcenia ogólnego). Można zatem odnieść wrażenie, że polska szkoła stała się poligonem doświadczalnym, na którym nie tylko testuje się nowe rozwiązania techniczne i logistyczne, lecz także od czasu do czasu prowadzi walkę o rząd dusz.

Poczucie niestabilności towarzyszy przekonanie o pogłębiającym się kryzysie edukacji polonistycznej. Wydaje się przecież, że szkoła niczego nie uczy, gdyż zamiast wzbogacać wiedzę uczniów, kształci wyłącznie umiejętności. Nie rozwija jednak najważniejszej umiejętności – logicznego myślenia. Uczniowie piszą zbyt mało wypracowań. Nauczyciele wręcz zachłystują się nowomodnymi metodami (na przykład metodą projektu). Lista lektur jest nieustannie skracana. Niektóre dzieła literackie czyta się tylko we fragmentach. W kanonie pojawiają się też inne teksty kultury – filmy i przedstawienia teatralne. Uczniowie nie czytają więc lektur, posługując się streszczeniami i adaptacjami. W rezultacie absolwenci szkoły średniej nie znają kanonu literackiego, nie potrafią rozwiązywać problemów i, co najważniejsze – pisać poprawnie. A matura niczego nie sprawdza i tym samym pogłębia kryzys dzisiejszej szkoły.

Niestabilność systemu i przejawy kryzysu edukacji polonistycznej szczególnie odczuwają nauczyciele przedmiotu. Od tego roku szkolnego uczą według nowej podstawy programowej, a nie znają jeszcze zasad egzaminu maturalnego, który zweryfikuje ich pracę. Mają mniej godzin na realizację materiału (z czternastu godzin języka polskiego w cyklu nauczania pozostało tylko dwanaście), a kształcenie wskazanych w podstawie umiejętności wymaga bardzo dużo czasu. Poloniści mają wrażenie, że kolejne roczniki uczniów nie są tak wykształcone jak poprzednie, a ich koledzy – nauczyciele języków obcych i przedmiotów ścisłych – prosząc o uzupełnienie wiedzy ze składni i ćwiczenie umiejętności rozumnego czytania oraz precyzyjnego odpowiadania na pytania, potwierdzają tę intuicję. Sprawdzają więc dużo prac, co

nie przynosi rezultatów, bo uczniowie nadal popełniają błędy wszelkiego rodzaju. Ponadto są coraz bardziej obciążeni pracą, gdyż nowa podstawa wymaga od nich większych nakładów czasu pozaszkolnego. A zewsząd słychać głosy, że nauczyciele są nierobami, bo stoją pod tablicą tylko trzy godziny dziennie.

Nihil novi sub sole

Zabierając głos w sprawie nauczania literatury w szkole średniej, uważam za właściwe rozpocząć od negacji. Nie będę się jednak długo nad tym rozwodził, bo chyba ogólnie do dzisiejszego sposobu uczenia literatury jesteśmy negatywnie usposobieni¹

– pisze dr Józef Gołąbek w IV zeszyt „Polonisty”, czasopisma poświęconego sprawom nauczania języka polskiego w szkołach powszechnych, średnich ogólnokształcących i zawodowych oraz zakładach kształcenia nauczycieli, z roku 1932. Autor dodaje: „Nie wiadomo nieraz, skąd ta negacja wyrasta, ale to widoczne, że coraz bardziej potężnieje”. Józef Gołąbek sugeruje, że u źródeł krytycznego podejścia do „dzisiejszego sposobu uczenia literatury” leżą nowe nurty pedagogiczne, „które przed nauczycielem odkryły całkiem nowe światy, a jako słuszny punkt wyjścia przyjęły ucznia, nie materiał nauczania”. Wskazuje jednak inny ważny czynnik zmian w oświacie, jakże i dziś aktualny, twierdzi bowiem, że „żyjemy w okresie ahistoryczności, całkowitego braku odczucia wartości historii i historycznego ujmowania nauki”. W tym właśnie zjawisku dostrzega przyczynę niechęci do nowoczesnego uczenia literatury. Mając świadomość, że zwolennicy „systematycznego nauczania historii literatury załamują zapewne ręce z rozpaczy, że młodzież, która – jak się mówi – już dzisiaj nie może się pochwalić znajomością tego przedmiotu, w przyszłości absolutnie nic nie będzie umiała”, proponuje rozwiązanie znane i nam z rozlicznych dyskusji nad sposobem kształcenia polonistycznego. Dr Józef Gołąbek uważa, że należy uczyć literatury „na zasadzie pewnych problemów i to tych, które są zawsze aktualne”.

Jak czytać literaturę dawną w nowych realiach historycznych i w „okresie ahistoryczności” radzi nauczycielom dr Juliusz Kijas w artykule „Wychoowanie obywatelskie i państwowe w nauczaniu języka polskiego” (ten sam zeszyt „Polonisty”). Autor proponuje, by teksty literackie były punktem wyjścia do refleksji o współczesnej Polsce. „Ponure, pełne goryczy zwrotki

Od tego roku szkolnego nauczyciele uczą według nowej podstawy programowej, a nie znają jeszcze zasad egzaminu maturalnego, który zweryfikuje ich pracę. Mają mniej godzin na realizację materiału, a kształcenie wskazanych w podstawie umiejętności wymaga bardzo dużo czasu. Poloniści mają wrażenie, że kolejne roczniki uczniów nie są tak wykształcone jak poprzednie, a ich koledzy – nauczyciele języków obcych i przedmiotów ścisłych – prosząc o uzupełnienie wiedzy ze składni i ćwiczenie umiejętności rozumnego czytania oraz precyzyjnego odpowiadania na pytania, potwierdzają tę intuicję.

męczeńskiej pedagogii niewoli *Do matki Polki* muszą wywołać pytanie, czy i dziś tak samo trzeba chować dzieci, aby je zaprawić do ich przyszłej roli w społeczeństwie. Oto punkt wyjścia bardzo ciekawej dyskusji”. Dr Kijas broni aktualności utworów Mickiewicza i Krasińskiego, nazywając autora *Nie-Boskiej komedii* wielkim społecznikiem „w trójcy naszych wieszczów”, ale surowo ocenia Słowackiego, „który dostarczy raczej przykładów odstraszających”. Jakże swojsko brzmią i dziś uwagi dotyczące *Lalki* Bolesława Prusa:

Z wielu zagadnień, jakie wysunie młodzież przy czytaniu *Lalki* Prusa, wymienię przede wszystkim jeden: znaczenie stanu kupieckiego. Trzeba tu będzie podkreślić niesłuszne uprzedzenie naszego społeczeństwa do tego zawodu, a z uznaniem zaznaczyć wypadki, gdy człowiek z wykształceniem średnim, czy nawet uniwersyteckim, poświęca się handlowi.

Zakres realizowanego materiału i wybór lektur jest również przedmiotem dyskusji przedwojennych polonistów. Oto lista „materiału do czytania” dla klasy VIII wydziału humanistycznego gimnazjum państwowego w pierwszym semestrze (drugi semestr przeznaczony jest na „powtarzanie uzupełniające i syntetyzujące przerobionego w gimnazjum [wyższym] materiału ze zwróceniem szczególnej uwagi na dzieje

literatury polskiej i cechy charakterystyczne różnych jej faz i kierunków”):

KLASA VIII (V)
(4 godziny tygodniowo)

I. LEKTURA

A. Materiał do czytania: (tylko w I półroczu).

1. Lektura podstawowa

Z. Krasiński: (życiorys), *Nie-Boska komedia*, *Trydion*

Wybór utworów lirycznych:

A. Asnyka, M. Konopnickiej, K. Tetmajera, S. Wyspiańskiego, J. Kasprzowicza
B. Prus, *Lalka*

Wybór prozaików polskich wieku XIX i XX

2. Lektura uzupełniająca

Wybierze ją nauczyciel według własnego uznania z załączonej listy w ilości nieprzeciążającej uczniów nadmiarem materiału.²

Warto szczególną uwagę zwrócić na zapis dotyczący lektury uzupełniającej – nie może ona przeciążać uczniów nadmiarem materiału. W uwagach dodano, że lektura uzupełniająca stanowić ma „zaledwie drobną część podanych tu utworów”, a nadmierne przeciążenie uczniów „byłoby największym błędem, jaki można popełnić przy korzystaniu z tej listy”. Jan Biliński, inspektor szkolny w Poznaniu, potwierdza słuszność kardynalnej zasady unikania nadmiaru i w swoim poradniku *Nauczanie języka polskiego w niższym gimnazjum i wyższych klasach szkół powszechnych* (Poznań 1929) apeluje do polonistów:

non multa, sed multum; jeżeli inaczej niemożliwe, zrezygnować raczej z ilości na rzecz jakości, pogłębienia. Człowiek umie tylko to, co rozłożył na najdrobniejsze części składowe, czego mechanizm wewnętrzny zbadał, co może potrafił sam, naśladując, stworzyć, przy czym był czynny nie tylko umysłowo, ale i fizycznie, co weszło do duszy drogą rozlicznych skojarzeń.

Jak zatem omawiać trudne i obszernie teksty literackie? W IV klasie przedwojennego gimnazjum obowiązkowo należy przeczytać trzy większe teksty: *Ogniem i mieczem* Henryka Sienkiewicza, *Grażynę* Adama Mickiewicza oraz *Iliadę* Homera (w wersji skróconej). Poza tym: „Czytanie z wypisów drobniejszych utworów prozaicznych i poetyckich” i lektura uzupełniająca – na przykład pozytywistyczna nowelistyka, *Potop*, wybrana powieść Waltera Scotta czy *Przemiany* Owidiusza. W I i II zeszycie „Polonisty” z 1931 roku odnajdujemy szczegółową propozycję omawiania *Ogniem i mieczem* Sienkiewicza w wymiarze 26–30 godzin lekcyjnych (czyli niemal przez osiem tygodni!). Dr Jadwiga Biernacka uważa, że powieść ta jest w szkole źle wykorzystywana, bo czytanie „całymi miesiącami urywek za urywkiem, nudzi młodzież” i sugeruje, by nie zajmować się nią dłużej niż 30 lekcji. Postuluje rów-

² Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, Program gimnazjum państwowego, wydział humanistyczny, Lwów 1931, s. 11.

¹ Ortografię i interpunkcję we wszystkich cytatach zmodernizowano.



niez, by uczniowie czytali utwór Sienkiewicza i na lekcji, i fragmentami w domu, a tom pierwszy „należy czytać wolniej, gdyż dla dzieci, nieprzyzwyczajonych ani do lektury wielkich całości, ani do archaizmów, prowincjonalizmów i barbaryzmów, początkowe rozdziały stanowią duże trudności”. Dopiero potem, „gdy uczniowie wdrożą się już w czytanie powieści i gdy nauczą się samodzielnie posługiwać słownikiem Kaznowskiego, Strycharskiego lub Szczepkowskiej, można większość lektury przetrząsnąć na dom”. Autorka proponuje, by czas od wakacji do Bożego Narodzenia (trzy i pół miesiąca) przeznaczyć na czytanie *Ogniem i mieczem* przepłatanego „ćwiczeniami językowymi, wypracowaniami (które można wielokrotnie aktualizować, nawiązując do interesujących młodzież zagadnień chwili obecnej)”, a w drugim semestrze omówić pozostałe lektury. Biernacka przypomina nauczycielom tym samym, że „celem nauczania polskiego jest ułatwić młodzieży zrozumienie te-
raźniejszości polskiej, co osiągnąć można jedynie drogą nawiązania do przeszłości”.

Jak sprawdzać przyswojoną przez uczniów wiedzę? Szkoła międzywojenna dużą wagę przywiązuje do umiejętności pisania. We wspomnianym programie nauczania szczegółowo opisane są formy wypowiedzi, którymi musi posługiwać się uczeń w kolejnych klasach. Paragraf poświęcony „ćwiczeniom piśmiennym” zawiera konkretny wymóg: „Uczniowie piszą możliwie jak najczęściej. Nauczyciel jest obowiązany przejrzeć i poprawić w półroczu przynajmniej 3 ćwiczenia szkolne i 2 domowe wszystkich uczniów klasy”. Nie jest to jednak łatwe. W III zeszyt „Polonisty” z 1932 roku znajduje się artykuł dr Stanisławy Osieckiej o intrygującym tytule *Poprawianie wypracowań z „asystą”*. Pierwszy akapit brzmi niezwykle znajomo:

Istną złą złą polonisty jest poprawianie wypracowań szkolnych. Może nawet najprzykrzejsza nie jest mozolna praca w to włożona, lecz raczej podświadome przekonanie o jej nikłej celowości, bo w rezultacie: my poprawiamy setki wypracowań rocznie, a nasza młodzież pisać nie umie. Musi być jakiś błąd w organizacji pracy, jeżeli obustronny wysiłek nie daje rezultatów dodatnich. Ponieważ i uczeń i nauczyciel w zasadzie spełnia, co do niego należy, błąd zatem musi leżeć poza nimi. Może ta przyczyna tkwi w sposobie poprawiania wypracowań.

Stanisława Osiecka proponuje zmienić system poprawiania wypracowań i czytać je „z asystą”, czyli razem z uczniem. Metoda ta, według autorki, umożliwi uczniowi samodzielne odszukanie i poprawienie popełnionych przez niego błędów, co spowoduje, że „uczeń tego samego błędu już nie powtórzy, bo poprawi go w warunkach emocjonalnych, szczególnie dla pamięci dodatnich”. Dr Osiecka nie mówi jednak o czasie, który należy na tak zorganizowaną pracę przeznaczyć. W tym samym numerze „Polonisty” Stanisław Wiącek proponuje jeszcze bardziej rewolucyjne rozwiązanie.

Dzieląc się z kolegami po fachu swoim doświadczeniem, sugeruje, by wszystkie prace uczniowie pisali na osobnych kartkach, a nie w zeszytach. Po co? A po to, by „ze szkoły uczynić instytucję bliską życia i przez szkołę przygotować do życia”, gdyż „nigdy w życiu później nie piszemy w zeszycie ani listów, ani podań, ani artykułów, ani rozpraw naukowych, ani poezji, tylko na kartkach czy arkuszach”. Autor artykułu nie oddaje uczniom poprawionych prac, ponieważ „uniknie się w ten sposób momentu utrwalania błędów”. A błędów uczniowie popełniają dużo.

Poziom umiejętności miał istotny wpływ na wynik egzaminu wstępnego do gimnazjum. Artykuł Jana Szelejewskiego *Wyniki nauczania języka polskiego w szkole powszechnej a wymagania przy egzaminach wstępnych do gimnazjum* (III zeszyt „Polonisty” z roku 1937) wywołał dyskusję wśród polonistów na temat poziomu kształcenia w szkole powszechnej. W V zeszycie tego rocznika pojawia się komentarz Stanisława Sobczaka. Autor dzieli się swoimi doświadczeniami z egzaminów do gimnazjum i przytacza typowe błędy kandydatów: „Dużo handlarek i handlarzy przychodzą na targ z masłem, jajkami”, „Na targu często stoi policja, która ma dozór ażeby nie kraść i nie bić się bo często się zdarza że wezmą chłopcy lub inni wyciągną coś z kosza a kobieta nie może ich gonić więc nad tym czuwa policja”, „W Zakopanem jest zdrowe powietrze bo tam wyjeżdżają ludzie”. Jednak najważniejszym, według Stanisława Sobczaka, problemem uczniów jest brak umiejętności myślenia:

Katastrofalnie wprost przedstawia się sprawa umiejętności myślenia młodzieży. Wiadomości można łatwo nabyć i zapamiętać, niewielka zasługa, mała szkoda; gorzej, jeżeli nie myśli się o tym, ażeby przy przyswajaniu młodzieży wszelkiego rodzaju wiadomości kształcić równocześnie jej umysł, rozwijać inteligencję.

Oświata międzywojnia, podlegająca częstym reformom zarówno organizacyjnym, jak i programowym, była również przedmiotem krytyki środowisk szkolnych i pozaszkolnych. W jednym z ostatnich przedwojennych zeszytów „Polonisty” (zeszyt I, styczeń – luty 1939) o sytuacji w szkole powszechnej pisze Jan Kulpa. Szczególnie interesujący wydaje się fragment poświęcony kondycji nauczyciela szkoły powszechnej:

I nauczycielstwo również wyraża się często z dużym niezadowoleniem, o wynikach swej pracy nad językiem polskim, gdy z reguły do programu języka polskiego odnosi się z dużym uznaniem. Przyczyn tego stanu szukać można słusznie przede wszystkim w trudnych warunkach pracy: przepełnieniu klas, nieodpowiednich pomieszczeniach, ubóstwie dzieci wielu szkół. Tych warunków nauczyciel przeważnie zmienić nie może. Sami jednak uczyący wskazują z większym naciśnięciem na przyczyny inne, a to: zbyt obfity materiał nauczania, mały wymiar godzin przeznaczonych na nauczanie języka ojczystego, przeciążenie pracą nauczy-

cieli uczących języka polskiego w kilku klasach. Za zbyt obfity w stosunku do czasu jest uważany materiał gramatyczny [...]. W związku z obfitością materiału pozostaje brak czasu, brak odpowiedniej ilości lekcji na objęcie w nauczaniu materiału o tak rozległych granicach, brak odpowiedniej ilości czasu na doprowadzenie dzieci do opanowania podstawowych technik, a to pisania i czytania. Obfitość materiału i mała ilość godzin nauczania powodują przeciążenie nauczycieli języka polskiego. Przeciążenie to zwiększając prace domowe, związane z nauczaniem języka polskiego, prace, jakich żaden inny przedmiot w tym zakresie nie wymaga, żeby tylko wymienić swoją złożoną organizację pracy i poprawiania zeszytów. Przeciążenia tego dopełnia obarczanie nauczycieli języka polskiego urządzaniem wszelkich uroczystości i imprez szkolnych, tudzież wszelką pracą pisemną, jako rzekomo wyłącznych specjalistów od pisania.

Podobne doświadczenia mieli zapewne nauczyciele gimnazjalni.

Nihil novi sub sole.

Jakże znajomo brzmią cytaty z przedwojennych wydawnictw i periodyków edukacyjnych. Można rzec – od niemal stu lat nic się nie zmieniło. Te same problemy, te same ograniczenia, to samo poczucie kryzysu w edukacji polonistycznej. Te same bolączki nauczycieli, te same braki w kształceniu uczniów, to samo poszukiwanie rozwiązań. Wypowiedzi naszych przedwojennych kolegów mogłyby się znaleźć w dzisiejszej prasie.

I bawi to, i przeraża. Choć budzi także pewnego rodzaju wzruszenie. Casy się zmieniają, ale my nie w pełni zmieniamy się z nimi. To, co kiedyś odczuwała Stanisława Osiecka, sprawdzając wypracowania uczniowskie, dziś można uznać za przejaw wypalenia zawodowego. Ale to tylko inna nomenklatura – poczucie jest to samo.

Pora jednak wyjść z tego magicznego kręgu niemożności i przeprowadzić zmiany, które my, nauczyciele, postulujemy od lat. Zaczniemy od cytowanej już łacińskiej sentencji: *non multa, sed multum*. Reszta to tylko komentarze.



2012 ROK PRUSA

WWW.STULECIEPRUSA.PL WWW.ROKPRUSA.PL



ROK 2012 UPŁYNĄŁ POD ZNAKIEM Bolesława Prusa – jego życia i dzieła. 19 maja 2012 obchodziliśmy 100. rocznicę śmierci autora *Lalki*, kronikarza Warszawy, pisarza-filozofa, który – jak słusznie zauważył niegdyś Zygmunt Szweykowski – umiejętnie potrafił w swych dziełach roztoczyć perspektywę na całość bytu, łącząc podszytą pozytywistycznym racjonalizmem poetykę realizmu z epifaniami metafizyki codzienności.

Jubileusz pisarzy minionych epok zwykle skłaniają do zadawania pytań o aktualność ich dzieła. Czy Prus wciąż może zachwycić? W jakim stopniu jego pisarstwo dotykać może kwestii bezpośrednio związanych z naszą współczesnością, kondycją etyczną, byciem-w-(post)świecie? Okazuje, że Prusowska, realistyczna wizja świata, mimo swego dziewiętnastowiecznego zapośredniczenia, wcale nie traci myśkłą. Jeśli bowiem za współczesnymi badaczami problematyki polskiego pozytywizmu ujmować będziemy drugą połowę XIX wieku jako próg nowoczesności, wtedy Prus, uchodzący za najskrupulatniejszego kronikarza przełomu stuleci, jawiłby się jako czuły sejsmograf społecznych zmian, świadek cywilizacyjnego przyspieszenia i eksplozji procesów modernizacyjnych (przede wszystkim urbanizacyjnych) które, jak wiadomo, w znacznym stopniu uwarunkowały kolektywną mentalność człowieka XX stulecia. Ale – o czym zapomnieć nie można – tak widziany Prus nowoczesny to wciąż i ten Prus, u którego skorpę realizmu nadwątlają szczeliny tu i ówdzie manifestującej się metafizyki, dyskretne odpryski tego, co współcześni komentatorzy określają „transcendencją realistów”, nadrealnym, to wciąż przecież Prus hołdujący triadzie wartości idealnych: doskonałości, szczęściu i użyteczności, to wciąż jeszcze Prus żyjący z traumą powstania styczniowego. A zatem Prus – człowiek „czasu wielkiej zmiany”. Taki, jak my.

Rok 2012 ogłoszony Rokiem Bolesława Prusa pod patronatem UNESCO obfitował w wydarzenia kulturalno-naukowe poświęcone pisarzowi, jego życiu i dziełu oraz obecności we współczesnym dyskursie publicznym i literackim. Kulminacją obchodów przypadła na maj. Najważniejszą z inicjatyw była pierwsza w jubileuszowym roku prusologiczna konferencja naukowa zorganizowana przez Instytut Badań ►



JOANNA ZAREMBA

Magister filologii polskiej UW, nauczyciel dyplomowany, absolwentka studiów podyplomowych z zakresu problemów rodziny (UW), negocjacji i mediacji (SWPS) i zarządzania oświatą (Akademia Leona Koźmińskiego); polonistka Poniątkówki od 2007 roku, od roku 2012

pełnomocnik do spraw wychowawczych, autorka i recenzentka materiałów dydaktycznych, współautorka podstawy programowej dla szkół polskich funkcjonujących poza granicami kraju, autorka programu nauczania *Moja polska kulturówka*, redaktor podręcznika internetowego *Włącz Polskę* przygotowanego dla dzieci obywateli polskich przebywających za granicą. Autorka programu nauczania języka polskiego *Język i kultura dla Poniątkówki* do nowej podstawy programowej.



Literackich Polskiej Akademii Nauk, Warszawską Wyższą Szkołę Humanistyczną im. Bolesława Prusa oraz Bibliotekę Narodową (23–24 maja). 24 maja w Pałacu Staszica odbyło się także spotkanie powieściopisarzy, którzy rozmawiali o tym, jakie znaczenia ma dla nich najwybitniejsze dzieło Prusa – *Lalka*. W dyskusji, której przysłuchiwali się także uczniowie i nauczyciele Poniatówki, wzięli udział m.in. Marek Bieńczyk, Inga Iwasiów, Marek Krajewski, Magdalena Tulli, Krzysztof Varga, Jan Tomkowski i Justyna Bargielska. Nieco wcześniej, w Noc Muzeów, na wystawę „Bolesław Prus – warszawiak z wyboru” zaprosiło zwiedzających Muzeum Historyczne m.st. Warszawy, a w Bibliotece na Koszykowej udostępniono dla zainteresowanych najcenniejsze prusowskie rękopisy i osobiste dokumenty; w gmachu biblioteki odbyły się także emisje filmów o pisarzu i ekranizacji jego powieści oraz sesja popularnonaukowa. Wiosną rozstrzygnięto również ogólnopolski konkurs historycznoliteracki dla uczniów szkół średnich „Bolesław Prus – w setną rocznicę śmierci pisarza”. Choć uczniowie Poniatówki (mimo szczerych chęci i postępów w pracach przygotowawczych) ostatecznie nie wzięli udziału w „Olimpiadzie Prusowskiej”, uczestniczyli w wykładzie dla młodzieży licealnej: *Realne i nadrealne u Prusa* wygłoszonym przez prof. Barbarę Bobrowską, a zorganizowanym w kwietniu na Wydziale Polonistyki UW.

W roku 2012 krajowe środowiska humanistyczne zorganizowały jeszcze trzy ważne konferencje prusologiczne – w Lublinie na KUL-u (czerwiec), w Siedlcach (październik) oraz wieńczące Rok Prusa grudniowe sympozjum *Realności, realizm, realność. W stulecie śmierci Bolesława Prusa* zorganizowane w Warszawie przez Wydział Polonistyki UW. Wzmoczonej aktywności naukowej towarzyszyła równie szeroko zakrojona działalność popularyzatorska i wydawnicza. Monograficzne numery czasopism przygotował między innymi „Wiek XIX. Rocznik Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza” (*Prus i inne*) czy „Stolica. Warszawski Magazyn Ilustrowany” (*Zafascynowani Prusem*). Warszawska Wyższa Szkoła Humanistyczna zorganizowała V Festiwal Wokulskiego, uruchomiono także okolicznościową witrynę internetową www.rokprusa.pl oraz wydano płytę „Warszawy Prusa”.

Istotnym wydarzeniem edytorsko-naukowym Roku Prusa stało się zainicjowanie prac nad wydaniem krytycznym dzieł wszystkich autora *Lalki*. Całe wydanie zaplanowano na ok. 44 tomy, z czego około 20 zajmie edycja samych „Kronik”. Nad publikacją ukazującą się pod patronatem Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza pracuje zespół złożony z badaczy wszystkich niemalże polonistycznych ośrodków naukowych w Polsce. Warto odnotować, że poniatowszczaki mają i w tym zespole swoją reprezentację – dwóch absolwentów v lo im. ks. Józefa Poniatowskiego weźmie udział w opracowywaniu kanonicznych wersji tekstów autora *Taraona* – pracujący obecnie w Instytucie Badań Literackich PAN dr Bartłomiej Szleszyński oraz pracownik Biblioteki Poniatówki – Karol Jaworski.

Karol Jaworski

Gdzie jest łacina?

MAGDALENA POCHYLSKA



CZĘSTO, GDY MÓWIĘ, ŻE UCZĘ łaciny, spotykam się z zaskoczeniem. „To jeszcze łaciny można się uczyć w szkole?”, „A gdzie ta łacina potrzebna? Chyba tylko na prawie i na medycynie...” A łacina i greka również (choć może już w nieco mniejszym zakresie) jest wszędzie. Naprawdę!

Posłużmy się egzemplifikacją stworzoną *ad hoc*:

W szkole (łac. *schola* – szkoła)¹ na lekcjach (łac. *lectio* – czytanie, lekcja) uczymy się liter (łac. *littera* – litera), poznajemy legendy (łac. *legenda* – rzeczy, które należy czytać), chodzimy na geografię (gr. *geographia* – dzieło geograficzne), matematykę (gr. *mathēmaticē*), na której omawiamy zagadnienia z geometrii (gr. *geometria*), przy okazji poznając pełne spectrum (łac. *spectrum* – obraz) alfabetu greckiego, korzystamy z biblioteki (gr. *bibliotheca*). A w bibliotece książki – każda z nich z akapitami (łac. *a capite* – od głowy, od początku), z marginesami (łac. *margo* – brzeg)...

W wolnym czasie chodzimy na siłownię i tam ćwiczymy np. biceps (łac. *musculus biceps* – mięsień dwugłowy), bywamy w teatrze (gr. *theatron*). W telewizji słyszymy głos lektora (łac. *lector* – osoba zatrudniona do czytania). Młodzi ludzie bardzo chętnie (oj, gdyby tak chętnie się uczyli!) grają w różne gry komputerowe. A tam aż się roi od artefaktów (łac. *ars* – sztuka, *facio* – robić, a więc artefakt to coś stworzonego sztucznie), które można znaleźć w różnych lokacjach (łac. *locatio* – rozmieszczenie).

W domu (łac. *domus*) mamy sprzęt audio i wideo (łac. *audio* – słuchać, *video* – patrzeć), komputer (łac. *computo* – obliczać), kalkulator (łac. *calculo* – liczyć). Kaloryfer (łac. *calor* – ciepło, *fero* – nieść) zapewnia odpowiednią temperaturę (łac. *temperatura* – nastawienie czegoś zapewniające umiarkowanie).

W bankowości mamy obligacje (łac. *obligatio* – poręczenie), akcje (łac. *actio* – działanie), kontrakty terminowe (łac. *contractus* – umowa, *termen* – koniec), w końcu dywidendy (łac. *dividenda* – rzeczy, które należy podzielić).

I wszelki komentarz staje się w tym miejscu zbyteczny. Owszem, rozumiemy te wszystkie słowa (albo przynajmniej ich większość), bo w języku polskim zakorzeniły się bardzo głęboko. Już nie zwracamy uwagi na to, że trochę obco brzmią, nieco odmiennie od naszych swojskich wyglądają. Ale może warto wiedzieć, że to łacina i greka wzbogaciły nasz język o tyle, potrzebnych przecież, słów.

Mnóstwo łaciny znajdziemy również w literaturze. Nieraz przychodzą do mnie uczniowie z kilkoma słowami łacińskimi wypisanymi z aktualnie czytanej książki.

„Czy mogłaby pani przetłumaczyć mi to?” – najczęściej pada prośba. „A z czego to jest?” – pytam przeważnie. Tu pada zazwyczaj nazwisko autora i tytuł dzieła. Wybór utworów jest bardzo bogaty. Oczywiście większość tych cytatów to wypisy z lektur szkolnych. Ale nie tylko.

Lecz zacznijmy od kanonu autorów „szkolnych”.

Na początek Jan Kochanowski. Poeta dwujęzyczny! Tak, tym drugim językiem była łacina właśnie. Oprócz polskich utworów w jego dorobku literackim możemy znaleźć również utwory pisane piękną łaciną. Niestety, dla czytelnika nieznającego tego języka, niedostępne w oryginale... Mickiewicz też łaciny nie unikał. Mało tego, w *Panu Tadeuszu* (skądinąd wiem, że ta epopeja fascynuje wielu młodych czytelników właśnie ze względu na kunszt językowy twórcy) możemy znaleźć fragmenty, w których autor stosuje zwroty „łacinopodobne”. Ot, chociażby Klucznik Gerwazy nakazuje Woźnemu ogłosić intromisję Hrabiego do zamku tymi oto słowy:

[.....] *cum gais, boris et graniciebus, Kmetonibus, scultetis et omnibus rebus Et quibusdam aliis* [.....].²

Piękne, prawda? A jeszcze trzynastozgłoskowcem. To majstersztyk naprawdę godny podziwu.

Teraz nieco o języku powieści Henryka Sienkiewicza. Niewątpliwie trudno jest czytać chociażby *Potop*, nie sięgając co i raz do jakiegoś zbioru przysłów i powiedzeń łacińskich. Bo rzeczywiście Sienkiewicz nie poskąpił sobie i gęsto ubarwiał łaciną wypowiedzi swoich bohaterów. Nie tylko zresztą łaciną, bo i wyrazami pochodzącymi z łaciny, a fleksyjnie przystosowanymi do wymogów języka polskiego. Oczywiście celem tych zabiegów była stylizacja języka powieści – wszak XIX-wiecznej – na polszczyznę XVII wieku bogato kraszoną inkrustacjami łacińskimi. Ale czyta się ciężko.

Jeśli kogoś Sienkiewicz rozmiłował w XVII-wiecznej Rzeczypospolitej szlacheckiej, z pewnością ten ktoś sięgnie po książki współczesnego pisarza Jacka Komudy. I znów spotka się z łaciną. Bo w opisywanych przez obu twórców czasach język łaciński był nierozzerwalnie związany nie tylko z polityką, sprawami międzynarodowymi (był wszak językiem dyplomacji), ale również z codziennością przeciętnego szlachcica. Wystarczy sięgnąć choćby po *Pamiętniki* Jana Chryzostoma Paska, żeby uzmysłowić sobie, jak wielki był udział języka łacińskiego w języku potocznym. Ale jak to czytać? Jak to rozumieć?

Miłośników fantastyki również czeka niełatwa lektura. Większość utworów tego gatunku bardzo głęboko sięga do

poetyki i realiów średniowiecza. I aż korci (autora oczywiście), żeby nieco „musnąć” łaciną język bohaterów. Inaczej czytałoby się o przygodach Geralta z Rivii w powieściach Andrzeja Sapkowskiego bez archaizacji języka. A to przecież współcześni autorzy w swoich powieściach wykreowali aurę minionych epok, również dzięki stylizacji językowej. Dużo uboższy byłby również średniowieczny świat Wilhelma z Baskerville w *Imieniu róży* Umberta Eco, gdyby nie język przeplatany latynizmami.

A przygody Harry’ego Pottera w książkach J.K. Rowling? I uczniowie Hogwartu nie są w stanie obyć się bez języka łacińskiego. Bo skąd jest choćby zaklęcie *expecto patronum*? Otóż z łaciny właśnie. I znaczy ono, ni mniej ni więcej niż „oczekuję opiekuna”!

Sięgnijmy jeszcze po na wskroś współczesne powieści dla młodzieży pisane przez Małgorzatę Musierowicz. Akcja jej książek dzieje się tu i teraz, czyli w Poznaniu i jego okolicach począwszy od lat 50. (*Kalamburka*) aż do chwili niemal obecnej (*McDusia*). A łaciny tam mnóstwo. Żywej, wplatanej w codzienne rozmowy bohaterów kwi-tujących zwykle wydarzenia łacińskimi sentencjami sprzed dwóch tysięcy lat, lecz wciąż aktualnymi i niezwykle celnymi. Ale jakże mogłoby być inaczej w rodzinie Ignacego Borejki – filologa klasycznego i bibliotekoznawcy.

To dobrze, że młodzież czyta. Ale to czytanie trochę uboższe, gdy fragmentu tekstu, czasami dość istotnego dla fabuły, nie rozumie się w lot. Ale jeszcze gorzej, gdy taki fragment się opuszcza, pomija jako nieważny. Nic bardziej mylnego. Przecież autor miał na myśli jakiś konkretny cel, pisząc w ten sposób. Zatem namawiam gorąco do poszukiwań pozostałości po bogatym, klasycznym języku w polskim słownictwie. Również zapraszam do prób analizy znaczenia sentencji i zwrotów łacińskich wplatanych w polskie teksty. Bo to wzbogaca. Bo to przecież część naszego dziedzictwa.

Finis coronat opus.

P.S. A może w tym tekście wnikliwy Czytelnik odkryje słowa pochodzące z łaciny lub greki klasycznej?

Bibliografia:

Korpanty Józef, *Słownik łacińsko-polski*, Wydawnictwo Szkolne PWN, Warszawa 2003.
Mickiewicz Adam, *Pan Tadeusz*, Wydawnictwo Elipsa, Warszawa 1990.
Mikołajczak Aleksander Wojciech, *Łacina w kulturze polskiej*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1998.



MAGDALENA POCHYLSKA

Absolwentka filologii klasycznej na Uniwersytecie Warszawskim, ukończyła ponadto studia podyplomowe z wiedzy o kulturze na UW oraz z informatyki na Politechnice Warszawskiej. W Poniatówce pracuje od 2002 roku. Uczy języka łacińskiego, wiedzy o kulturze i technologii informacyjnej. Od roku szkolnego 2012/2013 wicedyrektor Poniatówki.

¹ Znaczenie słów łacińskich i greckich podano za: J. Korpanty, *Słownik łacińsko-polski*, Warszawa 2003.

² A. Mickiewicz, *Pan Tadeusz* (księga ósma: *Zajazd*), Warszawa 1990, s. 239.



19 października 2013

DWUSETNA ROCZNICA ŚMIERCI
KSIĘCIA JÓZEFA PONIATOWSKIEGO

ROMUALDA KUŚMIERCZYK

VLO imienia księcia Józefa Poniatowskiego w Warszawie powstało w 1918 roku jako szkoła dla byłych wojskowych. W 1922 roku zostaje zmieniony charakter szkoły na ogólnodostępne gimnazjum, które otrzymuje nazwę Państwowe Gimnazjum imienia Księcia Józefa Poniatowskiego. W tym samym roku dzień 19 października ustalono świętem szkoły. Tego dnia, w 1813 roku, książę Józef Poniatowski w nocy, w kwaterze głównej, odebrał od Napoleona rozkaz końcowej obrony Lipska. Anna z Tyszkiewiczów Potocka tak opisała tę rozmowę:

– Książę [...] masz bronić przedmieścia południowego i zasłonić odwrót.

– Najjaśniejszy Panie, zostało mi już bardzo mało ludzi – odparł Poniatowski z trudem ukrywając ból, jakiego doświadczył, widząc w przedzie, że padło trzy czwarte jego żołnierzy.

– Nic nie szkodzi! siedem tysięcy Polaków pod twymi rozkazami równa się całemu korpusowi.

– Najjaśniejszy Panie! wszyscy gotowi jesteśmy polec.¹

Tej nocy wojska Napoleona rozpoczęły odwrót przez wąską, prawie trzykilometrową groblę i osiem mostów przecinających bagniste koryta Pleiße, Elstery i ich odnóg. Zanim wszystkie wojska napoleońskie przeszły przez most na Elsterze, artyleria francuska, ostrzelała rzekę. Odcięcie drogi było rezultatem przedwczesnego wysadzenia jednego przęsła mostu i rozebrania wszystkich innych drewnianych przepraw. Widząc nadbiegających żołnierzy nieprzyjaciela i chcąc uniknąć niewoli, wielokrotnie ranny książę Józef Poniatowski, Marszałek Francji, skończył w mętne, wezbrane po jesiennych deszczach wody rzeki Elstery. Zginął, do końca odrzucając myśl o kapitulacji i rezygnacji z walki.

Ciało księcia Józefa wydobyto z Elstery dopiero po czterech dniach od śmierci. Odnalazł je rybak Jan Krystian Friedrich. Zwłoki do Warszawy sprowadził generał Michał Sokolnicki we wrześniu 1814 roku.

Pamięć bohaterskiego wodza armii Księstwa Warszawskiego postanowiono uczcić zaraz po jego śmierci. Niemal rok po bitwie pod Lipskiem ciało księcia spoczęło w kościele św. Krzyża w Warszawie, a po kilku miesiącach, w lipcu 1815 roku przeniesiono je do Krypty św. Leonarda na Wawelu. Książę Józef Poniatowski był pierwszym bohaterem narodowym, który spoczął w krakowskiej katedrze. Jednocześnie polska arystokracja rozpoczęła starania u cara

Aleksandra I o pozwolenie na postawienie pomnika księcia w Warszawie, którego wierna kopia stoi obecnie przed Pałacem Prezydenckim.

Kim był człowiek, któremu stawia się pomniki, jego imieniem nazywa ulice, jest patronem szkół?

Książę Józef Poniatowski należy do jednych z bardziej kontrowersyjnych bohaterów narodowych. W sporach wokół jego osoby wciąż powraca pytanie: Wielki patriota poświęcający się za naród, czy sybaryta i lekkoduch?

Urodził się 7 maja 1763 roku w Wiedniu. Był synem Andrzeja Poniatowskiego, oficera austriackiego i Teresy Kinsky. Po ojcu miał szlachetną krew litewską po matce starą krew czeską z domieszką włoskiej. Od dziecka wychowywany był w kulturze języka niemieckiego i francuskiego. Uzyskał podwójną godność książęcą, gdy po elekcji stryja na króla polskiego całej rodzinie Poniatowskich na sejmie koronacyjnym warszawskim przyznano tytuł dziedzicznych książąt polskich, ponadto jego ojcu cesarzowa Maria Teresa nadała dyplom książęcy czeski z prawem pierworództwa. W dziesiątym roku życia książę Józef stracił ojca i przez jakiś czas pozostawał pod opieką troskliwej matki. Ojciec nie pozostawił mu zbyt dużego majątku. Od samego początku roztoczył nad nim opiekę stryj Stanisław August Poniatowski, król Polski – opiekę nie tylko materialną, dbał również o edukację młodzieńca. Początkowo, za zgodą stryja, tak jak jego ojciec, służył w armii austriackiej, z zastrzeżeniem jednak, że służbę w armii jednego zaborców odbywa jedynie czasowo, dla lepszego wyćwiczenia na wypadek, jeśli zajdzie potrzeba służenia ojczyźnie.

Młody, pełen energii książę lubił popisywać się zręcznością. Jednym z jego ryzykownych wybryków był wyczyn pływacki. W lipcu 1784 roku na manewrach pułkowych nad Łabą założył się z kolegą oficerem, że w pełnym rynsztunku i na koniu przepłynie Łabę. I zakład wygrał.

Chociaż wychowaniem księcia zajmowali się przede wszystkim cudzoziemcy wkrótce został Polakiem z wyboru, głównie pod wpływem stryja, króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, który w 1789 roku ze służby austriackiej ściągnął go do Warszawy, nadał stopień generalski i powierzył istotne zadania wojskowe.

W sejmującej Warszawie, gdzie zebrała się cała elita ówczesnej Rzeczypospolitej, młody książę wdał się w wir zabaw. Skłonność do zabawy i gier hazardowych przysparzała mu wielu kłopotów. W rozbawionym wielkim świecie warszawskim młodzieńcy książę –



January Suchodolski, *Książę Józef Poniatowski przed frontem grenadierów, 1857*, Muzeum Narodowe w Warszawie

generał lejtnant – został wkrótce przywódcą „złotej młodzieży” i dyktatorem mody. Był, jak pisze znany podróżnik Fryderyk Schulz –

jednym z pierwszych, którzy lekki, otwarty, wysoko zawieszony powóz w Niemczech zwany whisky, a w Polsce kabrioletem, w Warszawie w modę wprowadził. Z początku zaprzęgał do niego po cztery konie, potem osiem, w poręcz jedne za drugimi, powożąc z siedzenia stojący, co wyglądało bardzo malowniczo i widzom przypominało starożytnych w cyrkach woźniców [...] cmiło się w oczach i strach ogarniał, gdy jedną z szerokich i długich ulic, w pełnym pędzie wymijając inne powozy, przebiegał [...] Z admiracji wynikała chęć naśladowania i nie upłynęło cztery tygodnie, cała Warszawa pełna była kabrioletów.²

Płochosć charakteru ulubionego bratanka Stanisława Augusta, poświadczona przez wielu współczesnych mu pamiętnikarzy, wyrażała się w rozlicznych miłostkach i upodobaniach do zabaw przybierających niekiedy znamiona ekscesu. Kajetan Koźmian napisał w swoim pamiętniku, że

w czasie sejmiku konstytucyjnego założył się, że na koniu całą Warszawę w dzień biały obnażony przejedzie i dobrawszy sobie towarzyszyków Ignacego Hryniewieckiego i podobno Sanguszkę, dokazał tego ze zgorszeniem wielu, splawiwszy pierwszej konie w Wiśle.³

Nieco więcej szczegółów przedstawiła Henrietta z Działyńskich Błędowska:

W owym czasie swawoli rozmaite rzezy się działy, między innymi razu jed-

² Cyt. za: S. Szenic, *Bratanek ostatniego króla*, Warszawa 1983, s. 72.

³ *Pamiętniki Kajetana Koźmiana*, obejmujące wspomnienia od roku 1780 do roku 1815, Oddział II, Poznań 1858, s. 96–97.

nego stanął zakład, że przed obliczem króla i całego wojska i zebranej publiczności pokażą się w kostiumie ojca Adama książę Józef Poniatowski, synowiec króla, książę Kazimierz Sapiecha, mój ojciec i stryj. Książę Sapiecha z moim ojcem w koczku, stryj mój z tyłu za lokaja, a książę Józef za furmana. Podczas parady na dziedzińcu saskim zajeżdża ten ów pojazd, defilując koło wszystkich. Krzyk się zrobił, damy zaczęły oczy zakrywać. Wnet rozkaz królewski, aby łapać, aresztować zuchwalców, a książę skierowawszy konie na swój pułk, którym rozstąpił się, aby wpuścić swego wodza, i uszykował się znowu – a pojazd wpadł do bramy pierwszej kamienicy. Tylnymi drzwiami furman prawdziwe konie wyprowadził, a panowie przebrawszy się na wierzchowców powsiadali, przyjechali. Stając na czele swoich pułków pytają się co to był za rumor. Uszło im.⁴

Zakład ten omal nie skończył się wstąpieniem księcia Józefa do... zakonu. W obawie przed gniewem króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, bratanek skrył się podobno pod szatami zakonika. Dopiero, dzięki pośrednictwu między innymi biskupa Michała Poniatowskiego, udało się sprawę załagodzić i pogodzić księcia z obrażonym wujem.

Innym razem prawdopodobnie w tłumie ludzi przed Farą przeskoczył przekupkę z rozłożonym straganem, a w drodze z podwarszawskiego Wilanowa przeskoczył nad pojazdem wiozącym szlachcica, który przestraszony nawet nie śmiał wnosić pretensji, przeciwnie – z uniżonym uśmiechem mam-

⁴ H. Błędowska, *Pamiętnik przeszłości: wspomnienia z lat 1794–1832*, oprac. i wstęp K. Kostenicz i Z. Makowiecka, Warszawa 1960, s. 52–53.

¹ A. Potocka, *Pamiętniki*, z przedmową Piotra Chmielewskiego, t. II, Warszawa 1898, s. 138.



rotał o podziwie dla księcia – że „tak znakomitego jeźdźca jeszcze Polska nie widziała”. Po każdym sprawdzeniu swojej cyrkowej zręczności lubił dla uspokojenia nerwów zjeść kawał placzka ze śliwkami i pograć sobie na małym składanym szpinecie, który zawsze miał pod ręką.

W opinii współczesnych książę Józef uchodził za jednego z najlepszych tancerzy, piękna postawa i miła twarz oraz dbałość o wygląd zewnętrzny zyskały mu przydomek „*prince charmant*”. Przyłgął do niego także, i towarzyszył mu przez całe życie, przydomek „Pepi”, który był czeskim zdrobnieniem imienia Józef.

Był również jednym z najlepszych kawalerzystów. Wojował z niewielkimi przerwami całe życie, brawurowo igrając ze śmiercią. Wiosną 1790 roku objął dowództwo IV dywizji braclawskiej i kijowskiej i zajął się czynnie ćwiczeniem powierzonych sobie wojsk. Jak stwierdził Szymon Askenazy w jednej z podstawowych, klasycznych biografii Józefa Poniatowskiego:

wyższych wiadomości militarnych z aplikacji austriackiej nie wyniósł. Posiadał natomiast wyborną znajomość techniki kawaleryjskiej. Zaś przede wszystkim przyniósł wrodzony orientacyjny instynkt bojowy [...], należy podnieść utajone w nim wyższe uzdolnienie militarne, które z biegiem czasu, w miarę nabywanego doświadczenia, miało stopniowo dorastać do zadań największych, do najtrudniejszych wymagań strategii napoleońskiej. [...] Chwalony zazwyczaj jako bitny żołnierz, bywał nie doceniany jako dobry wódz.⁵

W roku 1799 wraz z Kościuszką otrzymał nominację na stopień generała majora. Po zawiązaniu się w 1792 roku Konfederacji w Targowicy wkroczyła do Polski armia rosyjska, generał Józef Poniatowski, przyczynił się do zwycięstwa pod Zieleńcami na Wołyniu. To wówczas namówił stryja do ustanowienia orderu wojennego Virtuti Militari, który otrzymał jako pierwszy wraz z Tadeuszem Kościuszką.

Szczególny szacunek i uznanie żołnierzy zyskał młody wódz, gdy na wieść o przystąpieniu króla do Konfederacji Targowickiej zażądał dymisji i, mimo nacisku króla, nie zmienił swojej decyzji i wyjechał do Spa. Po wybuchu Insurekcji Kościuszkowskiej w 1794 roku książę wrócił do kraju. 27 maja 1794 roku stanął w obozie Kościuszki pod Jędrzejowem. Ubrany w cywilny czarny frak podróżny, z laseczką w dłoni, na pytanie Kościuszki „czego książę sobie życzy?” miał podobno odpowiedzieć: „służyć prostym żołnierzem”.

Po klęsce powstania kościuszkowskiego i trzecim rozbiore Polski zamieszkał w zajętej przez Prusaków Warszawie. Od swego stryja Stanisława Augusta Poniatowskiego otrzymał Pałac Pod Blachą w grudniu 1794 roku, ale zamieszkał w nim wraz z siostrą, Marią Teresą z Poniatowskich Tyszkiewiczową oraz przyjaciółką – Francuzką,

Henriettą de Vauban dopiero po czterech latach. Apartament, w którym spędził 15 lat, do swej śmierci w bitwie narodów pod Lipskiem, zyskał sławę pierwszego salonu Warszawy. Przez czas rządów pruskich żył jako „człowiek prywatny”. Pod Blachą panowała gościnność do przesady wystawna i rozrzućna. Czas książę wraz z przyjaciółmi spędzał na zabawach, łowach, dworskich awanturach i miłostkach...

W służbie ojczyzny stanął ponownie w 1806 roku. Po zajęciu Warszawy przez Francuzów Napoleon I powierzył mu stanowisko naczelnego wodza armii Księstwa Warszawskiego, które powstało po zawarciu pokoju w Tylży w 1807 roku. Dowodząc armią Księstwa Warszawskiego w czasie wojny z Austrią w 1809 roku, wykazał się męstwem i nieprzeciętnym talentem wojskowym. W 1809 roku książę Józef Poniatowski stawiał czoło dwukrotnie większym siłom austriackim. W bitwie pod Raszynem wywołał podziw obu walczących stron; zorientowawszy się, że sytuacja na jednym z odcinków jest krytyczna, stanął na czele batalionu i z fajką w zębach, spokojny jak na przeglądzie, poprowadził go do zwycięskiego kontrataku w walce na bagnety. Oddał Warszawę nieprzyjacielowi, przeniósł walkę na tereny zaboru austriackiego i oswobodził Sandomierz, Zamość, Lublin, Lwów i Kraków. Przyłączył te tereny do Księstwa Warszawskiego i doprowadził do załamania się ofensywy austriackiej oraz wycofania się z jej z Warszawy. Sukcesy te przyniosły mu ogromny autorytet i Wielki Krzyż Legii Honorowej.

W latach następnych książę Józef pracował nadal nad organizacją i szkoleniem armii oraz uczestniczył w przygotowaniach Francji do wojny z Rosją w 1812 roku. Podczas tej wojny dowodził Armią Polską tworzącą v Korpus Wielkiej Armii Napoleona. Odnosił sukcesy wielokrotnie męstwem pod Smoleńskiem, Borodino oraz pod Witkowem.

Po klęsce Wielkiej Armii Francuskiej, w wyprawie na Moskwę, Polski Książę odmówił propozycji Imperatora Aleksandra, aby przejść na stronę Rosji. W 1813 roku, książę Józef opuścił Warszawę. Nie wiedział, że już nie zobaczy Pałacu Pod Blachą, balów w Pałacu w Jabłonnie...

Mimo wielu kontrowersyjnych sądów zarówno współczesnych, jak i historyków, w miarę upływu czasu zaczęły dominować o Poniatowskim opinie pozytywne. Nigdy nie negowano jego słabostek, ale coraz korzystniej oceniano umiejętności dowódcze i poświęcenie dla ojczyzny. Jak pisze Jerzy Skowronek:

Mimo wewnętrznych i zewnętrznych przeszkód wybrał Polskę i na trwałe, do końca związał z jej losami własne życie, gdy wielu ludzi jego sfery dokonywało odwrotnej reorientacji politycznej, zapewniającej spokojne korzystanie z majątków i osobiste korzyści. [...] Dzięki swej postawie w najtrudniejszym końcowym okresie jego sylwetka zyskała trwały urok w wyobraźni i senty-

mentach następnych pokoleń. Stała się jednym z najpopularniejszych wzorów nowożytnego rycerstwa na przełomie dwóch epok. Swym bohaterstwem, determinacją i śmiercią książę Poniatowski symbolizował dramatyczną epokę polskich ofiarnych dążeń i polskich katastrof.⁶

Dziś jest między innymi patronem v LO w Warszawie. O patronie przypomina młodzieży namalowany w 1922 roku przez Władysława Szyndlera, ucznia Poniatówki, olejny portret patrona. Przypomina również o ułańskiej tradycji księcia Józefa znaczek szkoły przypinany do tradycyjnych czapek noszonych przez uczniów.



Znaczek szkoły przypinany do szkolnych czapek

W roku, w którym przypada dwusetna rocznica śmierci księcia Józefa Poniatowskiego, warto przypomnieć tę postać i może zastanowić się nad wyborami młodego księcia, który pomimo wielu pokus kosmopolitycznego, arystokratycznego oświeceniowego życia wybrał walkę o ratowanie upadającej Polski.

6 J. Skowronek, *Książę Józef Poniatowski*, Wrocław 1984, s. 261.

Bibliografia

- Askenazy Szymon, *Książę Józef Poniatowski 1763–1813*; wstęp A. Zahorski; posł. S. Herbst, Warszawa 1974.
Bielecki Robert, *Książę Józef Poniatowski*, Warszawa 1974.
Błędowska z Działyńskich Henrieta, *Pamiętka przeszłości: wspomnienia z lat 1794–1832*, oprac. i wstęp K. Kostenicz i Z. Makowiecka, Warszawa 1960.
Paluszewski Jan, *Literacka legenda Księcia Józefa Poniatowskiego*, Pruszków 2006.
Pamiętniki Kajetana Koźmiana, obejmujące wspomnienia od roku 1780 do roku 1815, Oddział II, Poznań 1858.
Skowronek Jerzy, *Książę Józef Poniatowski*, Warszawa 1984.
Szenic Stanisław, *Bratanek ostatniego króla*, Warszawa 1983.



ROMUALDA KUŚMIERCZYK

Absolwentka historii na Uniwersytecie Warszawskim, ukończyła ponadto studia podyplomowe w zakresie nauk politycznych: organizacja i zarządzanie oświatą, studia podyplomowe w zakresie wiedzy o społeczeństwie oraz studia podyplomowe w zakresie dydaktyki WOS i przedsiębiorczości na Uniwersytecie Warszawskim na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych. Nauczyciel dyplomowany. Uczy historii, wiedzy o społeczeństwie i podstaw przedsiębiorczości.

PRZYWOŁANE Z PAMIĘCI

IRENA RESPONDEK

OTRZYMAŁAM OD pana dyrektora Mirosława Sosnowskiego pierwszy numer „Głosu Poniatówki” przeczytałam od deski do deski. Czytając, delektowałam się wspomnieniami. Wrócił do mnie smak tamtych lat,



czułam się, jakbym odzyskała dawny czas. W mojej pamięci wszystko się powoli zacieśnia, pamięć zdarzeń z dawnych lat przestaje być ciągłą, składa się z oderwanych obrazów. Kilka z nich chciałabym przywołać z pamięci.

Pierwsze kontakty z Poniatówką miałam już w latach 1946–1950. Byłam wtedy uczennicą żeńskiego liceum im. Stefanii Sempołowskiej, które mieściło się wówczas na pl. Inwalidów 10. W tym samym budynku miało swoją siedzibę męskie Liceum im. Józefa Poniatowskiego. My na trzecim piętrze, a oni na drugim lub odwrotnie.

Po ukończeniu studiów otrzymałam nakaz pracy właśnie do „Poniatówki”. Szkoła mieściła się wówczas przy ul. Szymanowskiej 1 (później Buczka 1) i część klas była już koedukacyjna. Dyrektorem był Józef Stanik, a zastępcą Kazimierz Baranowski. Obaj dbali nie tylko o dobry poziom szkoły, ale również rygorystycznie wymagali przestrzegania dyscypliny przez uczniów. Sumiennie pomagał im w tym zarówno pedagogiczny, jak i techniczny personel szkoły. Osobiście odczuwałam to karconą przez „ciocię” za brak fartuszka, kapci czy makiżu i odesyłała do dyrektora na dywanik (miałam wówczas 22 lata i byłam niewiele starsza od moich uczniów). Szczególnie dobrze pamiętam pierwszą maturę w roli egzaminatora fizyki. Na tę okazję kupiłam szykowną bluzkę (*nota bene* kosztowała mnie trzy czwarte pensji), która zaszokowała resztę komisji egzaminacyjnej. Podobno była zbyt śmiała, gdyż miała krótki rękaw i dekolt „nie pod szyję”. Mój wizerunek „surowego egzaminatora” uratowała prof. Zofia Cisakowa, użyczając mi swojego swetra. Tak więc okutana, w ciepłe i przyzwoite okrycie, egzaminowałam swoich wychowanków.

Ówczesne grono nauczycielskie stanowił wybitni przedwojenni pedagodzy m.in. wspomniana już prof. Zofia Cisakowa, prof. Anna Piekut, prof. Wanda Strużyńska, prof. Julian Grabowiecki i wielu innych. Sekretariat prowadziła Zofia Welke – legenda szkoły – wielka osobowość, życzliwa i przyjazna dla uczniów i nauczycieli.

Prof. Grabowiecki świetnie przygotowywał do egzaminów z matematyki. Uważał, że jeżeli uczniowie nie zakończą pisać egzaminu maturalnego do godz. 10, oznacza to, że on źle pracował, a maturzyści nie zasługują na dobre oceny. Wszystko jednak odbywało się, jak zwykle, bez niespodzianek – młodzież opuszczała salę przed „godziną zero”, bo matura z matematyki nie sprawiała im żadnych trudności.

Próbowałam chociaż w części dorównać tym wspaniałym nauczycielom. Przykładem niech będą „wycieczki” do liceum im. Narcyzy Żmichowskiej na zajęcia w między szkolnej pracowni fizycznej, bardzo dobrze wyposażonej w pomoce naukowe (nasza szkolna pracownia była wówczas bardzo skromna). Kilka razy w tygodniu jeździłam z młodzieżą z Żoliborza na Mokotów, aby przybliżyć im w ramach zajęć

5 Sz. Askenazy, *Książę Józef Poniatowski 1763–1813*; wstęp A. Zahorski; posł. S. Herbst, Warszawa 1974, s. 61.



praktycznych trudną teorię. W uznaniu dobrego przygotowania naszych absolwentów Politechnika Warszawska przysłała szkole list gratulacyjny.

Aby doskonalić metody nauczania młodzieży, podjęłam studia pedagogiczne II stopnia, w związku z czym otrzymałam roczny urlop. Zastępstwo za mnie pełnił Tomasz Tratkiewicz. Szkoła zdobyła wówczas wspaniałego człowieka, prawdziwego pasjonata, przyjaciela młodzieży, wspaniałego kolegę. Jedną z charakterystycznych cech „Tratki” był spacer po parapacie okiennym (ciągnął się on przez całą ścianę okienną) w trakcie prowadzenia lekcji. Oczywiście, chodzi o parapet wewnątrz klasy, a nie na zewnątrz! Im trudniejszy temat, tym większa była ekwilibrystyka. Nie było w klasie ucznia, który zajmowałby się na fizyce czymś innym, niż oglądanie popisów nauczyciela i oczywiście słuchaniem wykładu.

W szkole wówczas było wielu znakomych nauczycieli, wspaniałych ludzi, z którymi się zaprzyjaźniłam i przyjaźń ta przetrwała 50 lat. Systematycznie spotykałyśmy

się i spotykamy przez te wszystkie lata w naszych domach. Wspólnie przeżywałyśmy troski i radości naszych rodzin i chociaż części koleżanek nie ma wśród nas, kontynuujemy te spotkania. Tłem tych spotkań zawsze była kulinarna rywalizacja. Prof. Krystyna Krupowicz z matematyczną dokładnością dobierała składniki do mięsnych kartaczy; prof. Zofia Boniecka, której poprawna polszczyzna zachwyciłaby prof. Jana Miodka, piekla niezapomniane pączki, a najwspanialsze torty prof. Danuta Wojciechowska (pewnie na polonistycie był dodatkowy przedmiot: pieczenie ciast...); bliny prof. Amelii Łubińskiej były z samych naturalnych „kresowych” (jak sama pani profesor zresztą) składników i nie miały wbrew pozorom w sobie żadnej chemii, tak jak pływające banany z sosem kawowo-rumowym innej chemiczki prof. Krystyny Kawalec; potrawy z grzybów z Puszczy Białowieskiej prof. Marii Buszko wszystkie miały rosyjsko brzmiące nazwy. Natomiast prof. Helena Pietraszkiewicz nie miała żadnych talentów kulinarnych i jej przyjęcia były przygotowywane przez

synową, a sama Lena, jak na biologa przystało, przystrajała stół kwiatami z własnego ogrodu.

Pamiętam też Marzec 1968 – dostaliśmy polecenie przedłużenia zajęć szkolnych do późnych godzin popołudniowych. Niewiele wiedzieliśmy o tym, co się działo na Krakowskim Przedmieściu, docierały do nas tylko skąpe informacje. Mimo niepokoju atmosfera była poważna, zaciekawienie tymi wydarzeniami ogromne. Po kilku tygodniach musieliśmy skreślić z listy kilkunastu uczniów. Odjechali w nieznaną z Dworca Gdańskiego.

Wiele niezapomnianych przeżyć i wzruszeń wiąże się także ze wspomnieniem różnych imprez szkolnych, takich jak wycieczki, studniówki, apele, obowiązkowe pochody pierwszomajowe, akademie „ku czci”. Może czasami niechciane, ale zawsze na najwyższym poziomie artystycznym. A chór szkolny to arcyzm!

Chciałabym zwrócić uwagę na szczególnie dostrzegalną w LO symbiozę różnych podmiotów, takich jak: nauczyciele, rodzice, uczniowie, samorząd szkolny, le-

karze szkolni, pracownicy techniczni, którzy stanowili wspólnotę, traktowali szkołę jako dobro wspólne i czuli się za nią odpowiedzialni.

Od kilku lat mój mąż zapraszany jest na klubowe spotkania męskiej grupy absolwentów „Poniatówki” z lat 50. Są wśród nich prawnicy, inżynierowie, lekarze, naukowcy. Tak więc cechą charakterystyczną tej szkoły jest atmosfera sprzyjająca budowaniu trwałej, prawdziwej przyjaźni, która jest opoką w naszym codziennym życiu i dzięki której wiele można udźwignąć i przezwyciężyć.

W Poniatówce przepracowałam ponad 20 lat i chociaż w 1978 roku zostałam dyrektorem innego liceum, nigdy nie straciłam kontaktu z tą szkołą. Do Poniatówki uczęszczały trzy pokolenia mojej rodziny: mój mąż, dwie córki i wnuczka. Można więc bez przesady stwierdzić, że Poniatówka to nasza rodzinna Alma Mater, która dała solidną podbudowę do wykształcenia inżyniera budownictwa, lekarza weterynarii, technologa drewna i doktorantki biotechnologii uniwersytetu w Belgii.

10 LAT W PONIATÓWCE

HALINA MARKOWSKA

W V LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCYM im. ks. Józefa Poniatowskiego pracowałam od września 1976 do sierpnia 1986 roku. Do Poniatówki trafiłam właściwie przez przypadek. Po dziesięciu latach pracy w szkole podstawowej jako nauczyciel muzyki po liceum pedagogicznym i studium nauczycielskim wychowania muzycznego ukończyłam studia geograficzne na Wydziale Biologii i Nauk o Ziemi Uniwersytetu Łódzkiego i postanowiłam sprawdzić się jako nauczyciel tegoż przedmiotu w liceum. Traf chciał, że właśnie w Poniatówce potrzebowano geografa.

Od razu też dostałam wychowawstwo klasy matematyczno-fizycznej. O ich pomysłach i wyczynach można by napisać książkę, jednak na razie wszystkie wycieczki, wyjazdy na obozy OHP, akcje społeczne czy zabawne sytuacje z życia klasy stanowią główny temat rozmów na corocznych spotkaniach. Tak, z klasą, która maturę zdała w maju 1980 roku spotykamy się co najmniej raz do roku, obchodzimy rocznice egzaminu dojrzałości, organizujemy spotkania świąteczne lub wyjeżdżamy na wycieczki. Cały czas pozostajemy w kontakcie z absolwentami, którzy wyjechali za granicę, staramy się spotykać z nimi, gdy odwiedzają Polskę. Moja klasa była ze mną w ważnych momentach życia – na ślubie, przy przeprowadzce i kiedy wychodziłam ze szpitala z moją nowo narodzoną córeczką.

Oprócz wspomnień z wycieczek i zdarzeń szkolnych „moja” klasa chętnie wspomina także zajęcia i występy chóru szkolnego. Jak powstał chór w Poniatówce? Pani Barbara Królak, nauczycielka języka polskiego, i Teresa Wernik, nauczycielka historii, których dzieci uczyłam w szkole podstawowej muzyki, „doniosły” pani

dyrektor Danucie Wojciechowskiej, że w SP nr 211, kierowanej przez panią Marię Szymońską, prowadziłam chór z dużymi sukcesami. Zostałam więc poproszona o utworzenie chóru w V LO i prowadzenie zajęć wychowania muzycznego w klasach kulturowych (humanistycznych). Najpierw powstał chór żeński, a później – mieszany. W Warszawie byliśmy znanymi chórem, ponieważ corocznie braliśmy udział w Konkursach Chórów Szkolnych A’Capella Mazowsza, Kurpiów i Podlasia, i często byliśmy zdobywcami pucharów w pionie szkół średnich. W 1986 roku udało nam się zakwalifikować do



II KONKURS CHÓRÓW SZKOLNYCH A'CAPPELLA MAZOWSZA - KURPIÓW I PODLASIA

V I Ogólnopolskiego Konkursu w Częstochowie i zajęliśmy IV miejsce w skali całego kraju (uważam to za duże osiągnięcie warszawskiego chóru, zwłaszcza że w stolicy śpiew chórally nie jest popularny). Było to dla mnie, jak również dla uczniów i opiekunów (Bogny Lubańskiej i Andrzeja Opińskiego), ogromne przeżycie i sukces. Jednakże nie tylko na polu muzycznym odnosiłam sukcesy w pracy z młodzieżą. Moi uczniowie wybierali geografę jako przedmiot maturalny i egzaminacyjny na studia, dobrze go zda-

wali, a także przystępowali do olimpiad. Jeden z laureatów ułokował się na VI miejscu.

Patrząc po latach na moją pracę w Poniatówce, mogę powiedzieć, że wszystkie te działania (wychowawstwo klasy, chór i praca jako nauczyciela geografii) były dla mnie jednakowo ważne.

Poza muzyką i geografiją moją pasją, ba, wręcz całym życiem, było zawsze harcerstwo. Byłam z nim związana od 14 roku życia, kiedy wstąpiłam do ZHP w Liceum Pedagogicznym w Ostrołęce, aż do urodzenia córki. Dzięki działalności w harcerstwie zdobyłam bardzo dużo doświadczenia. Jako drużynowa, komendant szczeplu i komendant obozu czy zgrupowania organizowałam wypoczynek dzieci i młodzieży. Te doświadczenia, zdobyte umiejętności organizacyjne procentowały i procentują w pracy z młodzieżą, naj-



bardziej okazały się także dobrym przygotowaniem do pełnienia funkcji kierowniczych w szkole. Dzięki harcerstwu udało mi się zwiedzić kawałek Europy, co prawda Środkowo-Wschodniej, ale takie były czasy. Byłam w Czechosłowacji, na Węgrzech i w Związku Radzieckim, w słynnym ośrodku pionierskim „Artek” położonym nad Morzem Czarnym. Jednak najważniejsze co zawdzięczam harcerstwu, to życzliwi ludzie, którzy stanęli na mojej drodze; należą do nich na przykład pani Elżbieta Dehnel, która pełniła funkcję

Komendanta Hufca Śródmieście oraz, oczywiście, miłość mojego życia, harcmistrz (Mieczysław) Adam Markowski. Pasja ta zaowocowała także prawdziwymi przyjaźniami z ludźmi, na których mogę polegać do dziś, którzy są dla mnie jak rodzina.

W 1986 roku podjęłam decyzję o odejściu z Poniatówki. Wiedziałam, że ucząc w tej szkole, będę zarówno nauczycielem geografii, jak i wychowania muzycznego. Na dalsze prowadzenie chóru nie pozwalał mi już stan mojego głosu, sytuacja rodzinna i czas, który chciałam poświęcić mojemu dziecku (chór bardzo absorbował, pracowałam już po obowiązkowych zajęciach). Dowiedziałam się, że zwolniło się miejsce nauczyciela geografii w Studium Nauczycielskim nr 1. Skorzystałam więc z okazji. Moje odejście z Poniatówki bardzo przeżyła córka Agata, która wtedy, w wieku 5 lat, zapowiedziała, że kiedyś i tak wróci tu i będzie się uczyć w tym liceum. Jak zapowiedziała, tak zrobiła. No i zaczęła się Poniatówka po raz drugi: zebrania, przeżywanie niepowodzeń, czekanie na widokówki z obozów geologicznych, organizacja studniówki... Dziś, z perspektywy czasu, uważam, że przy jej zdolnościach technicznych (ma je ewidentnie po tacie), powinna iść do klasy matematycznej, a nie kulturowej. Jednakże w latach dziewięćdziesiątych posiadanie komputera przekraczało moje możliwości, więc skoro żadne inne liceum nie wchodziło w rachubę i musiała być Poniatówka, to wybór padł na klasę kulturowo-językową. Jako przedmiot do wyboru na maturze zdawała i tak matematykę (oraz geografię). Przez znajomość „od urodzenia” z moją klasą wychowawczą, Agata postanowiła zostać nauczycielem (bardzo ją od tego odwodziłam) i wróciła do Poniatówki jako nauczyciel geografii, na zastępstwo, na jeden semestr.

Wspomniane przeze mnie Studium Nauczycielskie nr 1 zostało zlikwidowane w 1991 roku, a na jego miejsce powołano LXXV Liceum Ogólnokształcące, od 1994

roku im. Jana III Sobieskiego. W roku szkolnym 1995/1996 zostałam wicedyrektorem szkoły. Propozycję tę złożył mi ówczesny dyrektor liceum Edward Zegadło. Przysłałam na nią głównie z powodów zdrowotnych – musiałam zmniejszyć liczbę godzin dydaktycznych ze względu na ciągłe kłopoty z głosem. Dzięki współpracy z dyrektorem Edwardem Zegadłą poznałam tajniki zarządzania szkołą. Kiedy w 2001 roku zdecydował się przejść na emeryturę, koleżanki i koledzy z grona pedagogicznego zwrócili się do mnie z propozycją, abym podjęła się pełnienia funkcji dyrektora. Nigdy wcześniej nie rozważałam takiego pomysłu, gdyż bardzo dobrze czułam się w pracy z młodzieżą na stanowisku wicedyrektora. Jednakże prośby niektórych członków Rady Pedagogicznej sprawiły, że postanowiłam stanąć do konkursu, i... zarządzam LXXV LO im. Jana III Sobieskiego do dnia dzisiejszego. Bycie dyrektorem stanowiło i stanowi dla mnie nie lada wyzwanie. Zaczęłam inaczej patrzeć na szkołę: chcąc nie chcąc musiałam zmierzyć się z gąszczem przepisów prawa oświatowego, podziałem zadań, organizacją życia szkoły. Na szczęście w tych zupełnie nowych dla mnie obowiązkach mogłam zawsze liczyć na życzliwość grona pedagogicznego oraz pomoc byłego dyrektora szkoły oraz wieloletniej wicedyrektor Studium Nauczycielskiego – pani Aliny Adamowskiej, z którą wcześniej pracowałam w szkole podstawowej czy też dyrektor Pałacu Młodzieży w Warszawie – pani Urszuli Wacowskiej (znajomość oczywiście z harcerstwa).

Czy zmieniłabym coś w swoim życiu, gdybym mogła cofnąć czas? Na pewno byłabym nauczycielem. Nie wyobrażam sobie innej pracy. Nie wiem natomiast, czy pełniłabym funkcję dyrektora.



HALINA MARKOWSKA
Magister geografii, nauczyciel dyplomowany, wieloletni nauczyciel w VLO, wieloletni dyrektor LO im. Jana III Sobieskiego, twórczyni chóru Poniatówki.



Poniatówka w moich wspomnieniach

MAŁGORZATA (MALCZYK) SMORĘDA

PRAWIE CAŁE MOJE ŻYCIE związane jest ze szkołą. Jestem od 25 lat nauczycielką geografii w LX LO im. Wojciecha Górskiego na Bielanych, w latach osiemdziesiątych znanym jako „Eksperyment”. Trafiłam tam bezpośrednio po ukończeniu Wydziału Geografii i Studiów Regionalnych Uniwersytetu Warszawskiego. Przez 10 lat pełniłam funkcję wicedyrektora tej szkoły.

Edukację rozpoczęłam w Szkole Podstawowej nr 122 na Muranowie. W tym czasie realizowano tam eksperymentalny program dziecięciolki, który ostatecznie nie został wprowadzony. Ale my, uczniowie, dużo zyskaliśmy – dzięki zaangażowaniu nauczycieli, niekonwencjonalnym metodom nauczania, ciekawym lekcjom, zainteresowaniu władz oświatowych rozwijaliśmy umiejętności i pasję oraz otrzymaliśmy gruntowne, podstawowe wykształcenie. Jednym z elementów edukacji muzycznej był udział w audycjach dla przedszkolaków, w Programie III Polskiego Radia.

Jednak największy wpływ na moje życiowe wybory wywarły cztery lata spędzone w Poniatówce. Zadecydowały o tym osoby, które tam spotkałam i klimat, który wspólnie tworzyliśmy. Andrzej, Beata, Janusz, Romka, Michał, Marysia, Kasia, Ela, Małgosia, Włodek, Paweł, Jacek, Marysia, Krzysztof, Andrzej, Grzegorz, Jacek, Bożena, Piotr, Jacek Tomek, Tomek, Wojtek, Ela, Agnieszka, Beata, Wojtek, Darek, Jarek, Andrzej, Jacek, Paweł – to moje koleżanki i koledzy, uczniowie klasy „A” o profilu matematyczno-fizycznym v LO im. ks. Józefa Poniatowskiego, matura 1980. Byłam przez dwa lata przewodniczącą tej klasy, sama zresztą zgłosiłam swoją kandydaturę. Naszymi nauczycielami byli między innymi dyrektor Danuta Wojciechowska (język polski), prof. Bogna Lubańska (matematyka), prof. Tomasz Tratkiewicz (fizyka), prof. Amelia Łubińska (chemia), prof. Teresa Wernik (historia), prof. Andrzej Opiński (wychowanie techniczne) i nasza wychowawczyni, prof. Halina Markowska (geografia), która stała się dla mnie kimś szczególnie ważnym. Jej zawdzięczam to, że jestem nauczycielką geografii. W długiej i szczerzej rozmowie przed maturą przekonała mnie do wyboru kierunku studiów, choć przez wiele miesięcy przygotowywałam się do egzaminów na Informatykę Ekonomiczną i Cybernetykę. Mogę powiedzieć, że się przyjaźnimy. Halina Markowska towarzyszy mi życzliwie nie tylko w życiu zawodowym, ale i prywatnym, jest moim dobrym duchem. Kibicuje moim poczynaniom zawodowym, wspiera mnie, często też doradza.

Z każdym nauczycielem wiązałam się wspomnienia. Pani dyrektor



OHP, wakacje 1978

Wojciechowska uczyła tylko naszą klasę, byliśmy jej ostatnimi uczniami, przed odejściem na emeryturę. Miała do nas słabość, ale także zaufanie, dlatego potrafiliśmy ją przekonać do naszych różnych, nawet najdziwniejszych pomysłów. Wiem, że pomogła wielu uczniom w trudnych, życiowych sytuacjach. Wiele lat później spotkałam przypadkowo panią dyrektora. Podczas miłej rozmowy okazało się, że nie pamięta mojego nazwiska, ale przypomina sobie czerwone serduszka, które miałam naklejone na okulary.

Z racji profilu klasy najwięcej godzin lekcyjnych odbywaliśmy z prof. Lubańską i prof. Tratkiewiczem. Lekko nie było. Matematyka z elementami informatyki. Całki, różniczki, liczby zespolone, na przemian z językiem programowania Algol 60. Na studiach doceniłam wymagania prof. Lubańskiej, która spokojnie, konsekwentnie starała się zrobić z nas wytrawnych matematyków.

Wszyscy, którzy zetknęli się z prof. Tratkiewiczem wiedzą, że był postacią wyjątkową, barwną osobowością, legendą szkoły. Miał specyficzne poczucie humoru. Czulałam przed nim ogromny respekt, podziwiałam za wiedzę. Życie przynosi niespodziewane, zaskakujące sytuacje. Po dwudziestu latach od ukończenia szkoły, prof. Tratkiewicz wrócił do mnie, we wspomnieniach jego wnuczki Kasi, która była moją uczennicą.

Najwięcej anegdot dotyczy właśnie lekcji fizyki. Ciężko jest opisać atmosferę panującą w klasie, gdy Profesor chodził między ławkami i polował na nieszczęśnika, który stanie za chwilę „sparaliżowany” pod tablicą i zapomni nie tylko podstawowe wzory, ale także swoje nazwisko. Gdy podczas lekcji ktoś dorosły wchodził do klasy, Profesor dawał nam znak

abyśmy nie wstawali, a do gościa mówił: „nie podrywam motłochu”, a jak prosiliśmy o zamknięcie okna zimą, odpowiadał: „trzeba nosić barchanowe gacie”. Treści zadań przygotowane przez Tratkę nawiązywały do aktualnych wydarzeń politycznych w kraju. Strajki robotników w Ursusie i Radomiu znalazły odbicie w prędkościach, z jakimi poruszały się pociągi w rozwiązywanych przez nas zadaniach. Fizyka była przedmiotem, który najbardziej nas pochłaniał, poświęcaliśmy jej najwięcej czasu. Każdy miał dwa zeszyty, do pracy na lekcji i do pracy w domu. Oba musiały być zatwierdzone przez Profesora podpisem, w przeciwnym razie stawały się „dzikimi zeszytami”. Odrabianie prac domowych było rytuałem, wiązało się z wielogodzinnymi wędrówkami między naszymi domami i licznymi konsultacjami. W przedpokoju stało kilka lub kilkanaście par butów, a w pokoju tyle samo głów, wśród nich Tomka – najzdolniejsza, naprawdę myśląca. Matki nas przygarniały i dokarmiały, a ojcowie próbowali rozwiązywać zadania. Jedynie tata Marysi (akademicki profesor fizyki) odnosił na tym polu sukcesy.

Najdłuższe były lekcje geografii, zawsze zahaczały o przerwę, bo spraw, które musieliśmy omówić z wychowawczynią, było znacznie więcej, niż to przewidywała godzina wychowawcza.

Moją ulubioną lekcją było wychowanie techniczne. Profesor Opiński dawał nam odetchnąć po fizyce i matematyce, stwarzał przyjazną, ciepłą atmosferę i zawsze było wesoło. Naszym zadaniem, oprócz wykonywania rysunków technicznych i rzutów, było chodzenie do cukierni przy Świerczewskiego (obecnie Solidarności) po odbiór pączków i drożdżówek do szkolnego sklepiku. Każda lek-

cja wychowania technicznego była jak „tłusty czwartek”, nie żałowaliśmy sobie kalorii.

Matematyka, fizyka, geografia otworzyły nam drogę na wyższe uczelnie. Prawie wszyscy zdaliśmy pomyślnie egzaminy na studia. Większość z nas ukończyła studia techniczne na Politechnice Warszawskiej i ekonomiczne na SGPiS (obecnie SGH). Są w naszym gronie też absolwenci Uniwersytetu Warszawskiego i Akademii Medycznej.

Lubiliśmy ze sobą przebywać, wspólnie spędzać czas. Organizowaliśmy różne imprezy i uroczystości, między innymi sześdzie-

czasu mamy wspólne tematy i oczywiście wspomnienia. Poniatówka stała się dla nas nie tylko miejscem, gdzie zdobywaliśmy wiedzę, ale przede wszystkim miejscem, gdzie kształtowaliśmy nasze relacje społeczne.

Dyrekcja V LO im. ks. Józefa Poniatowskiego zawsze śledziła losy absolwentów szkoły i zapraszała ich do współpracy. W roku szkolnym 1998/99 wróciłam na krótko do Poniatówki, już jako nauczyciel. Uczylałam klasy pierwsze i prowadziłam zajęcia z maturzystami. Miałam wtedy przyjemność uczyć córkę prof. Haliny

Retezat, wakacje 1979



sięciociele szkoły. Przygotowaliśmy dwa kabarety o życiu szkoły. Wspierała nas w tym wychowawczyni, poświęcała nam swój prywatny czas. W ciągu czterech lat nauki byliśmy na sześciu wycieczkach i dwóch wakacyjnych obozach. Jesienią wyjeżdżaliśmy w góry: Świętokrzyskie, Sudety, Bieszczady. W czasie matur na trzydniowe wycieczki rowerowe, najdalej nad Jezioro Sulejowskie. W wakacje po drugiej klasie pracowaliśmy w nadleśnictwie koło Rajgrodu, aby zdobyć fundusze na zaplanowaną za rok wycieczkę do Rumunii – stała się ona wspaniałą przy-

Markowskiej, Agatę, która kontynuuje rodzinne tradycje. Jednak moje przywiązanie do Górskiego okazało się na tyle silne, że nawet będąc w czołówce rankingów Poniatówka mnie nie skusiła.

W LX LO im. Wojciecha Górskiego pracuję do dziś. Lubię tę szkołę, jej atmosferę, tradycje, które pozostały po eksperymencie. Praca, którą wykonuję jest ciekawa, różnorodna, daje wiele satysfakcji. Mam nadzieję, że moi uczniowie po latach będą mile wspominać szkołę, tak jak ja wspominam czas spędzony w v LO im. ks. Józefa Poniatowskiego.

Wycieczka w Sudety, 1977



MAŁGORZATA SMORĘDA

Absolwentka V LO im. ks. Józefa Poniatowskiego (matura 1980) oraz Wydziału Geografii i Studiów Regionalnych Uniwersytetu Warszawskiego. Od 25 lat jest nauczycielką geografii w LX LO im. Wojciecha Górskiego na Bielanych, 10 lat pełniła funkcję wicedyrektora szkoły. Jest współautorką zeszytów ćwiczeń dla gimnazjum *Blżej geografii* wydanych przez WSiP.



Moja klasa

JANUSZ DEMBSKI



20-lecie matury, 2000

ZOSTAŁEM POPROSZONY przez moją wspaniałą wychowawczynię i nauczyciela geografii, profesor Halinę Markowską, o napisanie tekstu na temat mojej klasy, co niniejszym czynię, próbując dodać kilka innych wątków związanych ze szkołą.

Rozpocząłem swoją edukację w V LO we wrześniu 1976 roku. Szkoła była rok lub dwa po przeniesieniu z dawnej lokalizacji. Nowe miejsce dawało szkole szansę na rozwój, zatrudnienie nowych nauczycieli, przyjęcie większej liczby uczniów.

W połowie lat siedemdziesiątych „5” nie była liceum wybitnym, a raczej średniej jakości. W tamtych czasach nie ogłaszano w gazetach statystyk dotyczących wyników szkół, a jeżeli takie były, to niewiele osób miało do nich dostęp. Marsz ku doskonałości i czołowych miejsc w rankingach rozpoczął się jednakże w tym okresie po zmianie lokum.

W mojej ocenie było kilka czynników, które wpłynęły na taki stan rzeczy. Po pierwsze – młoda i ambitna kadra nauczycielska. Po drugie – kadra nauczycielska starsza, z osiągnięciami, wspomagająca kadrę młodszą. Po trzecie – otoczenie społeczne szkoły, czyli dzielnica Muranów. Po czwarte w końcu – sytuacja polityczna kraju i nadchodzący czas przemian.

Z osób, które mnie uczyły wymienię prof. Halinę Markowską, nauczyciela geografii (także muzyki), wychowawczynię mojej klasy. Kolejną osobą była prof. Bogna Lubańska, nauczyciel matematyki. Wykorzystując wiedzę wynie-

szą z lekcji u prof. Lubańskiej, przez pierwsze lata studiów mogłem udzielać korepetycji z matematyki, dzięki czemu mój budżet studencki był całkiem zadowalający... Osobą wybitną była prof. Krystyna Staszewska-Kizeweter, nauczycielka angielskiego. Bardzo dobrze wspominam prof. Stefana Żochowskiego, nauczyciela wychowania fizycznego, który potrafił nas nauczyć grać w siatkówkę w bardzo niskiej sali gimnastycznej, niedostosowanej do wymiarów standardowej hali siatkarskiej.

Z kadry nauczycielskiej starszej – to przede wszystkim prof. Tomasz Tratkiewicz „Tratek” – nauczyciel fizyki. Osoba, która otworzyła mi świat myślenia w naukach ścisłych, zainteresowała nimi, do tego stopnia, że wybrałem zawód inżyniera, w którym pracuję i realizuję się już od 25 lat. Tratek był osobą specyficzną jako pedagog i nauczyciel. Palił podczas lekcji papierosy „Sport” i w sposób trudny do zaakceptowania zwracał się do dziewcząt – uczennic. Nietuzinkowa postać profesora została odzwierciedlona w kabarecie zorganizowanym i wykonanym przez uczniów naszej klasy już przed

maturą. Kabaret zyskał bardzo duże zainteresowanie nie tylko w naszej szkole, ale także w innych liceach warszawskich. Brak zawodowego przygotowania aktorskiego oraz zbliżająca się matura nie pozwoliły zwiększyć sukcesu tego przedsięwzięcia.

Prof. Amelia Lubińska „Mela”, nauczyciel chemii, przekazała mi wiedzę, z której korzystam do dziś w pracy zawodowej.

W późniejszych kontaktach służbowych bardzo przydała mi się nauka języka rosyjskiego – aczkolwiek ten przedmiot był szczególnie niepopularny przez nas wszystkich, albo prawie wszystkich.

Wraz z rozpoczęciem działalności w nowej lokalizacji przy ul. Nowolipie, uczniowie „5” rekrutowali się głównie z okolicznych osiedli mieszkaniowych, czyli z Muranowa. Muranów powstał na gruzach getta warszawskiego i był jedną z najszybciej rozbudowujących się dzielnic Warszawy. W związku z tym mieszkania dostawali tu ludzie bardzo różnych profesji i pochodzenia, co nadało temu miejscu ciekawy charakter połączenia najprzeróżniejszych środowisk – dawnych warszawskich, kresowych, przyjezdnych z innych regionów kraju, inteligentnych, robotniczych, urzędniczych. Coś na kształt małej Galicji. Do „5” przychodzili głównie uczniowie ze szkół podstawowych Muranowa nr 122 przy ul. Niskiej, nr 210 przy ul. Karmelickiej, nr 32 przy ul. Muranowskiej. Konglomerat różnych wartości i postaw powodował, że środowisko było niezwykle dynamiczne i żądne sukcesu – zarówno nauczyciele, jak i uczniowie.

Czasy budowy przyszłej pozycji szkoły były bardzo trudne. Koniec dekady „gierkowskiej”, początki budowania świadomości obywatelskiej przez działalność opozycyjną. Z moich wspomnień wynika, że szkoła zachowywała się w tym czasie mocno zachowawczo. Jedynie prof. Tratkiewicz na swoich lekcjach miał odwagę mówić o rzeczach trudnych w sposób jednoznaczny. Mam do dziś duży niesmak z lekcji historii, języka polskiego i PWS (propedeutyka nauki o społeczeństwie). Z drugiej strony, w klasie rok wyżej był Maciek Kuroń, syn Jacka Kuronia, co dyrektora szkoły w jakiś sposób tolerowała. Maciek był także laureatem olimpiady z historii. Ówczesne władze zezwoliły mu studiować na uniwersytecie w Olsztynie. Pamiętam, jak słuchałem w domu RWE i dowiedziałem się o pobiciu przez SB uczestników spotkania Latającego Uniwersytetu w mieszkaniu Jacka Kuronia. Jedną z pobitych osób był Maciek. Kilka dni później byłem

świadkiem, jak Maciek, wchodząc do szkoły, został zatrzymany przez osobę z dyrektora i ogłoszono mu informację o zawieszeniu w prawach ucznia. Niestety na tym polu „5” pozostawała mocno w tyle za takimi szkołami, jak Reytan, Batory, Leleweł czy Modrzewski.

Mocno niesamowite było dla mnie, gdy jeden z dyrektorów po konklawie w 1978 roku i wyborze kardynała Wojtyły na papieża wypowiadał się wśród nas, że jako komunista nie akceptuje pozycji Kościoła, ale jest wzruszony wyborem Polaka na to stanowisko. Tymczasem na przekór szkolnej organizacji PZPR kilku z nas było członkami służb porządkowych podczas wizyty papieskiej w 1979 roku.

Ze zdumiewających wypowiedzi notabli partyjnych z Urzędu Dzielnicowego podczas jednej z akademii pamiętam stwierdzenie: „książe Józef Poniatowski, mimo że był księciem, też był patriotą”. Akademia szkolna to była wspaniała sprawa. Poza często mocno nudnymi treściami, które tam przekazywano, niezapomniane było zawsze odśpiewanie hymnu szkoły. Osobiście pełny tekst przyswoiłem sobie dość późno, chyba

W szkole była też bardzo aktywna drużyna harcerska. Aczkolwiek był to tzw. HSPS (Harcerska Służba Polsce Socjalistycznej), co z ideami przedwojennego ZHP miało niewiele wspólnego i wiązało się to z np. przymusowym udziałem w pochodzie pierwszomajowym. Jednakże aktywność na polu przede wszystkim turystycznym (rajdy, wycieczki, obozy) dominowała, i dawała uczestnikom świadomość wspólnego życia i przeżywania wspólnych doznań.

Ale wróćmy do zasadniczego tematu, czyli mojej klasy. Uważam, że czas spędzony w tej klasie jest jednym z moich najbardziej wartościowych doznań życiowych. Ludzie, z którymi byłem wtedy, są w znakomitej większości do dziś moimi przyjaciółmi. Jest kilka osób, które wyjechały z Polski, jesteśmy z nimi w kontakcie. Spotykamy się na okrągłe rocznice zdania matury – czyli 10, 15, 20, 25, 30 – czekamy na 35-lecie. Spotykamy się także przy innych okazjach, może nie wszyscy, ale wiele osób z naszego grona. Zapraszamy się wzajemnie na różne wyjazdy, spotkania, rocznice – słowem jesteśmy cały czas ze sobą, mimo że w sumie każdy z nas jest tak daleko.



30-lecie matury, 2010

w drugiej klasie. Ale i tak najważniejsze było wykrzyczenie frazy: „czerwone tarcze Poniatowskiego”, co wszyscy czynili. Szkoła miała i ma wspaniały hol główny, w którym te akademie się odbywały. W tym holu głównym występował chór szkolny prof. Markowskiej, zespół muzyczny – rockowy, z klasy rok starszej od mojej. W tym holu odbywały się studniówki (chyba do dziś, co potwierdza moja córka przygotowująca się do studniówki w innej szkole), a także nauka poloneza przed studniówką oraz inne imprezy, jak np. dyskoteki. Hol był też miejscem szczególnym, gdzie można było spotkać wszystkich uczniów na przerwach. Można było także obserwować ciekawe osoby. Fenomenalna sprawa. Przepisywanie nieodrobionych prac domowych odbywało się poważnie na pierwszym piętrze, na dłuższym odcinku między salą ZPT a toaletą damską w drugim końcu. Ciekawymi miejscami były toalety na parterze, gdzie uczniowie i uczennice palili papierosy. Miejscem palenia papierów był także murek za schodami poniżej wejścia głównego do szkoły. Mimo apeli dyrektora, nauczycieli, problem nigdy nie został w moich czasach rozwiązany.

Wiele osób z naszego grona złapało bakcyli turystycznego po wpływie wspólnych wycieczek rowerowych i górskich. To był taki czas, gdy staraliśmy się w naszym przyszłym życiu umieścić naszą przyszłość. Ja przykładowo byłem później już w czasie studiów uczestnikiem regat żeglarskich przez Atlantyk.

Większość z nas poszła na studia, jeżeli dobrze pamiętam to na 35 osób na studia dostały się 32 osoby. I na tym polegał fenomen szkoły, która kiedyś była średnia, i stała się bardzo dobra. Zaczęli do niej zdawać uczniowie z innych dzielnic. W moim odczuciu zaczęło się to od mojej klasy, choć prawdziwy renesans szkoły rozpoczął się w latach 90.



JANUSZ DEMBSKI

Absolwent V LO (matura 1980), Politechniki Warszawskiej (Wydział Elektryczny, 1986), MBA Wyższej Szkoły Zarządzania i Marketingu w Warszawie oraz University of Denver (2002). Pracuje od wielu lat jako technical manager w zakładzie produkcyjnym firmy Oriflame. Żonaty, dwoje dzieci – syn, student SGH, córka, uczennica LO. Mieszka w Warszawie.



Wycieczka rowerowa, 1978





„Uczmy się od młodych i dajmy im rozwinąć skrzydła!”

Z **URSZULĄ WACOWSKĄ**,
DYREKTOREM
PAŁACU MŁODZIEŻY

ROZMAWIA
KAROL JAWORSKI

KAROL JAWORSKI: Jest Pani dyrektorem jednej z bardziej znanych instytucji w stolicy, którą z sentymentem wspomina wielu warszawiaków. Czy to Panią ciągle cieszy, daje satysfakcję?

URSZULA WACOWSKA: Codziennie cieszę się, że mogę pracować w wymarzonej zawodzie. Odkąd pamiętam, chciałam pracować z dziećmi i młodzieżą. Pracować, a nie uczyć. Jakoś nigdy nie ciągnęło mnie do przymusu – a szkołę uważałam za przymus. Myślę, że na to takie pojmowanie rzeczy miał wpływ sposób edukacji, z jakim się spotkałam w szkole podstawowej i średniej. Pałac Młodzieży daje mi możliwość spełniania własnych pasji. Zawsze też powtarzam, że jako „sowa” wolę pracować nie od 8.00. Satysfakcję z pracy mam bardzo często.

Czyli należałoby sądzić, że gdyby miała Pani po raz drugi decydować o drodze swojej kariery życiowej, poszłaby Pani tą samą ścieżką...

Kierunek pracy byłby na 100% ten sam. Nie wyobrażam sobie siebie jako „urzędniczki w biurze”, walczącej w korporacji. W młodości marzyłam też o byciu lekarzem, nie stroniłam od udzielania pierwszej pomocy, opatrywałam rany, pielęgnowałam „rannych” na obozach i koloniach. Jednak moje niewielkie zdolności matematyczno-fizyczne szybko pozbawiły mnie złudzeń...

Wiem, że w Pani życiu dużą rolę odegrało harcerstwo.

Tak, harcerstwo to moja młodość, pasja i duże doświadczenie. Jako osiemnastolatka prowadziłam już kolonie żuchowe. Potem, jako komendant hufca, byłam organizatorem imprez oraz letniego i zimowego wypoczynku na dużą skalę. Logistyka tych wyjazdów w latach 70. i 80. była trudniejsza. Kłopoty z aprowizacją, transportem, sprzętem obozowym i turystycznym nauczyły mnie wiele. Dzisiejsze problemy wydają się drobne wobec wyzwań, z którymi przyszło mi się wówczas mierzyć. Z pełną odpowiedzialnością mogę stwierdzić, że same studia pedagogiczne na Uniwersytecie Warszawskim nie byłyby w stanie przygotować mnie do pełnienia funkcji zastępcy, a od 1988 roku dyrektora Pałacu Młodzieży w Warszawie.

Tyle się zmieniło w Pieczarkach za Pani dyrektury. Miała Pani jakąś wizję rozwoju tego miejsca, kiedy została Pani dyrektorem Pałacu Młodzieży, czy ta wizja przyszła później?

Wizja i plany rozwoju Ośrodka w Pieczarkach zawsze dotyczyły poprawy jakości wypoczynku. Oczywiście pew-

ne inwestycje łączyły się z wymogami ochrony środowiska. Właściwie pierwsze duże zadanie to było skanalizowanie i budowa oczyszczalni ścieków. Potem dopiero świetlica, natryski. Teraz szcycimy się nowoczesną kuchnią i stołówką. Ważne dla mnie jest stworzenie nowoczesnych form wypoczynku. Stąd profesjonalne boiska, tor rowerowy. Marzy nam się hala sportowo-widowiskowa. Przy mazurskiej pogodzie zorganizowanie imprezy w czasie deszczu dla 300 uczestników jest problemem. Szczycę się też, że Ośrodek w Pieczarkach jest przeznaczony dla dzieci i młodzieży. Nie łączymy wypoczynku młodych ludzi z czasami dla dorosłych – mimo nacisków byłych wychowanków.

Pałac Młodzieży przez dziesięciolecie kojarzony był z GAWĘDĄ. Czy coś się zmieniło w tym postrzeganiu i dlaczego?

Ubolewam nad tym, że Pałac Młodzieży w Warszawie był postrzegany przez pryzmat tego zespołu. Nawet w czasach największej świetności w zespole nie było więcej dzieci niż 10% z 5–6 tysięcy uczestników zajęć pałacowych. A przecież były tu i są unikatowe specjalności, jak: skoki do wody, pływanie synchroniczne, ratownictwo wodne, gimnastyka artystyczna i akrobatyczna, balet, taniec czy pracownice muzyczne. Od 2006 roku GAWĘDA nie jest już w Pałacu Młodzieży. Zespół działał w określonych czasach i warunkach. Przestał być atrakcyjny. Mamy dzisiaj ok. 400 tańczącej młodzieży. Nie odeszli, a nawet chętniej przychodzą opanowywać inne formy taneczne.

Przez wiele lat obserwuje Pani dzieci i młodzież. Czy ona się zmienia, a jeśli tak, to jaki to jest kierunek zmian?

Oczywiście, że dostrzegam zmiany. Przecież to naturalne. Nie może być inaczej. Zmiany idą w kierunku inwestowania w siebie. Młodzi chcą szybko nauczyć się, zarabiać i usamodzielniać się. Nie dostrzegają świata wokół siebie. Nie chcą generalizować – rzecz nie dotyczy wszystkich, ale mamy u siebie młodych ludzi, którzy codziennie są na zajęciach, „obstawili” pracownice: językowe, informatyczne, ratownictwa wodnego. Dobrze, że choć na pływalni mają trochę ruchu. Petem wracają do domu i znów się uczą, bo przecież trzeba odrobić lekcje. Obserwujemy spadek zainteresowania pracownikami artystycznymi. Oczywiście to nie jest tylko wina wyłącznie młodzieży. W kontaktach z rodzicami mamy tego potwierdzenie. „Moje dziecko ma się doskonalić” – myślą najczęściej. Nie uczą jednak swoich dzieci koleżeństwa,

bycia w grupie, samokrytyki, pokory, dobrych manier, właściwego zachowania także nie. Nadto, dzisiaj młodzi mają umiejętność „respektowania” swoich praw. Praw ucznia, dziecka, wychowanka zajęć, niepełnoletniego. Znają te prawa bardzo dobrze. Szkoda, że nie potrafią tak biegle mówić o obowiązkach. Oczywiście, nie można generalizować, nie cała młodzież tak się zachowuje. Ci „pozytywni” potrafią się wycofać, nie rzucają się o oczy. Reasumując, pedagogzy, w takich jak nasza placówka, mają wielkie pole do popisu.

Na imprezach Poniatówki zawsze jest Pani honorowym gościem. Czy z tą szkołą łączy Panią coś szczególnego, jakieś wspomnienia?

Tak, to prawda, bywam częstym gościem Liceum. Byłam uczennicą V LO. Niestety nie dane mi było dotrzeć do matury... (polegåł z fizyki u prof. Tratkiewicza i z matematyki u prof. Wilde). Szkołę jednak wspominam dobrze. Miałam ambicje wrócić, pokazać, że w innych przedmiotach jestem dobra. I tak, po studiach wróciłam jako członek grona pedagogicznego i uczyłam przysposobienia do życia w rodzinie. Koledzy nauczyciele przyjęli swoją wychowankę serdecznie. Nie pamiętali moich porażek. Nawet byli zdziwieni, że odeszłam w 10 klasie.

A jaką rolę w Pani życiu odgrywają przyjaźnie z lat szkolnych?

Prawdziwe przyjaźnie mam z harcerstwa. Tam miałam fajne przeżycia, tam spędzałam z przyjaciółmi dużo czasu. Właściwie to w harcerstwie były moje wakacje, zimowiska, sylwestry i czas wolny. Z kolegami z Poniatówki spotykam się okazjonalnie. Jednak wiem, co robimy, kontaktujemy się ze sobą i pomagamy sobie w potrzebie.

Lubi Pani zwierzęta? Może ma Pani jakieś wspomnienia z nimi związane?

Świat zwierząt jest mi bliski. Lubię ich towarzystwo. Boję się kotów i nie ufam. Kocham psy. W dzieciństwie zawsze był u nas pies. Miałam w swoim dorosłym życiu jamniczkę szorstkowłosą. Niestety wpadła pod samochód. Cóż, duże miasto to samochody, windy, tawnyki do sprzątania. Teraz nie mam psa, ale na emeryturze na 100%. Uważam, że gdybyśmy się tak często cieszyli i skakali z radości jak one, to świat byłby piękniejszy.

Ma Pani jakieś motto na udane życie zawodowe? Może Pani coś poradzić swoim młodszym kolegom z Poniatówki? Może jakiś dekalog albo inna wyliczanka w punktach...

Rad na życie to miałabym dużo – tylko kto chciałby ich słuchać. Może jednak kilka przemyśleń zaproponuję. Praca MUSI cieszyć. Nie dajmy wciągać się w rutynę – ona usypia spontaniczne działanie. Zmieniajmy miejsce pracy. Po kilku latach trudno odejść. Sama tego doświadczam. Wyrwałam w Pałacu tak długo, bo zmieniał się sposób prowadzenia placówki. Dziś jednak uważam, że powinnam wcześniej odejść. Zmiany nas rozwijają. Nadto, uczmy się od młodych i dajmy im rozwinąć skrzydła!

Dziękuję Pani za rozmowę.



WSPOMNIENIA I REFLEKSJE Z OSTATNIEGO DWUDZIESTOLECIA



WSPOMNIENIA Z V LO? BY NATCHNĄĆ MUŻĘ, chyba puszczać w tle jakiś dobry filmik chemiczny. Choć teraz już nie robią do nich tak dobrej, inspirującej muzyki, jak kiedyś.

Moja historia jest nieco nietypowa, jako że po opuszczeniu murów liceum i pozostawieniu za sobą barw i aromatów pracowni chemicznej najpierw wyjechałam na prawie dwa lata do USA, a następnie uzyskałam stopień magistra w dziedzinie literatury i kultury brytyjskiej na filologii angielskiej UW. Jednak, mimo iż moje zamilowanie do chemii i fizyki okazało się dużo mniejsze, niż sądziłam wstępując w progi budynku przy ul. Nowolipie 8, lata spędzone w tym przybytku wiedzy wspominam bardzo miło. Z perspektywy humanistki są to wspomnienia trochę egzotyczne – wszystkie te godziny wśród bieli, szkła i oparów pracowni chemicznej, wyprawy do sklepu przy ul. Elektoralnej, chodzenie do szkoły „po benzenie” (co nie oznacza „po zażyciu”, a po sześciokątnych płytach chodnikowych), będące natchnieniem dla poetów obozy geologiczne i owiane legendą pielgrzymki do pracowni fizycznej w intencji zażegnania zagrożenia. Oderwaniem były wycieczki klasowe, na których przyszło nam m.in. chodzić dookoła góry z profesorem Krzysztofem Kuśmierczykiem i dzielić się w kilka osób jedną kanapką i jednym kubkiem herbaty na smaganej wiatrem przełęcz, podczas gdy reszta prowiantu drepce doliną na plecach zwolenników tras mniej ekstremalnych. Powrót do wielkiego miasta oznaczał powrót do pipetowania i morderczo precyzyjnych kalkulacji na lekcjach matematyki z profesorem Bogną Lubańską.

Okazuje się jednak, że żelazna logika, umiejętność wnioskowania, precyzja i wytrwałość, które te egzotyczne doświadczenia we mnie wykształciły, stały się nieocenionymi sprzymierzeńcami w starciu z syntaktyką, fonetyką i fonologią, które siały spustoszenie wśród nieprzywykłych do logiki i schematów humanistów. Mój wyćwiczony umysł płał się w nich z rozkoszą. Poza tym miło czasem „zabłysnąć w towarzystwie” znajomością różnicy pomiędzy analizą jakościową i ilościową, czy też ekscytującym opisem przeprowadzonej niegdyś własnoręcznie reakcji chemicznej.

Joanna Muszyńska (matura 2001)



Szkołę swą widziałem ogromną

CHCIAŁOBY SIĘ POWIEDZIEĆ, ŻE DO PONIATÓWKI trafiłem nie przez przypadek – spodobał mi się ogromny hol. Ale pierwszy raz, kiedy zobaczyłem wnętrza tego gmachu, związany jest z finałem Konkursu im. Tomasza Tratkiewicza, chyba w 2002 roku.

Do odwiedzenia szkoły przygotowywałem się, a jakże, z moją nauczycielką chemii z gimnazjum. Konkurs przebiegł dla mnie pomyślnie, a ja byłem już wówczas pewien, że chcę iść do klasy chemiczno-fizycznej. Uwiódł mnie hol, uwiodła mnie rewelacyjnie wyposażona pracownia chemiczna, uwiodły mnie zadania konkursowe – wymagające logicznego myślenia. Do takiego liceum zdawałem.

Jakie było moje zdziwienie, gdy jeszcze przed początkiem roku szkolnego kazano mi (!) jechać na obóz integracyjny związany z... „wielokulturowością w środku Europy”. W dniu wyjazdu zapakowali nas do autokarów według klas – to była pierwsza okazja, żeby poznać się z ludźmi, z którymi przyjdzie spędzić następne trzy lata. Nie przedstawiono nam jednak opiekunów naszej podróży. Gdy naczekaliśmy się w autokarze

wystarczająco długo, kierowca rzucił pytanie, czy możemy już ruszać. Niewiele myśląc kilkoro z nas odpowiedziało twierdząco. Kierowca zamknął drzwi i odjechał... Dopiero na wysokości Marek dogoniła nas trąbiąca i dająca znaki świetlne taksówka z naszymi opiekunami. Obóz zaczął się netypowo i taki był do końca. Różnorodne zajęcia, odgrywane przedstawienia, wieczorne szaleństwa – sprzyjały integracji, która jakoś ukształtowała naszą klasę i relacje w niej panujące. Dziś mogę powiedzieć, że wyjazdy do Przewięzi, mimo „kruchoci” domków, w których mieszkaliśmy, były zorganizowane tak, jakbym to mógł sobie wymarzyć. No, może poza łazienkami, ale na to zawsze się narzeka.

Obóz się skończył, a my trafiliśmy pod skrzydła dwóch najbardziej oryginalnych nauczycieli w szkole – profesora Andrzeja Majerowskiego (fizyka i naszego wychowawcy) i profesora Krzysztofa Kuśmierczyka (chemika i naszego weekendowego wychowawcy – o czym za chwilę). Nad metodami nauczania tych dwóch Panów rozwozić się nie będę – dość powiedzieć, że przy ich pomocy w naszej klasie laureatami i finalistami olimpiad zostało niemało osób.

Nauka nie kończyła się jednak w piątek. Sobota była dla mnie dniem kółka chemicznego. Profesor Kuśmierczyk regularnie organizował dla nas spotkania z chemią, jakiej w programie licealnym ze świecą szukać. Do dziś mam te dwie pary dziurawych spodni, zachlapanych mieszaniną reakcyjną kipiącą chwilę po tym, jak profesor zdążył krzyknąć „oj, za dużo!”. Różnorodne przygody nas nie zniechęcały, wręcz przeciwnie. Tę grupkę zapaleńców chemii ciągnęło jeszcze bardziej w stronę świata nauki. Dla mnie skończyło się to studiami doktoranckimi z tegoż przedmiotu na Uniwersytecie.

Równie ciepło wspominam przedstawienia, które jako klasa „niekulturowa” (za moich czasów oprócz klas ścisłych była też ta o profilu kulturowo-językowym) tworzyliśmy wokół nauki – na przykład przy okazji festiwalu nauki. Odgrywanie wizyty w salonie kosmetycznym z pełnym wyjaśnieniem chemicznych procesów w trwałej ondulacji, opowieść o historii fotografii, w której przy wsparciu najwyższej techniki Jacek Jaworski mógł symultanicznie odgrywać na jednej scenie siebie i swojego dziadka (niezapomniane wyjaśnienie obsługi cyfrowego aparatu: „tu się naciska, ogląda się z bliska”), czy wreszcie kronika rozwoju techniki czytana przez anonimowego włoskiego biskupa. Z tym ostatnim przedsięwzięciem łączą się dwa aspekty. Biskup (odgrywany przeze mnie), ku uciechu widzów znających włoski, zamiast właściwej narracji o Edisonie, Bellu czy Fordzie czytał przepisy kulinarne na bardzo wykwintne potrawy z mięsa wieprzowego. Może to był powód, dlaczego to przedstawienie, za sprawą dyrektora Mirosława Sosnowskiego, grane było dwukrotnie... Drugim aspektem była moja późniejsza wizyta w Pizza Hut, którą urządzaliśmy sobie po szkole z regularnością godną rytuału. Tego dnia wybrałem się tam w stroju biskupim – ale nie skończyło się to ani rabatem, ani aferą, jedynie konsternacją co starszych gości restauracji.

Konsternację wywoływaliśmy chyba regularnie, w różnych okolicznościach – cztery klasy tańczące menueta w augustowskich zaroślach nie były chyba widokiem codziennym. Ale byliśmy również traktowani poważnie – jak choćby przez profesor Magdalenę Fikus – szefową warszawskiego Festiwalu Nauki, która przy okazji prośzonej wizyty w naszej szkole otrzymała z rąk dyrektora medal wybitny z okazji 90-lecia Poniatówki.

Z panem dyrektorem też wiąże się niezapomniane dla mnie wspomnienie. Postrach szkoły, surowy szef, bezwzględny nauczyciel. Taki wydawał się na pierwszy rzut oka. Na zajęciach z języka polskiego (które miał z nami w ostatniej klasie) budził w nas przerażenie. Ale to napięcie udało nam się błędnie wyeliminować, gdy daliśmy mu w prezencie (nie pomnę okazji) kolczyk z uśmiechniętą buźką, chciałoby się powiedzieć emotikoną. Wszystkim czytelnikom powinno być wiadome, że nasz dyrektor nosił wówczas kolczyk, długie włosy i mimo doktoratu z literaturoznawstwa nie wahał się mówić dosadnie. Jeśli było się u niego w gabinecie (z różnych powodów) wystarczająco często, to nawiązywana nić porozumienia była chyba niezniszczalna. W końcu mimo tylu wizyt u niego nie wyleciałem ze szkoły! Uczył nas o modernizmie – w sposób szczególny, bo to bodaj jego ulubiona epoka. Do tej pory nie mogę mu zapomnieć tej jedynej z interpretacji *Sni-grobka*. Ale to chyba dzięki niemu, odwodząc się do Stanisława Wyspiańskiego, mogę jednoznacznie stwierdzić, że „Szkołę swą widziałem ogromną”.

Paweł Stępnia (matura 2005)



TO MOŻE ZABRZMIEĆ DZIWNIE, ALE V LO im. ks. Józefa Poniatowskiego wybrałem przypadkiem. A właściwie to nawet nie ja wybrałem. Wybrała ją za mnie moja wychowawczyni z gimnazjum, bo gdy ja zastanawiałem się nad klasami biologiczno-chemicznymi, ona (nauczycielka matematyki) wyperswadowała mi klasę z większą liczbą godzin jej przedmiotu. Tak trafiłem do chem-fizu.

Przez całe liceum mieszkalem w internacie, więc miałem całkiem niezły ogłód tego, jak wygląda nauka w innych stołecznych liceach i stwierdzam, że Poniatówka ma kilka cech, które sprawiają, że nauka tu jest wyjątkowym przeżyciem.

Pierwsza i chyba najważniejsza jest atmosfera panująca w szkole. Unikatowa forma budynku i przeszkłone drzwi do sal lekcyjnych sprawiają, że wystarczy stanąć „na środku szkoły”, żeby zobaczyć każdego ucznia albo sprawdzić, gdzie jest następna lekcja, tworzy atmosferę otwartości i zdecydowanie ułatwia nawiązywanie kontaktów międzyludzkich.

Po drugie, Poniatówka zachęca do nauki, ale do niej nie zmusza. Przez całe trzy lata zaśmiewałem się do rozpuku z kolegów, którzy w klasie o profilu humanistycznym poświęcali najwięcej czasu na naukę biologii lub matematyki. Ja ten czas poświęcałem na rozwijanie własnych zainteresowań zarówno w szkole, jak i poza nią. I chodziłem mniej sfrustrowany i zestresowany. Mam wrażenie, że nauka tutaj jest po prostu przyjemniejsza, niż gdziekolwiek indziej.

Ostatnia rzecz, która wryła mi się w pamięć, to pierwsza szkolna wigilia. Stojąc na apelu, nieco jeszcze przestraszony patrzyłem ze zdziwieniem na absolwentów, którzy roześmiani stali w drugim końcu szkoły (jakieś 50 metrów ode mnie) i zdecydowanie nie ułatwiali zadania składającemu nam życzenia świąteczne przedstawicielowi Rady Rodziców. Zastanawiałem się wówczas, po co tu przyszli. Teraz sam odwiedzam to miejsce. Poniatówka ma w sobie jakąś magię.

Radosław Sadowski (matura 2010)

Chcesz podzielić się swoimi wspomnieniami z Poniatówki? Napisz do nas: glos.poniatowski@gmail.com



PIERWSZA BIBLIOTEKA W PONIATÓWCE

CZYLI WYBITNI LUDZIE I KSIĄŻKI

PIOTR MATUSZEWSKI

Biblioteka Poniatówki a antyczne modele bibliotek

PIERWSZE BIBLIOTEKI o charakterze naukowym, które powstawały w starożytności, pełniły dwojaką funkcję. Były to albo instytuty badawcze dostępne dla małej grupy uczonych, tak jak Biblioteka Aleksandryjska, Biblioteka Pergamejska czy założona przez Arystotelesa Biblioteka Lykeion, albo biblioteki... szkolne. Do tych ostatnich należała m.in. biblioteka w gimnazjum ptolemejskim w Atenach. Ptolemaion, założony prawdopodobnie w III w. p.n.e. przez Ptolemeusza II Filadelfosa, uważany jest za jeden z najwybitniejszych przykładów gimnazjów starożytnego świata. Szkoła ta od początku posiadała bogaty księgozbiór, który odgrywał ważną rolę w pracy dydaktycznej. Co ciekawe, starożytne biblioteki szkolne powstawały i funkcjonowały dzięki mecenasom sprawującym pieczę nad szkołą oraz darom samych uczniów.

Podobnie jak księgozbiór Ptolemaionu biblioteka w Gimnazjum im. ks. Józefa Poniatowskiego powstała w wyniku zaangażowania całej społeczności szkolnej – grona pedagogicznego, uczniów oraz Koła Przyjaciół Gimnazjum, zrzeszającego rodziców i sympatyzujących ze szkołą mieszkańców Żoliborza, gdzie mieściła się wówczas siedziba ówczesnej Poniatówki. Pomysłodawcą powołania biblioteki w 1934 roku był polonista Kazimierz Lisowski, a księgozbiór pochodził z darów uczniów i ich rodziców. Świadomy ważnej roli książki w nauczaniu, Lisowski zapragnął być może odrodzić w Poniatówce antyczną tradycję wspólnie tworzonej biblioteki. W tym okresie Gimnazjum im. ks. Józefa Poniatowskiego, które przez długie lata nie miało stałej siedziby, mieściło się już we własnym gmachu przy ul. Lisa Kuli 16, co pozwoliło na dynamiczny rozwój szkoły. Lata trzydzieste w Poniatówce to okres bogatego życia kulturalnego, którego przejawami były, poza założeniem biblioteki, także działająca w szkole orkiestra dęta i... szkolne kino.

Pomysłodawca biblioteki – Kazimierz Lisowski

Postać Kazimierza Lisowskiego (1903–1941) warto przypomnieć nie tylko dlatego, że był inicjatorem założenia biblioteki w Poniatówce, ale także znakomitym polonistą i pedagogiem. Lisowski ukończył studia językoznawcze na Uniwersytecie Warszawskim, a następnie uzyskał w 1933 roku tytuł doktora filozofii na podstawie rozprawy napisanej pod kierunkiem wybitnego polskiego filozofa Władysława Tatar-kiewicza. Warto nadmienić, że przyszły profesor gimnazjum pracował najpierw w bibliotece w Sejmie. Już ta pierwsza

praca wskazywała na jego zainteresowania bibliotekarstwem, a doświadczenie w niej zdobyte na pewno pomogło w realizacji pomysłu zorganizowania biblioteki w Poniatówce.

Kazimierz Lisowski pracował jako nauczyciel polonista w Gimnazjum im. ks. Józefa Poniatowskiego od początku lat trzydziestych do czasu aresztowania we wrześniu 1940 roku, pełniąc okresowo obowiązki dyrektora szkoły. Po napaści Niemców hitlerowskich na Polskę i zamknięciu przez okupanta gimnazjum w listopadzie 1939 roku kontynuował pracę dydaktyczną na tajnych kompletach. Rok później został aresztowany podczas łapanek na Żoliborzu i zginął w obozie koncentracyjnym Auschwitz-Birkenau w 1941 roku. Wychowankowie zapamiętali go jako wybitnego polonistę i autorytet moralny.



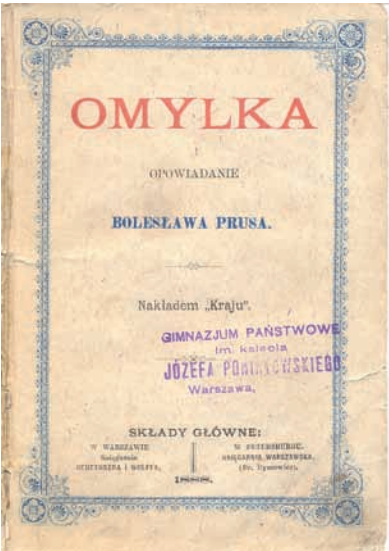
Kazimierz Lisowski, pomysłodawca biblioteki w V LO (fot. ze zbiorów Zofii Welke)

Biblioszafa – pionierskie czasy biblioteki

Kazimierz Lisowski początkowo zorganizował bibliotekę dla klasy, której był wychowawcą. Zgodnie z etymologią słowa „biblioteka” (od gr. *biblion* – zwój, książka oraz *thêkê* – szafa, skrzynia) pierwsza wypożyczalnia mieściła się we... wnęcie na korytarzu, w którą wbudowano szafę służącą do przechowywania księgozbioru. Książki wypożyczano wyłącznie na przerwach i po zakończeniu lekcji, gdyż pierwszymi bibliotekarzami w Poniatówce byli sami uczniowie. Pierwsi funkcję tę pełnili dwaj uczniowie z klasy profesora Lisowskiego, wybrani przez samorząd klasowy – Andrzej Woyciechowski i Gustaw Karol Budzyński.

Na początku księgozbiór liczył zaledwie kilkadziesiąt książek, wśród których znajdowały się publikacje popularnonaukowe, beletrystyka oraz encyklopedie. W roku 1936 roku zasoby bibliotecznej szafy wynosiły już ponad 200 woluminów. W początkowym okresie ►

biblioteka miała poszerzać horyzonty intelektualne uczniów dzięki udostępnianiu im książek naukowych, szybko stała się jednak centrum życia kulturalnego szkoły, unikając schematycznej roli, jaką może pełnić biblioteka szkolna, czyli wypożyczalni podręczników i lektur.



Wydanie *Omyłki* Bolesława Prusa z 1888 roku. Jedna z najstarszych książek w zbiorach biblioteki Poniatówki, która najprawdopodobniej jest częścią księgozbioru biblioteki od pierwszych lat jej istnienia.

Biblioteka Poniatówki
prekursorką mediateki

Mimo że biblioteka „w szafie” powstała jako projekt klasowy, nie oznaczało to, że uczniowie innych klas nie mogli wypożyczać książek. Biblioteka zainicjowana przez Kazimierza Lisowskiego stała się wkrótce biblioteką całej Poniatówki i ośrodkiem edukacji filmowej. Uczniowie-bibliotekarze Andrzej Woyciechowski i Gustaw Budzyński obsługiwali bowiem równocześnie szkolny projektor filmowy Pathé-Baby. Seanse kinowe odbywały się dwa razy w tygodniu w sali geograficznej, a repertuar stanowiła klasyka kina niemego. Szczególną popularnością cieszyły się filmy z udziałem Charliego Chaplina. Kinooperatorzy byli także odpowiedzialni za przygotowywanie plakatów informacyjnych oraz sprzedaż biletów, z których zysk przeznaczony był głównie na zakup książek do biblioteki. W późniejszym okresie, kiedy z inicjatywy kuratorium w szkole pojawił się projektor dźwiękowy, bibliotekarzom powierzono także obsługę pierwszych projekcji kina dźwiękowego.

W 1937 roku, kiedy Andrzej Woyciechowski i Gustaw Budzyński zostali uczniami klasy maturalnej i rozpoczęli przygotowania do egzaminu dojrzałości, funkcję bibliotekarzy przejęli uczniowie młodszych klas. Pomaturalne losy pierwszych bibliotekarzy Poniatówki krzyżuje wybuch drugiej wojny światowej. Wierni patriotycznym tradycjom szkoły, która powstała w 1918 roku jako gimnazjum dla byłych wojskowych, obaj biorą udział w kampanii wrześniowej 1939 roku. Andrzej Woyciechowski ginie podczas obrony Warszawy, natomiast Gustaw Budzyński działa w konspiracji i walczy w powstaniu warszaw-

skim jako podporucznik „Szymura”. Aresztowany za działalność niepodległościową przez władze PRL-u w 1948 roku, spędza w więzieniu 7 lat. Dopiero w 1959 roku kończy na Politechnice Gdańskiej rozpoczęte przed wojną studia i może poświęcić się swoim naukowym zainteresowaniom, które wiążą się w pewnym stopniu z jego gimnazjalną działalnością bibliotekarza-kinooperatora. Budzyński został bowiem wybitnym specjalistą w zakresie inżynierii dźwięku, współtworząc Zakład Inżynierii Dźwięku na Wydziale Elektroniki Politechniki Gdańskiej oraz Zakład Akustyki Muzycznej w gdańskiej Akademii Muzycznej. Z okazji 90. urodzin w 2011 roku został określony przez swój macierzysty wydział „nastorem inżynierii dźwięku”.

Tradycja a współczesność

Poniatówka może być dumna z dokonania swoich pierwszych bibliotekarzy, wybitnych postaci polskiej edukacji i nauki, takich jak Kazimierz Lisowski i Gustaw Budzyński. Szkolne Centrum Informacji stara się kontynuować zapoczątkowaną przez nich tradycję biblioteki uniwersalnej, która pełni jednocześnie rolę animatora życia kulturalnego. Biblioteka wspiera wydawanie gazetki uczniowskiej, realizuje projekt edukacji teatralnej „Teatromania w Poniatówce” oraz projekt debat oksfordzkich; za pośrednictwem swych obecnych pracowników – Piotra Matuszewskiego i Karola Jaworskiego podtrzymuje kontakty szkoły ze środowiskiem akademickim, tu w końcu znajduje się redakcja „Głosu Poniatówki”. Podobnie jak w okresie międzywojennym bogaty księgozbiór gromadzony jest między innymi dzięki pomocy nauczycieli oraz hojności rodziców uczniów, którzy wspierają bibliotekę poprzez Fundację im. księcia Józefa Poniatowskiego Wspomaganie i Rozwoju Nowoczesnej Szkoły.

Informacje o obecnej działalności Biblioteki Poniatówki znajdują się na stronie: <http://www.biblioteka.vlo.edu.pl>

O powstańczych losach Gustawa Budzyńskiego można przeczytać na stronie: http://ahm.1944.pl/Gustaw_Budzynski

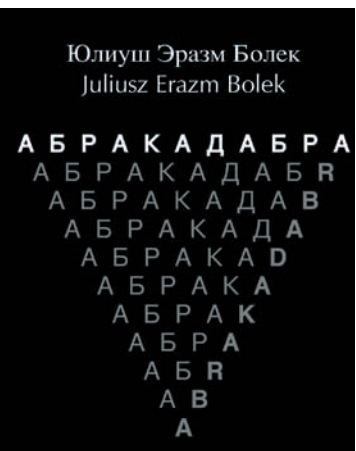
Bibliografia

- Z dziejów liceum i gimnazjum im. ks. Józefa Poniatowskiego w Warszawie, Warszawa 1981.
- 75 lat gimnazjum i liceum im. ks. Józefa Poniatowskiego, Warszawa 1993.
- 80 lat gimnazjum i liceum im. ks. Józefa Poniatowskiego w Warszawie, Warszawa 1998.



PIOTR MATUSZEWSKI

Absolwent filozofii (specjalność historia filozofii). Nauczyciel filozofii, etyki oraz nauczyciel bibliotekarz. W Poniatówce pracuje od 2004 roku. W 2007 roku jego uczeń Mateusz Łętyk został laureatem pierwszego miejsca w XIX Olimpiadzie Filozoficznej. Opiekun szkolnej drużyny startującej w corocznych zawodach Warszawskiej Ligi Debatanckiej. Autor projektu „Teatromania w Poniatówce”.



Juliusz Erazm Bolek



Poeta, laureat nagrody Światowego Dnia Poezji ustanowionej przez UNESCO. Zasłynął niekonwencjonalnymi sposobami prezentowania poezji. Były to między innymi: plakaty poetyckie, wiersze na serwetkach, naklejki, pokazy typu dźwięk i światło, poezja na przystankach komunikacyjnych, wyświetlanie wierszy przy użyciu laserów. Jednym z wydań książki *Sekrety życia* pobił rekord Guinnessa na największy tom wierszy. Twórca nowych gatunków literackich: wiersza dialogowego i EFP – tzw. e-mailowych felietonów poetyckich.

Z tomu *Abrakadabra*:

Koty

koty są zwariowane
puszyste jak puch
w którym skrywają drapieżne pazury
ich wzrok jest niezgłębiony

spacery po dachach
miauczenie na szczytach
pragnienia
niekończące się pragnienia

koty otaczają świat
swoimi bezgłośnymi ścieżkami
nigdy nie wiesz gdzie je spotkasz
i kiedy cię porzucą

magiczne koty zaglądają
w głąb twojej duszy
odnajdują wszystkie myszy
i walczą z dzikimi szczurami

to wszystko robią koty
a ty się módl
by ciebie nie zagłaskały

Pięćdziesiąt sześć

siedemdziesiąt lat
smutku niepokoju
pięćdziesiąt sześć lat
wiecznego oczekiwania
a marzenia
pod gołym niebem
układają ten
sam zestaw kart
a zwątpienia
z każdym dniem
przybliżają
krótszą przyszłość
zagubiony w latach
wiatr
bardzo mocno
dmucha w to
co jak kałużą wosku
nie odpłynie

Kwadratura koła

kwadrat
to doskonała równość
czterech stron świata

trójkąt
jest ubogim kwadratem

koło
jest doskonałym kwadratem

kula
jest absolutem

ale tylko
kwadratura koła
jest niepokonana

ROZLICZENIE FUNDUSZU RADY RODZICÓW ZA ROK SZKOLNY 2011/2012

WPŁYWY		
LP	ŹRÓDŁO PRZYCHODU	KWOTA
1	Z ROZLICZENIA ROKU SZKOLNEGO 2010/2011	12430,74
2	Z ROZLICZENIA WPŁAT NA AKCESORIA SZKOLNE (CZAPKA, ZNACZEK, KRAWAT)	1702,86
3	Z SKŁADEK ZEBRANYCH W ROKU SZKOLNYM 2011/2012	78425,00
4	PRZELEW Z DAWNEGO KONTA RADY RODZICÓW	5773,34
RAZEM		98331,94
WYDATKI		
CO	WYDANE	
WIGILIA	5914,00	
WIELKANOC	5220,11	
HERBATA Z CUKREM I CYTRYNĄ	1729,30	
PRZYGOTOWANIE KANAPEK	3665,00	
JABŁKA	12876,00	
OPIEKA PIELĘGNIARSKA	4546,00	
LEKARSTWA	373,79	
KSEROGRAF	7457,76	
SPOTKANIA I KONCERTY	1327,89	
DEKORACJE RÓŻNE	546,33	
KSIĄŻKI DO BIBLIOTEKI	1573,88	
NAGRODY KSIĄŻKOWE	1851,68	
NAPRAWA/WYMIANA SPRZĘTU	1875,75	
IMPREZY SPORTOWO-KULTURALNE	879,19	
INNE ZAJĘCIA	555,37	
DUCH	1127,99	
DZIEŃ EDUKACJI	706,55	
SALA MULTIMEDIALNA	8073,72	
PRZYGOTOWANIE SALI MULT. – KLIMATYZACJA	19402,02	
MATURA – NAGŁOŚNIENIE	2000,00	
SKŁAD „GŁOSU PONIATÓWKI”	1200,00	
REZERWA/OPLATY BANKOWE	578,80	
RAZEM		83481,33
SALDO: 14850,61		

APEL DO SERC PONIATOWSZCZAKÓW!

NASZA KOLEŻANKA, ABSOLWENTKA Poniatówki potrzebuje Naszej pomocy. Magda Godek (z d. Onuch), chora na stwardnienie rozsiane, walczy o powrót do dawnej sprawności. Rehabilitacja kosztuje, a Magda jest w trudnej sytuacji finansowej. Walczy z chorobą. Dla siebie i córeczki, którą obok niej widzicie na zdjęciu.



Pomóżmy jej. Liczy się każdy grosz, każda wpłata. Pamiętajmy, że każdy z nas może się znaleźć w sytuacji podobnej do tej, w jakiej jest Magda. Poświęćcie jedną paczkę papierosów, kilka ciastek, jakąś drobną kulinarną przyjemność, a pieniądze na tym zaoszczędzone, wpłaćcie na rehabilitację Magdy. Odwiedźcie na Facebooku stronę wydarzenia: „Zrób coś dla siebie! Zrób coś dla Magdy :)” (<https://www.facebook.com/events/462664017111134/>) i przeczytajcie jej historię. Jesteśmy z tej samej społeczności. Nie bądźmy obojętni na cierpienia innych. Magda czeka na Waszą pomoc!



Wspomóż Fundację im. ks. Józefa Poniatowskiego Wspomaganie i Rozwoju Nowoczesnej Szkoły!
Wpłać na konto: PKO BP 26 1020 10 68 0000 1202 0149 78 66

„Głos Poniatówki”, ISSN: 2084–6088, nakład: 2 000 egz. Redakcja: Karol Jaworski, Katarzyna Kozielska, Piotr Matuszewski, Danuta Mońko, Magdalena Pochylska, Mirosław Sosnowski, Joanna Zaremba. DTP i fotoedycja: Karol Jaworski. Korekta: Dobrosława Gawor, Magdalena Pochylska. Adres redakcji: V Liceum Ogólnokształcące im. ks. Józefa Poniatowskiego, ul. Nowolipie 8, 00-150 Warszawa (z dopiskiem „Głos Poniatówki”), tel. 22 831 48 04, e-mail: glos.poniatowki@gmail.com Druk: LOTOS POLIGRAFIA

Redakcja prosi o nadsyłanie wspomnień, refleksji, esejów, reportaży, opowiadań, artykułów tematycznych, popularnonaukowych. Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania nadesłanych materiałów, redagowania i opatrywania własnymi tytułami.

